

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

# DIANA PALMER

Zerwane więzi



**DIANA PALMER**

***ZERWANE WIĘZI***

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zwykle jesienią w Teksasie, zwłaszcza w Houston, panują wyższe temperatury, lecz ten październikowy poranek był wyjątkowo chłodny. Nic dziwnego, że Colby Lane odczuwał ból w lewym przedramieniu, a raczej w kikucie, jaki pozostał mu po lewej ręce.

Rękę stracił podczas tajnej misji w Afryce. Wypiwszy za dużo, zapomniał o środkach ostrożności. Kula roztrzaskała kość na strzępy; rękę mu amputowano tuż poniżej łokcia. Od tego czasu nosił protezę, supernowoczesną, wykonaną w tajnym laboratorium, która wyglądała jak najprawdziwsza ludzka kończyna. Dzięki zainstalowanym w niej specjalnym chipom nawet miał czucie w palcach. Przyszło mu do głowy, że jest żywym robotem. Albo szczurem, na którym przeprowadza się eksperymenty. Uśmiechnął się pod nosem.

Ten uśmiech jednak szybko zgasł. Tego ranka Colby był w podłym nastroju. Poprzedniego dnia rozpoczął pracę jako zastępca szefa ochrony w miejscowej filii Ritter Oil Corporation. Pracę przyjął za namową swojego starego kumpla, Phillipa Huntera, którego - po przeszkoleniu - miał zastąpić, a który wraz z żoną zamierzał przeprowadzić się do Tucson w Arizonie.

Na razie Colby starał się przywyknąć do nowego otoczenia, między innymi do kierowników dwóch działów, którzy uważali, że lepiej niż on znają się na jego robocie. Co oczywiście nie było prawdą. Wcześniej pracował w międzynarodowej firmie Hutton

Corporation, też jako zastępca szefa ochrony. Kiedy właściciel ogłosił, że firma przenosi się do Europy, Colby złożył wypowiedzenie. Phillipa Huntera znał od dziecka, obaj mieli indiańską krew i obaj wychowywali się w rezerwacie.

Jednakże w przeciwieństwie do przyjaciela Colby nienawidził pracy od dziewiątej do piątej, garniturów, układów i układzików. W przeszłości trudnił się wieloma rzeczami; był żołnierzem najemnikiem, a także tajnym agentem rządowym. Wolał leżeć w okopach i uganiać się z pistoletem za wrogiem, niż krążyć po wyłożonych dywanem korytarzach. Ale po amputacji ręki musiał zrezygnować z zajęć, które dotąd wykonywał.

Ta zmiana przepelniła go goryczą. W ogóle był zgorzkniały. W dodatku prześladował go pech. Kiedyś ktoś mu powiedział, że kolejne rany, jakie odnosi, wynikają z jego podświadomego pragnienia śmierci. Nie zareagował na te słowa, ale w głębi duszy przyznał mówiącemu rację. Miał już dosyć krwawiących ran, złamanych obietnic, niespełnionych marzeń, złudzeń, które pryskają jak bańka mydlana. Miał już dosyć życia.

Tu w Houston, po dwóch nieudanych małżeństwach i latach pijaństwa, usiłował zacząć wszystko od początku. Walkę z alkoholem wygrał kilka lat temu. Był trzeźwy, ale niestety okaleczony fizycznie. Brak ręki uniemożliwiał mu udział w niebezpiecznych misjach, a ból stale przypominał o tym, z czego musiał zrezygnować.

Nie wracaj do przeszłości, powtarzał sobie w duchu. Skup się

na nowych zadaniach. Dotychczasowe doświadczenie zawodowe stanowiło jego atut. Był mistrzem wschodnich sztuk walki, świetnie posługiwał się bronią palną, pracował w komórkach antyterrorystycznych, znał skuteczne metody prowadzenia przesłuchań. Jego niezaprzeczalne umiejętności oraz doskonale referencje wywarły wrażenie na samym Hunterze, nie mówiąc już o szefie Ritter Oil Corporation. Teraz musiał nauczyć się dyplomacji, tego, by osiągać cel prośbą, a nie siłą lub perswazją. Wiedział, że nie będzie to łatwe.

Wszedł do dużego nowoczesnego budynku mieszczącego się na terenie kompleksu przemysłowego tuż pod Houston. Mijając strażnika, automatycznie wskazał na plakietkę ze swoim nazwiskiem przypiętą do klapy marynarki. Jakie to idiotyczne, pomyślał, że on, szef ochrony, musi się legitymować, wchodząc do budynku, który ma ochraniać. Strażnik najwyraźniej podzielał jego myśli, bo uśmiechnął się kwaśno. Colby odwzajemnił uśmiech.

Był przystojnym mężczyzną o lekko falujących czarnych włosach, głęboko osadzonych czarnych oczach i śniadej cerze. Wysoki, dobrze zbudowany, ubrany w ciemny garnitur, emanował siłą. O swoich przodkach Apaczach nie rozповідаł na prawo i lewo. Zresztą płynęła w nim również krew białych, może dlatego jego indiańskie pochodzenie nie od razu rzucało się w oczy. Proteza, którą rano włożył, nawet z bliska wyglądała jak prawdziwa ręka. Miała specjalne czujniki, które pozwalały mu

czuć ciepło i zimno. Właściwie mógł nią robić wszystko, oprócz podnoszenia.

Wędrował długim korytarzem, na końcu którego znajdowały się gabinety szefów, kiedy nagle zauważył bawiące się dzieci. Dwie kruczowłose, ciemnookie dziewczynki. Przypomniało mu się, że raz w tygodniu pracownikom Ritter Oil wolno przyprowadzać z sobą swe pociechy. Wspaniale! Tylko tego mu brakuje w drugim dniu pracy: rozwrzeszczanych bachorów. Nie o to chodzi, że nie lubił dzieci. Lubił. Po prostu był zły, że nie miał własnych.

Jego była żona, Maureen, wytknęła mu bezpłodność, kiedy się rozstawali. Bardzo dobrze, stwierdziła, że jest bezpłodny; za nic w świecie nie chciałaby urodzić małych mieszańców. Poślubiając go, nie zdawała sobie sprawy, że płynie w nim indiańska krew. Gdyby wiedziała, nie stanęłaby z nim na ślubnym kobiercu.

W owym czasie kochał ją do szaleństwa. Kiedy po niecałych dwóch latach odeszła, myślał, że zwariuje z rozpacz. A gdy półtora roku później się z nim rozwiodła, upił się do nieprzytomności. Nie trzeźwiał miesiącami. Długo trwało, zanim wziął się w garść. Ale dzięki pomocy psychologa i przyjaciół w końcu mu się udało pokonać demony. Tylko czasem na widok dzieci czuł znajomy ból.

Jedna z dziewczynek oddaliła się ze śmiechem. Druga, mniej więcej sześciolatka, przystanęła ze dwa metry przed Colbym i wbiła w niego wzrok. Była śliczna: miała duże piwne oczy o mądrym spojrzeniu i długie ciemne włosy sięgające do pasa. W jej

żyłach płynęła latynoska krew. A może indiańska? Córka Phillipa Huntera towarzyszy dziś ojcu w pracy. Może to ona?

Po chwili dziewczynka podeszła do Colby'ego i pociągnęła go za rękaw, z którego wystawała proteza.

- Szkoda, że straciłeś rękę - rzekła. - Gdybyś nie pił, miałbyś lepszy refleks i zdążyłbyś się uchylić. Na szczęście ta sztuczna prawie nie różni się od prawdziwej. - Poglądziła ją.

Colby wzdrygnął się.

- Wciąż cię boli?

Ogarnęła go złość. Po jakie lichy Hunter opowiadał o nim córce? I jakim prawem smarkula go krytykuje? Że był zbyt powolny, że gdyby miał lepszy refleks... Jak ona śmie? Był przewrażliwiony na punkcie swego kalectwa, nie lubił o nim mówić. Nawet najbliżsi przyjaciele starali się omijać temat amputacji. A tu jakiś głupi bachor...

- Co cię to obchodzi? - warknął. Nieprzyjazny ton w połączeniu z grymasem niezadowolenia każdego mógł wystraszyć.  
- To moje życie i moja ręka, a tobie nic do tego!

- Prze... przepraszam - wydukała dziewczynka.

- Kto ci o mnie opowiadał? No, słucham! Pokręciła głową i zacisnęła zęby, żeby się nie rozplakać. Colby zaklął pod nosem.

- Wracaj do swojej matki albo ojca. I nie pałętaj się po korytarzach! To jest miejsce pracy, a nie przedszkole.

Mała, solidnie wystraszona, cofnęła się kilka kroków, po czym odwróciła się i załkawszy głośno, pobiegła pędem przed

siebie.

Colby zasznurował usta. Psiakrew, nie zamierzał atakować dziecka. Po prostu smarkuła go zaskoczyła. Nie powinna czynić tak osobistych uwag. On zaś nie powinien podnosić głosu. Owszem, nie lubił, gdy ktoś komentował jego kalectwo. Ale to nie powód, żeby się wściekać na sześciolatkę. Ruszył za nią, kiedy raptem z bocznego korytarza wyłonił się Hunter.

- Co się ugryzło? - spytał na widok zachmurzonej miny przyjaciela.

Był podobnego wzrostu i podobnej budowy co Colby, ale parę lat od niego starszy. Miał już pierwsze siwe włosy.

Colby zmarszczył czoło.

- - Jest tu dziś twoja córka?

- Tak. Bo co?

Colby'ego ogarnęły jeszcze większe wyrzuty sumienia.

- Sprawilem jej przykrość. Powiedziała coś o mojej protezie, a ja się wściekłem. - Zmierzył wzrokiem Huntera. - Po coś jej mówił, w jaki sposób straciłem rękę?

Hunter zmrużył oczy.

- Nigdy z Nikki nie rozmawiałem na ten temat - odparł zdziwiony.

- Hm, w takim razie może to nie była Nikki. Z wyglądu przypominała Latynoskę. Długie ciemne włosy, ciemne oczy... Dlatego pomyślałem, że...

- To mogła być córka Marie Gomes. Miała na sobie



haftowaną sukienkę?

- Nie.

Hunter zawahał się.

- Nie chciałem doprowadzić jej do łez - rzekł Colby, unikając spojrzenia przyjaciela. - Po prostu zdenerwowałem się. No bo jakim cudem obce dziecko zna szczegóły z mojego życia? - Na moment zamilkł. - A tak w ogóle to nie zatrudniłem się w charakterze babysitterki.

- Dzieciaki są tu tylko dzisiaj - odparł uspokajająco Hunter. - Jutro nie będzie żadnego.

Colby zerknął przez ramię.

- Pójdę odnaleźć tę małą. Muszę ją przeprosić.

Nagle Hunter znieruchomiał. Przypomniało mu się coś, co kiedyś o Colbym powiedziała Sarina Carrington. Przyjaźnili się, Hunterowie z Sariną i jej córeczką, jeszcze w Tucson. Sarina niedawno przeniosła się do Houston. Pomagała Hunterowi w pewnej sprawie, o której Colby nie mógł się dowiedzieć. Hunter potarł brodę. Biedny Colby! Czekają go niespodzianki. Kto wie, czy przypadkiem dziecko, na które nakrzyczał... Nie, lepiej o tym nie myśleć.

Colby zauważył otwarte drzwi - ze środka dobiegał płacz. Cholera, musi ją przeprosić. Problem w tym, że nie wiedział jak: nie znał się na dzieciach, a w dodatku nienawidził kobiet. Matka dziewczynki pewnie nie posiada się z oburzenia. Zawahał się. Był w pracy dopiero drugi dzień, a już narobił sobie wrogów. Staremu

Ritterowi to się nie spodoba. Tak, powinien jak najszybciej załagodzić konflikt. Podejrzał jednak, że to nie będzie proste. Tym bardziej że chciał uzyskać od dziewczynki odpowiedzi na parę pytań.

Wszedłszy do gabinetu, ujrzał szczupłą blondynkę uczesaną w kok, która tuliła do piersi szlochające dziecko. Kołysząc córkę w ramionach, cichym głosem szeptała jej coś do ucha. Głos kobiety wydał się Colby'emu dziwnie znajomy.

Wyczuwając obecność mężczyzny, dziewczynka uwolniła się z objęć matki i popatrzyła na niego zaczerwienionymi od płaczu oczami.

- *Matador de hombres!* - krzyknęła gniewnie. - *Hijo del Diablo!*

- *Lengna como una serpiente!* - odparował. Stał oszołomiony, nie mogąc uwierzyć, że obce dziecko nazywa go mordercą, kiedy nagle blondynka podniosła się z kolan i odwróciła twarzą w stronę drzwi. Miał wrażenie, jakby dostał obuchem w głowę. To była Sarina Car - rington, kobieta, którą skrzywdził i odtrącił. Jego pierwsza żona, o której nikt nie wiedział. Otworzył szeroko oczy. Ona również.

Wpatrywała się w niego bez słowa, zszokowana i zdumiona. Po chwili, schyliwszy się, wzięła na ręce dziecko i ponownie skierowała wzrok na mężczyznę w drzwiach. Colby Lane! Przez moment była pewna, że zemdleje. Serce waliło jej jak oszalałe. Czas cofnął się; znów była nastolatką po uszy zakochaną w

najprzystojniejszym facecie, jakiego w życiu widziała. Na sam jego widok zasychało jej w gardle i nie była w stanie sklecić jednego sensownego zdania. Po ich pierwszym pocałunku Colby roześmiał się, widząc wyraz zachwyty na jej twarzy. Kochała go bez granic. Od siedmiu lat nie mieli z sobą żadnego kontaktu. Nic o nim nie wiedziała, ani co robi, ani gdzie się podziewa...

Spokojnie, powiedziała do siebie w myślach; pamiętaj, że masz dziś dwadzieścia cztery lata i liczne obowiązki. W ciągu tych siedmiu lat rozłąki wydorosłała. Z wrażliwej, beznadziejnie zakochanej nastolatki, która niechcący zrujnowała Colby'emu - oraz sobie - życie, przeistoczyła się w odpowiedzialną młodą kobietę.

Wtedy, przed siedmioma laty, na skutek niefortunnego zbiegu okoliczności Colby został zmuszony, by ją poślubić. W trakcie trwającego jedną dobę małżeństwa okrutnie się na niej zemścił. Może miał powód, może na to zasłużyła. Ale nie pozwoli, by wyżywał się na Bogu ducha winnym dziecku! Zmrużywszy oczy, zmierzyła go spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Co tu robisz? - spytała chłodno. - I co powiedziałeś Bernardette?

Chociaż kotłowały się w nim dziesiątki emocji, z jego kamiennej twarzy nie sposób było nic wyczytać.

- Powinnaś ją nauczyć, że nie wolno zaczepiać obcych ludzi i ich obrażać.

Zmarszczywszy czoło, kobieta popatrzyła w oczy córeczki.

**- Bernie, obrazilaś pana?**

**Zaciskając mocniej rączki wokół szyi matki, dziewczynka łypnęła na obcego.**

**- Nie, mamusiu.**

**- Powiedziała mi coś bardzo osobistego. Moje prywatne życie nie powinno jej w najmniejszym stopniu interesować - stwierdził Colby ostrym głosem.**

**- I zapewniam cię, że nie interesuje. Ani jej, ani mnie - oznajmiła kobieta. - Życie twoje i twojej żony jest wyłącznie waszą sprawą.**

**Nie wiedziała, że już dawno temu rozwiódł się z Maureen. A jemu duma nie pozwoliła wyprowadzić jej z błędu. Spoglądając na blondynkę z dzieckiem w ramionach, cofnął się pamięcią do ich nocy poślubnej. Biedna Sarina przeżyła istny koszmar. Psiakrew, chociaż winił ją za wszystko, co się stało, nie chciał sprawić jej bólu. Po prostu tak wyszło. No ale teraz Sarina ma dziecko. Pewnie jest szczęśliwą matką i żoną.**

**- Twój mąż też tu pracuje? - Nie chciał o to pytać, ale nie umiał się powstrzymać.**

**- Nie jestem mężatką - odparła po chwili, stawiając córkę na ziemi. - Kochanie, poszukaj Nikki i idźcie do bufetu, dobrze? - Kiedy zwracała się do dziecka, z jej oczu i głosu biła miłość.**

**- No, kwiatuszku... - Uśmiechnęła się ciepło.**

**- Lepiej się czujesz?**

**- Tak, mamusiu.**

Dziewczynka odwzajemniła uścisk matki, po czym mierząc Colby'ego wrogim spojrzeniem, bez słowa opuściła gabinet. Oddech miała dziwny, jakby świszczący. Pewnie na skutek płaczu, pomyślał. Ogarnęły go jeszcze większe wyrzuty sumienia.

- Przepraszam - powiedział, kierując wzrok na kobietę, która była niczym zjawą z przeszłości. - Nie chciałem doprowadzić jej do łez.

Sarina obeszła biurko i usiadła w fotelu. Przez kilka sekund przyglądała się Colby'emu, jakby był muzealnym eksponatem.

- Co tu robisz? - powtórzyła rzeczowym tonem. - Jeśli się nie mylę, nasze małżeństwo zostało unieważnione siedem lat temu. Wprawdzie nie otrzymałam żadnych dokumentów, ale... - Wzruszyła ramionami.

Dopiero w tym momencie uzmysłowił sobie, że on też nic nie dostał. Nigdy mu specjalnie nie zależało, by mieć potwierdzenie na piśmie, lecz... Nagle przyszło mu do głowy, że nie ma również papierów rozwodowych z drugiego małżeństwa. Pewnie Maureen je zabrała.

Wrócił myślami do teraźniejszości. Do pytania, jakie mu zadała Sarina.

- Hunter chce się przenieść z powrotem do Tucson. Mam zająć jego miejsce.

Zaskoczyła ją ta informacja. Żona Huntera, Jennifer, która była jej najbliższą przyjaciółką, zawsze twierdziła, że uwielbia Houston. W oczach Sariny odmalowało się zdziwienie. Nie

porażała urodą, ale miała piękne oczy, zmysłowe usta, gładką brzoskwińową cerę oraz lśniące włosy. Była szczupłą, o drobnych piersiach i wąskiej talii, która przechodziła w ponętnie zaokrąglone biodra i długie zgrabne nogi. Rozebraną widział ją tylko raz, ale to wystarczyło, aby ten obraz na zawsze wrył mu się w pamięć. Często stawała mu przed oczami: roześmiana podczas spaceru w parku; tuląca się do jego piersi; wyjąca z bólu, gdy stracił nad sobą kontrolę; drżąca i zapłakana...

Popatrzył na dorosłą kobietę siedzącą za biurkiem. Nawet nie domyślała się, jak straszne miał wyrzuty sumienia po tym, co jej zrobił. Mimo upływu lat nadal go nękały.

- Od dawna pracujesz u Rittera? - spytał.

- Siedem lat - odparła, unikając jego wzroku. - Ale w Houston przebywam czasowo; kiedy uporam się z pewnym zadaniem, jakie mi zlecono, wrócę do Tucson. Tam mieszkamy, ja i Bernardette.

Bernardette. Na dźwięk tego imienia znów załwały go obrazy z przeszłości. Spędził z Sariną kilka cudownych beztroskich miesięcy. W owym czasie strzegł jej ojca milionera, który w swoich tajnych kopalniach wydobywał cenny surowiec o znaczeniu strategicznym. Lokalizację kopalni chciała poznać grupa ludzi, którzy nie cofnęliby się przed porwaniem ani zabójstwem. Colby'ego, który był członkiem wywiadu wojskowego, przydzielono do ochrony starego Carringtona. Tak poznał Sarinę. Zaprzyjaźnili się. Ponieważ studiowała, uznał, że ma

**dwadzieścia dwa, trzy lata.**

**Nadal nie wiedział, że maturę zdała rok wcześniej niż jej rówieśnicy, a w college'u zaliczyła dwa lata w ciągu jednego roku. Nie wiedział, że w dniu ich małżeństwa miała zaledwie siedemnaście lat. Zostali przyłapani w dość kompromitującej sytuacji przez ojca Sariny, jego dwóch kolegów z pracy oraz ich żony. Stary Carrington, chcąc zachować twarz, zmusił Colby'ego do ożenku, uciekając się do szantażu. Colby kochał swoją pracę i nie chciał jej stracić, toteż znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Co miał zrobić? Zgodził się na małżeństwo. Carrington z góry założył, że Colby posiadał jego córkę. Mylił się. Sarina wciąż była dziewczyną.**

**W noc poślubną Colby zemścił się. Do dziś gorzko tego żałował. O świcie opuścił sypialnię. Czuł do siebie tak wielką pogardę i odrazę, że nawet nie był w stanie spojrzeć na żonę, która leżała na łóżku wstrząsana szlochem. Oczywiście nazajutrz Carrington wystąpił o unieważnienie małżeństwa. Wystarczyły mu dwie informacje, które uzyskał od prywatnego detektywa: po pierwsze, że w żyłach Colby'ego płynie indiańska krew, a po drugie, że mimo drogich ubrań i zamiłowania do luksusu Colby zdecydowanie nie należy do ludzi majątnych.**

**Ciekaw był, jak Sarina zareagowała na żądanie ojca; podejrzewał, że bez większych oporów zgodziła się skłamać, że małżeństwo nie zostało skonsumowane.**

**Na początku, kiedy łączyła ich tylko przyjaźń, kilka razy**

rozmawiali niezobowiązująco o dzieciach. Sarina nie wyobrażała sobie bez nich życia. Zwłaszcza marzyła o córce, której zamierzała dać na imię Bernardette. Kiedyś oglądała stary film i właśnie tak miała na imię jego bohaterka.

- Słyszałam, że Hunter szuka kogoś do pomocy... - Na moment Sarina umilkła. - Podobno wczoraj zatrzymano jakichś handlarzy narkotyków - dodała, nie patrząc mu w oczy. - Zdaje się, że Hunter brał udział w akcji.

- Ja też.

Starła się ukryć zaskoczenie.

- Czy... czy wśród aresztowanych był ktoś z Ritter Oil?

- Przykro mi, ale cywilom nie udzielam informacji na temat bieżących spraw - odparł Colby.

Wbiła w niego wzrok.

- Nic się nie zmieniłeś, wiesz? Jesteś równie zimny i skryty jak dawniej.

- Ty natomiast bardzo się zmieniłaś. Z trudem cię rozpoznałem.

- Dorosłam - stwierdziła. - Dzieci doroślej.

- Dzieci? Nie byłaś dzieckiem, kiedy łąziłaś za mną jak złakniony uczuć szczeniak - rzekł, świadomie ją raniąc.

Zawahała się. Nie chciała się jednak przyznawać, ile wtedy miała lat.

- Patrzyłam w ciebie jak w obrazek. Ale już tego nie robię - dodała z nutą sarkazmu. - Skutecznie mnie oduczyłeś.



- Cóż... - Tym razem to on unikał patrzenia jej w oczy. -  
Życie toczy się dalej.

- To prawda. - Z szuflady biurka wyjęła dyskietkę i wsadziła ją do komputera. - Przepraszam, mam pilną robotę.

- Słuchaj... Jeśli chodzi o twoją małą... Podniosła znad biurka spojrzenie.

- Bernardette nie jest przyzwyczajona do tego, żeby obcy ludzie na nią krzyczeli. Mimo że czasem bywa narażona na rasistowskie uwagi.

- Z powodu latynoskiego pochodzenia? - spytał Colby, przypominając sobie, że dziewczynka mówi płynnie po hiszpańsku. - Ja też jestem mieszańcem.

- Wiem. Pamiętam, że starałeś się ukryć swoje indiańskie korzenie. Ale to jedyna rzecz, jaką o tobie pamiętam. - Uśmiechnęła się cierpko. - A teraz wybacz, jestem zajęta. - Całą uwagę skupiła na ekranie komputera.

Colby obrócił się na pięcie i wyszedł na korytarz. Z trudem hamował wściekłość.

Sarina wypuściła z płuc powietrze. Miała wrażenie, że wstrzymuje oddech od momentu, gdy Colby wszedł do pokoju. Czowała się zmęczona, totalnie wyczerpana z sił. Przed laty kochała Colby'ego Lane'a do szaleństwa, ale miłość do niego zniszczyła jej życie. Teraz wystarczyło jedno spojrzenie, by wspomnienia ożyły, i dobre, i złe.

Zastanawiała się, co Bernardette mogła powiedzieć, aby

wywołać tak gniewną reakcję. Dziewczynka miała dziwne przebliski świadomości, zupełnie jakby obdarzona była darem jasnowidzenia. Potrafiła odgadywać przyszłość, czym budziła strach wśród innych dzieci. Budziła również niepokój matki. Świętej pamięci dziadek Bernardette posiadał identyczne umiejętności, podobnie jak jej mieszkający w Oklahomie wuj z plemienia Komanczów. Sarina modliła się, aby ten dar nie przysporzył córce więcej kłopotów niż pożytku.

No dobrze, dar darem, a praca pracą. Miała nadzieję, że niespodziewane pojawienie się Colby'ego nie przeszkodzi jej w wykonywaniu obowiązków.

Colby niewiele o niej wiedział, nie orientował się, czym się zajmuje w Ritter Oil Corporation, a ona nie zamierzała go w nic wtajemniczać. Oby tylko Bernardette nie zdradziła się ze swoją znajomością języka Apaczów. Colby najwyraźniej znał hiszpański, bo odpowiedział małej w tym języku. Hm, musi pogadać z Phillipem. Wiedziała, że on i Jennifer tęsknią za Tucson, ale nie wspominali, że chcą się tam z powrotem przenieść. Przecież Jenny, która po raz drugi była w ciąży, zajmuje się miejscowy lekarz.

Obie rodziny łączyły bliskie stosunki. Córeczka Hunterów, Nikki, była najlepszą przyjaciółką Bernardette. Sarina westchnęła; powinna uprzedzić Hunterów, aby nie rozmawiali o niej z Colbym, a zwłaszcza by nie wspominali mu o wizjach jej córki. Nie może pozwolić, by Colby dowiedział się, kto jest ojcem

**małej Bernie. Psiakość! Dlaczego los znów ich zetknął?**

**Przypomniała sobie, jak nerwowo dziewczynka zareagowała na obecność Colby'ego. Żeby zająć jej myśli czymś innym, kazała Bernie poszukać Nikki. Miała nadzieję, że obejdzie się bez komplikacji, ale czasem objawy choroby występowały dopiero po paru godzinach...**

**Z wysiłkiem skierowała wzrok na ekran komputera. Lepiej nie martwić się na zapas. Może wszystko rozejdzie się po kościach. Oby! Szlag by trafił Colby'ego! Czy musiał wyładować gniew na niewinnym dziecku?**

**Jego czarne oczy płonęły z wściekłości, kiedy parę minut później wparował do gabinetu Huntera i głośno zamknął za sobą drzwi. Hunter uniósł głowę.**

**- Wciąż chodzisz nabuzowany? Colby zignorował pytanie.**

**- Słuchaj, ta dziewczynka... ta, która wiedziała o mojej protezie, to córka Sariny Carrington!**

**Hunter zmarszczył czoło.**

**- I co z tego?**

**- Sarina... - Colby zawahał się. - Sarina to moja była żona.**

**Hunter upuścił na biurko długopis, który trzymał w palcach. On i Jenny przyjaźnili się z Sariną od siedmiu lat i wiedzieli, że Sarina zna Colby'ego. Nigdy jednak nie wspominała im o żadnym ślubie.**

**Colby nie zwrócił uwagi na reakcję przyjaciela. Z rękami wetkniętymi do kieszeni podszedł do okna.**

- To było dawno temu - dodał, wyglądając na dwór. -  
Małżeństwo trwało dobeę, po czym ona wystąpiła o rozwód.

- Mądra dziewczyna.

Przez chwilę Colby milczał. Wspomnienia o tamtym krótkim epizodzie z jego życia wciąż były bolesne.

- Studiowała, kiedy się pobraliśmy. Myślałem, że zostanie nauczycielką, może psychologiem, a ona... Pracuje na jakimś urzędniczym stanowisku, tak?

Odwróciwszy się od okna, popatrzył na Huntera. Ten opuścił szybko wzrok.

- Tak, w dziale akt - odparł, usiłując zachować kamienny wyraz twarzy. - Z tego, co się orientuję, przerwała studia. Szukała jakiejś lżejszej pracy, żeby móc więcej czasu poświęcać córce.

Brzmiało to przekonująco, toteż Colby nie miał powodu mu nie wierzyć. Spotkanie z Sariną wytrąciło go jednak z równowagi. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, nie mówiąc o tym, że będą pracować w tej samej firmie. Dalsze spotkania były nieuniknione. Cholera jasna! Nie chciał, by jej widok stale przypominał mu o tym, jak brutalnie się z nią obszedł.

- Dlaczego nie pracuje w Tucson? - spytał. - Macie tam przecież filię.

- Owszem. I właśnie w Tucson się poznaliśmy - wyjaśnił Hunter. - A do Houston przysłano ją w zastępstwie kogoś, kto musiał wyjechać. Pewnie niedługo wróci z małą do Arizony.

- To dobrze - zauważył Colby z ulgą.

- Słuchaj, jestem umówiony z Eugene'em Ritterem. Masz ochotę się ze mną wybrać?

- A muszę?

Wolałbym nie, odparł w myślach Hunter. Miał przed sobą kilka tajemnic, do których nie mógł go dopuścić.

- Niekoniecznie - odparł. - Zdam ci relację. A ty zajmij się czymś pożytecznym, na przykład przejdź się po działach i przedstaw szefom.

Colby skrzywił się.

- No dobra. Postaram się wszystkich oczarować.

- O, takiego cię lubię! - Hunter zgarnął z biurka notatki. - Pogodziłeś się z Bernardette?

- - Najchętniej odarłaby mnie żywcem ze skóry.

Hunter uśmiechnął się pod nosem; chciał zażartować, że on, Colby, też najpierw odarłby wielu wrogów ze skóry, a dopiero potem się z nimi pogodził. Ugryzł się jednak w język.

- To miłe dziecko, przyjaźnie nastawione do całego świata.

- Może do świata, ale nie do mnie. Mnie nie znosi. Zresztą ja też nie przepadam za bachorami, które komentują cudzy wygląd.

- Zmarszczył czoło. - Skąd wiedziała, że mam amputowaną rękę? - spytał gniewnie. - Nie od Sariny, bo od siedmiu lat nie miałem z nią kontaktu. A jeśli ty i Jenny nic nie mówiliście Nikki...

- Nie mówiliśmy. Słowo. Po prostu Bernardette wie o różnych sprawach. Może ma wśród przodków jakiegoś szamana albo jasnowidza?

**Colby zmarszczył czoło.**

**- Szamana? Myślałem, że w jej żyłach płynie latynoska krew.**

**- Może, nie wiem. Nie rozmawiałem z Sariną na ten temat - - oznajmił Hunter. Nie zamierzał puścić pary z ust. Sarina by go zabiła. Nie żeby znał jakiegokolwiek szczegóły; po prostu się ich domyślał.**

**..... Nie orientujesz się, kto jest ojcem malej?**

**Hunter skierował się ku drzwiom.**

**- Nie mam zielonego pojęcia.**

**Nie skłamał. Faktycznie nie wiedział. I nigdy się nad tym nie zastanawiał - aż do dziś. Musiał jednak trzymać język za zębami. Nie mógł zdradzić Colby'emu, że ojciec Bernardette pochodzi z plemienia Apaczów. Populacja Apaczów była stosunkowo nieduża. Kilku kuzynów Colby'ego nadal mieszkało na terenie rezerwatu w Arizonie. Gdyby Colby zaczął zadawać pytania...**

**- Wrócę mniej więcej za godzinę. Teraz ty tu dowodzisz.**

**Colby przyłożył rękę do zawieszzonego u paska telefonu komórkowego.**

**- Gdyby coś się działo, zadzwonię. Hunter uśmiechnął się krzywo.**

**Tak jak obiecał przyjacielowi, Colby ruszył w obchód po Ritter Oil Corporation. Pukał do gabinetów, przedstawiał się szefom działów. Jeden - zastępca kierownika kadr, bubek o nazwisku Brody Vance, który zachowywał się tak, jakby pozjadał wszystkie rozumy, z miejsca wywarł na nim złe wrażenie. Jego**

asystentkę, miłą dziewczynę, której facet, Alexander Cobb, pracował w DEA, rządowej agencji do walki z narkotykami, Colby poznał wczoraj podczas akcji w magazynie. Zawdzięczał jej życie. Zresztą nie tylko on; również Hunter i Cobb. Dziewczyna ostrzeliwana przez bandziorów przejechała samochodem na drugi koniec wielkiej hali, żeby wybawić z opresji ukochanego. Co za babka!

Skręciwszy w boczny korytarz, Colby ponownie natknął się na Sarinę. Obok niej stał wsparty niedbale o ścianę, z rękami skrzyżowanymi na piersi, mężczyzna na oko czterdziestoletni, pochodzenia latynoskiego. Byli tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyli go, on zaś był tak pochłonięty obserwowaniem ich, że nie zauważył dziewczynki, która podbiegła do nich, wołając wesoło:

- Rodrigo! Przyjdiesz na moje urodziny?

- Oczywiście, myszko. - Schyliwszy się, pochwycił Bernie w ramiona i obrócił się kilka razy wkoło. - Za nic w świecie nie przegapiłbym tortu i lodów!

- Lodów, tortu i mnie! - Pocałowała go w policzek i objęła mocno za szyję. - Kochany Rodrigo! Co byśmy z mamusią bez ciebie zrobiły?

- Nie martw się. - Przytulił dziewczynkę. - Nie mam zamiaru was zostawiać.

Sarina spojrzała na zegarek.

- No, pora na nas. Po drodze muszę jeszcze wpaść do sklepu.

**Przyjdiesz na kolację?**

**Mężczyzna potrząsnął głową.**

**- Dzięki, ale nie. Mam spotkanie.**

**- No tak, zapomniałam.**

**- Innym razem.**

**Uśmiechnęła się tak promiennie, że Colby poczuł skurcz w żołądku.**

**- Wiesz, że jesteś zawsze mile widziany. Rodrigo cmoknął ją lekko w czoło.**

**- Dbaj o moją księżniczkę - powiedział, mrugając porozumiewawczo do dziewczynki.**

**- Dbam, dbam - odparła ze śmiechem Sarina, machając mu na pożegnanie.**

**Kiedy matka z córką obróciły się, ich oczom ukazał się Colby, który stał na środku korytarza.**

**- Zobacz, mamusiu. To znów ten okropny pan.**

**- Kochanie, nie wolno tak nieładnie mówić o ludziach - skarciła córkę Sarina, a w duchu dodała: nawet jeżeli ci ludzie w pełni na to zasługują.**

**- Przepraszam, mamusiu - rzekła cicho Bernardette, obrzucając Colby'ego niechętnym spojrzeniem.**

**Wziąwszy córkę za rękę, kobieta ruszyła przed siebie. Przy Colbym przystanąła. Nie usunął się na bok, żeby ją przepuścić.**

**- Co to za jeden? - spytał, wskazując kierunek, w jakim udał się Rodrigo.**



- Przyjaciel - odparła automatycznie, zanim pomyślała, że to nie jego interes. - Rodrigo Ramirez. Pracuje w Ritter Oil. A teraz chciałabym przejść.

- To on jest ojcem malej? Uniosła brwi.

- Rodrigo? Znam go zaledwie trzy lata, a Bernie ma ponad sześć.

Colby popatrzył na dziewczynkę przez zmrużone oczy.

- Mam nadzieję, że nie chcesz mnie w nią wrobić - rzekł ni stąd, ni zowąd. Nie wiedział, skąd tak idiotyczny pomysł przyszedł mu do głowy. - Wolałbym zdechnąć, niż mieć cokolwiek wspólnego z tak źle wychowanym dzieckiem.

Sarina nie była mściwą kobietą o wybuchowym temperamentie, ale jego stwierdzenie podziało na nią niczym płachta na byka. Tak wiele przeżyła, tyle się nacierpiała od pierwszych tygodni ciąży aż do rozwiązania! A potem jeszcze te wszystkie problemy zdrowotne. Wpadła w furję. Niewiele się zastanawiając, z całej siły kopnęła Colby'ego w goleń.

Zaklął głośno, po czym pochylił się i zaczął trzeć obolałe miejsce.

- Brawo, mamusiu! - zawołała radośnie Bernardette. - W dodatku kopnęłaś go w tę samą nogę, w którą dostał niedawno kijem baseballowym.

Colby wytrzeszczył oczy. Miesiąc temu, kiedy jeszcze pracował u Pierce'a Huttona, rzucił się w pogoń za łobuzem uzbrojonym w kij baseballowy. Bandzior bronił się; w pewnym

momencie zdzielił go kijem tuż poniżej kolana. Skąd, u licha, Bernardette o tym wie?

- Chodź, kochanie. - Sarina pociągnęła córkę za rękę i szybkim krokiem oddaliła się w stronę mieszczącej się na parterze kawiarenki przeznaczonej dla pracowników.

Colby ruszył za nimi, kuśtykając.

- Ta mała jest czarownicą! - zawołał w języku Apaczów.

Sarina nie zareagowała, zdawała się go nie słyszeć, dziewczynka natomiast obróciła się przez ramię i zmierzyła go zimnym wzrokiem. Gdyby tak bardzo nie bolała go noga, może zauważyłby, że Bernardette go zrozumiała.

W kawiarence Alexander Cobb kupował cappuccino dla siebie i młodej kobiety, która poprzedniego dnia w magazynie wybawiła ich z opresji. Widząc, jak Alex przygląda mu się z rozbawieniem, Colby skrzywił się. Cholera, wolałby, by pierwszy tydzień w nowej pracy miał nieco spokojniejszy przebieg.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Słowa Colby'ego, aby przypadkiem nie próbowała przypisać mu ojcostwa, nie dawały Sarinie spokoju. Oczywiście mówił ironicznie; nic się za tym nie kryło. Nie miał przecież powodu niczego podejrzewać. Po prostu chciał jej sprawić przykrość. Nie zająknął się na temat jej rozpaczliwego telefonu sprzed sześciu i pół lat ani swojej reakcji. A zareagował brzydtko - nawet nie podniósł słuchawki. Kazał Maureen powiedzieć, że jest bezpłodny, więc dziecko nie może być jego. Dobrze sobie!

Nie było jej wtedy do śmiechu. Zadzwoiła do niego w dziewiątym miesiącu ciąży, kiedy znalazła się w beznadziejnej sytuacji. Była sama, bez grosza przy duszy. Nie miała pracy, zresztą nikt by jej nie przyjął z takim brzuchem, miała za to sporo długów. Cięża była zagrożona; lekarz robił wszystko, aby uratować jej dziecko. A Colby... Colby poprosił Maureen, by powiedziała jej, że ona, Sarina, kłamie, że to nie z nim zaszła w ciążę i on nie życzy sobie, aby kiedykolwiek więcej zwracała mu głowę. Jesteś wredną małą kłamczucha, oznajmiła Maureen, cytując słowa męża. Colby nienawidzi cię za to, że usiłujesz zniszczyć nasze małżeństwo. Jeżeli będziesz próbowała oskarżyć go o ojcostwo, dodała, poda cię do sądu.

Mimo upływu lat zachowanie Colby'ego nadal ją bolało. To, że nie raczył wtedy nawet podejść do telefonu, że uważał się za bezpłodnego i chciał, aby ona o tym wiedziała. W porządku, przyjęła to wszystko do wiadomości. Było jej ciężko, ale jakoś

sobie poradziła. Nie sądziła, że jeszcze kiedyś go spotka.

Może niepotrzebnie się denerwowała? Przypuszczalnie Colby wciąż jest mężem Maureen. Z tego, co mówił, jasno wynikało, że nie przepada za dziećmi. I jeśli naprawdę wierzy, że jest bezpłodny, może jego grubiańskie uwagi o ojcostwie nie mają większego znaczenia.

Szkoda, pomyślała, że los znów ich z sobą zetknął, zwłaszcza teraz, gdy tak często groziło jej niebezpieczeństwo. Praca, którą wykonywała, wiązała się z dużym ryzykiem, ale z powodu córki zaczynało jej to coraz bardziej ciążyć. Była patriotką, kochała swoją ojczyznę i gotowa była do wielu poświęceń, lecz czy miała prawo narażać dziecko? Jeżeli coś się jej przydarzy, kto zaopiekuje się Bernardette?

Poza matką dziewczynka nie miała żadnej rodziny. Nie licząc oczywiście ojca. Ale on nawet nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. A szansa, że obcy ludzie zaadoptują dziecko obdarzone tyloma problemami zdrowotnymi, jest raczej znikoma. Właściwie z każdym dniem Sarina coraz bardziej żałowała, że wybrała taką, a nie inną karierę.

Kilka dni później zmywała naczynia, kiedy usłyszała strzał. Bernardette, która siedziała na leżaku na werandzie, wbiegła przestraszona do domu.

- Mamusiu, na ulicy jest chłopiec z pistoletem!

Sarina pochwyciła córkę w ramiona.

- Nic ci nie jest? Kula cię nie drasnęła?

- Nie, mamusiu.

- Zostań tu! I nie ruszaj się! Wepchnęła dziecko w niewielką przestrzeń koło lodówki, następnie sięgnęła po zawieszony nad drzwiami kluczyk do szafki w przedpokoju. Może będzie musiała użyć tego, co jest w środku? Podbiegła do okna w salonie i przez wąską szparę w zasłonach wyjrzała na dwór.

*Señora* Martinez stała na ganku z rękami przyciśniętymi do ust i wpatrywała się w trzech nastolatków w kolorowych chustach na szyi, którzy gnali do zaparkowanego przy krawężniku samochodu. Czwarty chłopak wydzierał się na całe gardło, obrzucając ich stekiem wyzwisk. Trzymał się za krwawiące ramię. Sarina знаła rannego: to był Raoul, wnuk staruszki. Po chwili podszedł do babki, pocałował ją w czoło i zaczął uspokajać. Staruszka chwyciła młodzieńca za zdrowe ramię i mamrocząc coś pod nosem, wciągnęła go do domu.

Przypuszczalnie strzelającym był siostrzeniec kobiety, czternastoletni Tito, który - Sarina nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości - prędzej czy później wyląduje za kratkami. Tito brał narkotyki, a kiedy znajdował się pod ich wpływem, stawał się agresywny. Co prawda Raoul, którego kula drasnęła w ramię, gdy wystąpił w obronie babki, też miał sporo na sumieniu - był szefem jednego z najgroźniejszych gangów w tej części miasta. Sarina lubiła swoją sąsiadkę. Nie chciała, żeby zabił ją w narkotycznym szale jej durny, naćpany siostrzeniec. Poważnie wspomnieć o incydencie zaprzyjaźnionemu

policjantowi. Na razie jednak nie zamierzała dzwonić na komendę; wolała, by jej nazwisko nie figurowało w żadnym raporcie. Zamknęła ponownie na klucz szafkę w przedpokoju, a klucz jak zwykle powiesiła wysoko nad drzwiami.

- Czy już po wszystkim, mamusiu? - spytała z kuchni Bernardette.

- Tak, kochanie. - Z całej siły przytuliła córkę. - Ale pamiętaj: musisz być bardzo ostrożna. Nie wolno ci siadywać samej na werandzie.

- Wiem, przepraszam.

- To niebezpieczna dzielnica. Niebezpieczna, lecz przynajmniej czynsz był tu niski. Oczywiście wolałaby mieszkać w lepszej części miasta, ale cóż, na wybór miejsca wpłynęły wysokie rachunki za leczenie, które nieustannie musiała opłacać. Przyjrzała się uważnie córce. Miała nadzieję, że strzelanina przed domem nie wywoła w niej kolejnego ataku. Na szczęście mała nie sprawiała już wrażenia wystraszonej.

- Mnie się tu podoba - oznajmiła, uśmiechając się szeroko. - Inne dzieci się ze mną bawią. I wcale się ze mnie nie wyśmiewają. Mamusiu, czy ja jestem mieszańcem? Metyską?

Sarina roześmiała się wesoło.

- Tak, kochanie - przyznała pogodnym tonem. - Płynie w tobie indiańska krew. Pamiętasz, co dziadek opowiadał o kobietach wojowniczkach z plemienia Apaczów? Twój przodek to bardzo dzielni ludzie.

- Tatuś też?

Sarina przygryzła wargę.

- Oczywiście, kochanie - odparła, zmuszając się do uśmiechu.

- Dlaczego mnie nie chciał? - spytała dziewczynka.

- Bernardette...

- Nigdy o nim nie rozmawiamy. Ale dziadek go kochał, prawda? Mówił, że tatuś był człowiekiem o skomplikowanej naturze, który nie potrafił się odnaleźć w tym świecie.

- To bardzo wnikliwa obserwacja, moja droga.

- Widziałam, jak ten wstręciuch został postrzelony - stwierdziła nagle dziewczynka. - Ale kiedy go spytałam, czy go boli ręka, zachował się paskudnie.

- Kto? - Sarina zmarszczyła w zadumie czoło. - O kim mówisz, kochanie?

- Ten wstręciuch, którego kopnąłaś w nogę. On mnie nie lubi. Ale ja jego też nie.

Od czasu do czasu Bernardette czyniła dziwne uwagi na temat pewnego ciemnowłosego mężczyzny. Sarina wiedziała, że córka miewa wizje, że potrafi przepowiadać przyszłość, jednakże aż do dziś nie przypuszczała, że ciemnowłosym mężczyzną, o którym Bernardette tyle mówi, jest właśnie Colby Lane. Było to dość przerażające.

Usiadła na kanapie.

- Co jeszcze widziałaś? - spytała z powagą.

- Że wypił z butelki jakiś śmierdzący płyn i pan, u którego

pracował, dał mu w zęby. A potem była strzelanina; on strzelał i do niego strzelali. I potem jego ramię było zakrwawione. To się stało w jakiejś Afryce.

- Widziałaś to wszystko? - zdumiała się Sarina.

Dziewczynka skinęła głową, po czym odgarnęła za ucho kosmyk długich włosów.

- Widziałam jeszcze kobietę, która odeszła. On bardzo był z tego niezadowolony.

Serce Sariny zabiło mocniej. Czyżby Maureen zostawiła Colby'ego? Przepelniła ją radość, która jednak szybko zgasła. Colby nigdy nie przeboleje utraty Maureen. Powinna to zaakceptować.

Nie będzie chciał być z nią, Sariną. Nie chciał przed laty, nie będzie chciał teraz.

- Co ty na to, żebyśmy zamówiły dziś pizzę? spytała córkę.

- Ojej, możemy? Z pieczarkami?

- Z czym tylko sobie życzysz. - Wstała z kanapy i z zatroskaną miną ponownie wyjrzała przez okno. - Mam nadzieję, że dostawca dotrze tu bezpiecznie.

- Nie martw się, mamusiu. - Dziewczynka błysnęła ząbkami w uśmiechu. - Wszystko będzie dobrze; ja cię ochronię. Wiesz, dziadek mówił, że jego ojciec był szamanem. Miał też brata, który widział rzeczy, zanim one się stały.

Sarina zawahała się; nie bardzo wiedziała, jak poruszyć pewien kłopotliwy temat.



- Córeńko, chciałabym, żebyś mi coś obiecała.

- Co, mamusiu? Sarina przygryzła wargę.

- Ten postrzelony w ramię mężczyzna... ten, którego nie lubisz... Obiecaj mi, że nigdy, przenigdy nie powiesz przy nim nic w języku Apaczów.

- Dlaczego? - Na twarzy dziewczynki odmalowało się zdumienie.

- Proszę, nie pytaj mnie o to. Po prostu obiecaj. Wiem, że potrafisz dotrzymać słowa.

- To prawda. Dziadek nauczył mnie, że nie wolno łamać obietnicy. - Przez chwilę patrzyła badawczo na matkę, po czym skinęła głową.

Dobrze, mamusiu. Obiecuję.

Sarina uścisnęła ją mocno.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też, mamusiu. - Dziewczynka uwolniła się z objęć matki. - Myślisz, że Święty Mikołaj przyniesie mi na Gwiazdkę mikroskop?

Sarina roześmiała się dźwięcznie.

- Oj, myszko, jeszcze dwa miesiące do Bożego Narodzenia. Za wcześnie, żeby zastanawiać się nad prezentami. - Na moment zamilkła, po czym dodała łagodnie: - Kochanie, ten mikroskop, o którym marzysz, jest bardzo drogi.

Dziewczynka położyła dłoń na ramieniu matki i popatrzyła na nią poważnie.

- Wiem, że moje lekarstwa dużo kosztują. W takim razie... zrezygnuję z mikroskopu.

- Nie! - sprzeciwiła się matka.

- Ale jak jest taki drogi...

- To nie ma znaczenia. - Sarina przytuliła córkę. - Coś wykombinujemy.

- Chciałabym być taka jak Nikki - szepnęła Bernardette. - Ona nigdy nie choruje.

Sarina zamknęła oczy. Czyniła sobie wyrzuty, że od początku nie potrafiła zapewnić córce lepszej opieki medycznej. Lekarze twierdzili, że to niczego by nie zmieniło, ale nie do końca im wierzyła. Boże, jeśli cokolwiek się stanie Bernie... Nie przeżyłaby tego.

Dziewczynka odsunęła się o krok i popatrzyła na zaszępioną twarz matki.

- Mamusiu, nie martw się o mnie. Nic mi nie jest. Przysięgam. - Uśmiech rozświetlił jej oczy.

- Wiesz co? Jak dorosnę, zostanę detektywem, będę pracować w dużym mieście i poślubię bardzo przystojnego pana. Wszystko to sobie wyśniłam.

Sarina odetchnęła głęboko. Poczula ulgę. Bernardette naprawdę miewa prorocze sny.

- Czyli możesz być o mnie zupełnie spokojna - ciągnęła dziewczynka. Nie przyznała się, że to przyszłość matki napawają niepokojem. - A jeśli chodzi o mikroskop - dodała, uśmiechając się

**figlarnie - to może Mikołaj spełni moje życzenie. Właściwie jestem pewna, że tak będzie.**

**- Może. Kto wie?**

**- Nie zaszkodzi go poprosić, nie?**

**- Masz rację. - Sarina wstała z kucek. - To co, zamawiamy pizzę?**

**Colby Lane wrócił do małego wynajętego mieszkania i wyjął z lodówki mrożone danie. Nagle naszła go ogromna ochota na pizzę. Zupełnie tego nie rozumiał.**

**Czekając, aż zabrzączy dzwonek w kuchence mikrofalowej, sprawdził, czy nikt się nie nagrał na sekretarkę. Nie, nie było żadnych wiadomości. Nie zdziwił się. Poza Hunterami nikogo w Houston nie znał. Nie prowadził życia towarzyskiego i, nie licząc Tate'a Winthrop, nie miał żadnych przyjaciół. Tate przebywał teraz w Waszyngtonie, razem z Cecily i ich synkiem. Znów pracował dla rządu, ale już nie brał udziału w żadnych niebezpiecznych misjach. Ojca Colby stracił dwa lata temu, ale dowiedział się o tym dopiero przed rokiem, kiedy wybrał się z wizytą do rezerwatu. W rezerwacie mieszkali jego kuzyni, którzy z wyraźnym ociąganiem odpowiadali na jego pytania. Wyjaśnili, że ostatnie lata życia staruszek spędził w Tucson. Został pochowany na starym indiańskim cmentarzu w pobliżu swojego dawnego domu.**

**Od czasu małżeństwa z Maureen Colby właściwie nie kontaktował się z ojcem. Starzec nie zapalał sympatią do swojej**

synowej, a Colby zbyt emocjonalnie zareagował na słowa krytyki. Nigdy nie czuł z ojcem silnych więzów. Kochał matkę, która zmarła, gdy był małym chłopcem. Po jej śmierci ojciec kompletnie się załamał; zaczął pić, miewał ataki złości. Colby winił ojca za wszystko. Teraz, gdy był starszy i na własnej skórze poznał, co to znaczy mieć obsesję na punkcie kobiety, trochę lepiej potrafił zrozumieć jego zachowanie. Żałował, że tak długo czekał, aby się z nim pogodzić, że wcześniej nie wyciągnął do niego ręki. Dziś został sam jak palec, bez żony, bez dzieci, bez rodziców. Owszem, miał wuja w Oklahomie i dwóch kuzynów na terenie rezerwatu, ale pewnie by ich nie rozpoznał, gdyby spotkali się na ulicy. Wiódł bardzo samotne życie.

Kiedy pobierali się z Maureen, wyobrażał sobie, że zestarzeją się razem w domu rozbrzmiewającym śmiechem dzieci. Ale Maureen nie chciała mieć dzieci będących w połowie Apaczami. Może to i lepiej, pomyślał z goryczą, skoro okazał się bezpłodny. Przed oczami stanęła mu córka Sariny, mała Bernardette. Ciekaw był, kto jest jej ojcem i jakim cudem Sarina zdołała w ogóle począć dziecko po koszmarze, jaki jej zafundował w noc poślubną. Pamiętał dobrze tamten dzień. Wypił kilka szklanek whisky. Miał nadzieję, że alkohol pozbawi go potencji. Tak się jednak nie stało. Wiele godzin później, wygarnąwszy żonie, co myśli o małżeństwie, do którego został zmuszony, wyszedł z pokoju hotelowego, trzaskając drzwiami.

Wynajął dla siebie oddzielny pokój, zamówił butelkę

ulubionej Cutty Sark i pił na umór, aż padł nieprzytomny. Obudził się nazajutrz koło południa. Nękany wyrzutami sumienia zastukał do pokoju, w którym porzucił zapłakaną Sarinę. Pokój był pusty. Parę dni później dostał pismo od adwokata, datowane dzień po uroczystościach ślubnych, wraz z krótkim listem od swojego teścia. Przeczytał, że Sarina wystąpiła o unieważnienie małżeństwa. Na jaki adres można mu przysłać do podpisu dokumenty? Podał adres Maureen. Najwyraźniej Sarina skłamała, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Wzruszył ramionami. Było mu wszystko jedno. Nie zamierzał protestować. Złożył podpis, gdziekolwiek mu każą. W dniu jego ślubu z Sarina Maureen zadzwoniła, że chce, aby jak najszybciej się z nią ożenił. Nie pamiętał, co jej powiedział, ale potem wyładował wściekłość na Sarinie. Sumienie do dziś nie dawało mu spokoju.

Zanim wziął kolejny ślub, musiał wyjechać z pilną misją za ocean. Gdy wrócił, Maureen powiedziała mu, że podrobiła jego podpis na piśmie o unieważnienie małżeństwa i że akt unieważnienia już nadszedł, więc mogą od razu się pobrać. Ona ma przyjaciela, który jest pastorem i który zgodził się udzielić im ślubu. Załatwiła też wszystkie wymagane dokumenty. Teraz decyzja należy do niego, wystarczy, że powie „tak”.

Dziwna to była ceremonia, krótka, nijaka. Maureen schowała akt ślubu głęboko do szuflady. Od tamtej pory Colby ani razu go nie widział. Potem Maureen wystąpiła o rozwód. Jak przez mgłę pamiętał, że znów podpisywał jakieś papiery. Był tak

pijany, że ledwo trzymał długopis.

Na myśl o nocy poślubnej wciąż czuł dreszcz podniecenia. W okresie poprzedzającym małżeństwo Maureen nie dopuszczała go do siebie. Może dlatego, że był tak wyposzczony, rzucił się na Sarinę jak głodny wilk. Diabli wiedzą. Tak czy inaczej na punkcie Maureen miał prawdziwą obsesję; nie mógł oderwać od niej rąk. Jednakże wkrótce po ślubie otrzymał nowe zlecenie za granicą i musiał na kilka miesięcy zostawić żonę w Waszyngtonie. Potem zrezygnował z pracy w wywiadzie wojskowym i przyłączył się do grupy najemników. Zarabiał krocie, uwielbiał ryzyko. Ale to już była przeszłość.

Jeśli chodzi o Sarinę... nie potrafił sobie wybaczyć, jak postąpił. Zapewne musiała przełamać duży wewnętrzny opór, by pójść do łóżka z kolejnym facetem. Zachował się wobec niej okrutnie, a przecież w niczym nie zawiniła. Po prostu go kochała. Oczywiście próbował rzucić na nią winę, ale winien był wyłącznie on: za dużo wypił na przyjęciu, a potem nie zamknął drzwi, pozwalając, by przyłapał ich stary Carrington i jego wspólnicy. Jakim prawem winił Sarinę?

Wciąż była atrakcyjną młodą kobietą. Bardziej dojrzałą, bardziej niezależną i zdecydowaną niż ta, którą znał przed laty i która bez sprzeciwu wykonywała wszystkie polecenia swego bogatego ojca. Zdziwiło go, że teraz zarabia na życie. Majątek Carringtona szacowano mniej więcej na dwadzieścia milionów dolarów, a ona była jedyną spadkobierczynią. Słyszał, że

Carrington zmarł przed sześcioma laty. Wiadomość ta niespecjalnie go poruszyła; pomyślał jedynie o Sarinie: że nareszcie jest wolna i ma pieniądze. Pieniądze? Zmarszczył czoło. Zarówno ona, jak i jej córka były skromnie ubrane...

Zabrzącał dzwonek. Colby wyciągnął z mikrofalówki podgrzane danie. Uznał, że nie warto przekładać go na talerz. Miał kilka talerzy i kilka sztuców, które zabrał z Waszyngtonu. Żył w spartańskich warunkach. Nigdy nie przywiązywał się do rzeczy. Zresztą trudno, aby człowiek, który stale jest w ruchu, wszędzie taszczył z sobą tony książek, ubrań i różnego rodzaju sprzętu.

Podobnie jak on, Hunter również pracował najpierw w CIA, potem jako wolny strzelec podczas tajnych misji, a w końcu zajął się ochroną. Colby zdumiał się na wieść, że jego dawny przyjaciel ożenił się i ma już nawet dziecko. Jennifer, oszalamiająco piękna blondynka, z zawodu geolog, była spokrewniona z żoną syna starego Rittera. Hunter i Jennifer świata poza sobą nie widzieli. Byli kilka lat po ślubie, ale wciąż zachowywali się jak para nowożeńców. Niektórym się udaje, pomyślał Colby, czując lekkie ukłucie zazdrości. Czyli nie wszystkie małżeństwa kończą się unieważnieniem lub rozwodem.

Pomyślał o swoich dwóch nieudanych związkach i pokręcił z goryczą głową. Źle wybierał partnerki. Z Maureen nie mieli żadnych wspólnych zainteresowań, w dodatku ona go nie kochała. Był to związek oparty wyłącznie na seksie. Znudzenie przyszło

szybko, bo już po roku. Colby nie chciał rozwodu, ale w końcu na niego przystał. Zrozumiał, że pożądanie stanowi kiepską namiastkę miłości. Z kolei Sarina kochała go całym sercem, a on ją brutalnie odtrącił. Może zasłużył na to, by cierpieć. Los się na nim zemścił.

Dokończył kolację, wziął prysznic i wczesnie położył się spać. W młodości mógł harować dzień i noc, ale wtedy nie dokuczały mu żadne rany. Rany pojawiały się stopniowo, podczas kolejnych brawurowych akcji. Dlatego teraz, gdy nachodziła go senność, natychmiast korzystał z okazji i przykładał głowę do poduszki. Przypuszczalnie jego dawni kompani nie rozpoznaliby go w tym zmęczonym żołnierzu, który zarabiał na życie, strzegąc wielkiej spółki naftowej przed złodziejami i handlarzami narkotyków. Czuł się znacznie starszy, niż na to wskazywała jego metryka. Właściwie powinien być wdzięczny losowi za to, że w ogóle żyje. Wielu jego przyjaciół przeniosło się już na tamten świat.

Tuż przed porą lunchu, kiedy przechodził koło gabinetu Sariny, znów zobaczył ją pogrążoną w rozmowie z Ramirezem. Coś tych dwoje wyraźnie łączy, byli sobie bardzo bliscy, ale nie zachowywali się jak kochankowie. Sarina siedziała skupiona, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Jeżeli utrzymywała z Latynosem intymne kontakty, starała się z tym nie afiszować.

Rodrigo... tak, Rodrigo stanowi zagadkę. Spytawszy o niego Huntera, Colby dowiedział się, że facet jest Meksykaninem, który pracuje jako oficer łącznikowy między Eugene'em Ritterem a



należącą do syna Eugene'a, Cabe'a Rittera, firmą produkującą sprzęt wiertniczy. Zaskoczyło to Colby'ego. Ramirez nie pasował mu do obrazu człowieka tkwiącego za biurkiem. Poza tym miał dziwne uczucie, jakby już go kiedyś spotkał.

Sarina podała Rodrigowi papierową teczkę i wstała.

- To wszystko, co udało mi się zdobyć. - Jej głos odbijał się niczym echo od ścian korytarza.

- Ja też mam trochę informacji - oznajmił Ramirez. - Przegram ci na CD. A wracając do spraw osobistych, powinnaś się przeprowadzić. Tam, gdzie mieszkasz, Bernardette może stać się łatwym celem.

- Potrafię się zaopiekować własnym dzieckiem. A przeprowadzka nie wchodzi w grę. Dobrze wiesz dlaczego.

- Pomogę ci, Sarino. Uniosła rękę.

- Nie, dziękuję. Same sobie poradzimy. Zresztą jest już o wiele lepiej.

- Dlaczego nie chcesz mnie słuchać? - spytał zniecierpliwiony.

- Gdzie indziej byłabyś bezpieczniejsza.

- Ale ja uwielbiam ryzyko. - Roześmiała się wesole. - Poza tym jest to najważniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek wykonywaliśmy.

- To prawda - przyznał - ale nie podoba mi się, że się narażasz. Że możesz znaleźć się na linii ognia.

- Wiem, ale to mój wybór. Moja decyzja.

- Cholera, nienawidzę takich upartych bab... - Urwał na

widok zbliżającego się intruza, po czym wstał. - Mogę panu w czymś pomóc, panie Lane? - spytał urzędowym tonem, w którym pobrzmiewał lekki hiszpański akcent.

Colby zerknął na Sarinę.

- Chciałem spytać o coś pannę Carrington. Ale to nic pilnego; może poczekać.

- Wracam do roboty;.. - Rodrigo spojrział na zegarek. - Zadzwońię do ciebie.

Sarina skinęła głową. Kiedy znikł za drzwiami, przeniosła wzrok na Colby'ego.

- Słucham?

- Co on miał na myśli, mówiąc, że Bernardette może stać się łatwym celem?

Sarina uniosła brwi.

- Przepraszam, ale nie bardzo rozumiem, co cię obchodzi moja córka?

- Byliśmy kiedyś małżeństwem, więc... Wybuchnęła gorzkim śmiechem.

- Miewałam bóle głowy trwające dłużej niż to małżeństwo.

Nie zamierzał dać za wygraną.

- O co chodzi z tym łatwym celem? - powtórzył.

- Mieszkamy w domu komunalnym - odparła. - W dzielnicy dla najuboższych. A w takich dzielnicach zwykle grasują gangi. Wczoraj, kiedy Bernie siedziała na werandzie, doszło do strzelaniny na ulicy. Nasz sąsiad, młody chłopak, został ranny.

**Colby skrzywił się.**

**- Dlaczego akurat tam mieszkasz?**

**Nie miała zwyczaju wtajemniczać obcych w problemy zdrowotne córki. Na przykład tego dnia, gdy Colby nakrzyczał na Bernardette, wieczorem poszły spać, a w nocy Bernie dostała ataku i trzeba było wieźć ją na ostry dyżur. Wszystko przez Colby'ego, lecz on o tym nie wie.**

**- W dzielnicy zamieszkaney przez białych moja córka za bardzo by się odróżniała.**

**Zmrużył oczy.**

**- Nie wykręcaj się od odpowiedzi, Sarino. Dlaczego mieszkacie wśród biedoty? Twój ojciec miał miliony. Zmarł jakieś sześć lat temu, ty byłaś jego jedynym dzieckiem...**

**- Zgadza się, ale tych milionów nie mam - oznajmiła chłodno.**

**- Musiał ci coś zostawić. Nie odezwała się.**

**- No dobrze. - Zmienił taktykę. - W takim razie ojciec dziecka powinien ci płacić alimenty.**

**Wzruszyła ramionami.**

**- Hunter wspomniał, że to jakiś Latynos - ciągnął Colby. - Facet na pewno ma krewnych albo przyjaciół. Odnalezienie go nie powinno być problemem.**

**Dzięki ci, Phillipie, za drobne kłamstwo, pomyślała w duchu. Za tego Latynosa.**

**- Wracaj do roboty, Colby. Nie mam czasu na pogaduszki.**

**- Skąd Bernardette wiedziała o mojej ręce?**

- Liczył na to, że Sarina, zaskoczona pytaniem, poda mu prawdziwą odpowiedź. Bo ta, którą dał mu Hunter, nie trzymała się kupy.

- O ręce?

Czyżby się nie orientowała? Nie słyszała żadnych plotek? Zmarszczył czoło.

- Tak. Wiedziała, że... że zostałem ranny w rękę.

- Aha. - Sarina podniosła oczy. - Nie mam pojęcia, skąd jej to przyszło do głowy - skłamała. - Może ktoś coś wspomniał na ten temat?

Ktoś coś wspomniał? Poza Hunterem nikt w Houston nie znał prawdy o tym, co się stało. Tego jednak Colby nie powiedział na głos.

- Dlaczego nie przeprowadzisz się do lepszej dzielnicy?

- Bo nie. Biali mają uprzedzenia rasowe, a społeczność latynoska akceptuje moją córkę bez zastrzeżeń.

- Ciebie również?

- Owszem. Po pierwsze, wśród Latynosów zdarzają się blondyni. A po drugie, znam hiszpański, więc świetnie się wtapiam.

- Znasz nie tylko biernie, ale i czynnie? Skinęła głową.

Nic dziwnego, że dzieciak mówi płynnie w tym języku, pomyślał Colby. Zastanawiał się nad tym, co Sarina powiedziała o uprzedzeniach rasowych. On sam, żeby nie być wytykany palcami, przez większość życia nie przyznawał się do pochodzenia

indiańskiego. Sarina zaś nawet nie próbowała ukrywać, że Bernardette jest w połowie Latynoską. Kocha córkę, otacza ją troskliwą opieką... Ale dlaczego, u licha, mieszka w tak niebezpiecznej dzielnicy?

- Hunter na pewno by ci pomógł znaleźć inne mieszkanie...

- Ale nam jest dobrze tam, gdzie mieszkamy. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że broń palną noszą tylko bandyci z dzielnic kolorowych?

- spytała drwiąco.

- W lepszych dzielnicach rzadziej z niej strzelają.

- Akurat!

- Unikasz odpowiedzi.

Popatrzyła mu w twarz. Starła się zablokować pamięć, nie myśleć o szczęśliwych chwilach.

- Nie masz prawa niczego ode mnie wymagać.

- To prawda - przyznał cicho. Sarina wbiła wzrok w ekran komputera.

- Dlaczego przysłali cię tu z Tucson? To znaczy wiem o zastępstwie, ale dlaczego nie przyjęli kogoś z Houston? - dociekał Colby.

- Wywiad ze mną przeprowadzasz, czy co?

- spytała zirytowanym tonem.

- Twoja córka lubi tego Meksykanina... jak mu tam... tego Ramireza, prawda?

Uśmiechnęła się słodko.

- Ja też lubię Rodriga. Przyjaźnimy się ponad trzy lata. Bardzo się o nas troszczy.

Nie podobało mu się to, co usłyszał. Sam nie wiedział dlaczego. Czyżby miał jakieś zaborcze ciągoty w stosunku do Sariny? Może. W końcu kiedyś była jego żoną. Wprawdzie tylko jeden dzień i jedną noc, ale zawsze.

- Chodziłaś do college'u - przypomniał sobie. - Nie skończyłaś studiów?

Skończyła, ale nie chciała udzielać mu jakichkolwiek informacji na własny temat.

- Zgadłeś - skłamała.

- Czyli tylko taką mogłaś znaleźć pracę? Skinęła głową. Cieszyła się, że Colby nie umie czytać w myślach.

- Byłaś ukochaną córeczką tatusia. Jedynym dzieckiem. Nie rozumiem, dlaczego musisz zarabiać na życie.

- Mój ojciec miał zdecydowane poglądy, na co chce przeznaczyć swoje pieniądze - rzekła bez cienia pretensji. Już dawno pogodziła się z losem. - Praca nikogo nie hańbi.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Pewnie słyszałaś, że Maureen i ja rozwiedliśmy się dwa lata temu?

Pilnowała się, aby niczego nie zdradzić spojrzeniem.

- Niby od kogo miałam słyszeć?

- Hunter wie. - Zauważył, że się lekko zaczerwieniła. - Przyjaźnimy się od dziecka. Nie wierzę, że ani razu w rozmowie

nie wymienił mojego nazwiska.

Owszem, wymienił. Razem z Jennifer chodziły do szkoły rodzenia. Któregoś dnia, odwożąc je na zajęcia, Phillip wspomniał o swoim starym kumplu Colbym. Do dziś pamięta szok, jaki przeżyła. Przyznała Hunterom, że ona również zna Colby'ego - pracował kiedyś u jej ojca, dbał o jego bezpieczeństwo. Dodała, że ona z Colbym byli na para randkach, ale nie zdradziła, że wzięli ślub. Jakiś czas później poprosiła Jennifer, aby porozmawiała z mężem: niech Phillip przypadkiem nie wygada się przed Colbym, że Bernardette ma indiańskich przodków. Nie wyjaśniła dlaczego. Ale Phillip Hunter był inteligentnym człowiekiem. Pewnie domyślił się prawdy. Spojrzała Colby'emu prosto w oczy.

- Owszem, wymienił twoje nazwisko. Jeden raz. Od tej pory oboje z Jennifer wiedzieli, że nie życzą sobie słyszeć nic na twój temat.

Zacisnął usta. Właściwie nie powinien się dziwić, a jednak zaboląły go jej słowa.

- Punkt dla ciebie - oznajmił cicho.

- Nigdy bym nie przypuszczała, że spotkamy się w Ritter Oil. Jakoś to miejsce mi się z tobą nie kojarzy. W niczym nie przypomina wojska...

Przed oczami przeleciało mu ostatnich kilka lat. Przypomnił sobie wszystkie odniesione rany, konflikty, nieporozumienia, rozczarowanie życiem.

- Nie lubię szpitali - oświadczył, nie kłamiąc, ale i nie mówiąc

**całej prawdy.**

**Uniosła pytająco brwi.**

**- Spędziłem w nich wiele czasu - wyjaśnił. - Między kolejnymi misjami.**

**Zmierzyła go wzrokiem od głowy do stóp.**

**- Niczego nie widać.**

**Czyli, w przeciwieństwie do swojej córki, nie wie o protezie. Jakoś nie miał ochoty jej o tym informować.**

**- A ty, jeśli mnie pamięć nie myli, chciałeś pracować w służbie dyplomatycznej.**

**- Owszem, ale wiesz, jak to jest. Planujemy jedno, a potem życie nas zmusza do zmiany planów. - Wzruszyła ramionami. - Nie narzekam. Całkiem mi obecna praca odpowiada.**

**Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu, wspominając wesołą dziewczynę obdarzoną ogromnym poczuciem humoru. Gdzie się podziała? W tej poważnej i dumnej kobiecie z trudem rozpoznawał Sarinę, z którą tak wiele go przed laty łączyło.**

**- - Następnym razem weź aparat i pstryknij mi zdjęcie - powiedziała złośliwie, wrywając go z zadumy.**

**- Siedem lat temu byłeś jak iskierka. Pełna życia, wesolutka, szczebiotliwa...**

**W jej oczach dojrzał ból. - - Dorosłam.**

**- Ile masz lat, Sarino? - spytał nagle.**

**- Co za pytanie! - Roześmiała się smutno.**

**- Odpowiedz, proszę.**



- Dwadzieścia cztery. Na moment zaniemówił.

- To znaczy miałaś siedemnaście, kiedy braliśmy ślub? - W jego głosie pobrzmiwała nuta niedowierzania.

Zaskoczyło ją zdziwienie malujące się na jego twarzy.

- Pracowałeś w wywiadzie - rzekła. - Myślałam, że wiesz o mnie wszystko.

Mylila się, ale postanowił nie wyprowadzać jej z błędu.

- Na miłość boską, po co miałbym zbierać o tobie informacje? Nie byłaś szpiegiem. - Odgarnął z czoła niesforny kosmyk włosów. - Chryste! Siedemnaście? Byłem pewien, że jesteś starsza, doświadczona...

Zaczerwieniwszy się, zaczęła nerwowo przekładać papiery na biurku. Chciała się czymś zająć, czymkolwiek, byleby tylko nie myśleć o bólu i upokorzeniu, jakie przeżyła tamtej nocy, swojej pierwszej nocy z mężczyzną.

- Sarino... - Szukał słów, by ją przeprosić, powiedzieć, jak strasznie żałuje tego, co zrobił. - Studiowałaś. Sądziłem, że masz ponad dwadzieścia lat. Zważywszy na twoją pozycję społeczną, wydawało mi się, że... Nawet nie przyszło mi do głowy, że nie masz doświadczenia...

- Było ci wszystko jedno, czy mam, czy nie - przerwała mu ostro. - Byłeś wściekły, że, jak to powiedziałeś, wrobiłam cię w małżeństwo. Że specjalnie wszystko tak zaaranżowałam, żeby ojciec przyłapał nas rozebranych. Nie mogłeś się zemścić na ojcu, więc wzięłeś odwet na mnie.

**Jego oczy pociemniały.**

**- Tak, byłem zły - przyznał. - Ale nie chciałem cię skrzywdzić. To nie było świadome działanie.**

**- Czyżby? - Poderwała się z fotela; niemal rozsadzała ją furia. - Potrzebowałam czterech szwów!**

**W pierwszej chwili nie skojarzył, o czym mówi. I nagle dotarł do niego sens jej słów. Przypomnił sobie ślady krwi na prześcieradle.**

**W owym czasie uznał, że Sarinie zaczął się okres. Jeśli to jednak nie była miesiączka...**

**Poczerwieniał. Psiakrew! Pamiętał tamten wieczór. Po powrocie do hotelu wypił ze dwie lub trzy szklanki whisky. Liczył na to, że upije się i zaśnie. Nie zasnął. Stracił nad sobą kontrolę. Rzucił się na żonę; pragnął jej, a jednocześnie był na nią wściekły. Winił ją, że wrobiła go w małżeństwo i odsunęła od Maureen.**

**Ale na miłość boską, nie zamierzał sprawić jej bólu. Wziął głęboki oddech. Cholera, alkohol doprowadził do tylu nieszczęść w jego życiu! Nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki nie zaczął uczęszczać na terapię i psycholog nie wypunktował mu wszystkich jego zaniedbań oraz grzechów.**

**Wyraz udręki malujący się na obliczu Colby'ego zaniepokoił Sarinę. Unikając jego wzroku, usiadła z powrotem przy biurku.**

**- To było dawno temu - powiedziała cicho. - Nie ma sensu wracać do tamtych spraw.**

**Tak bardzo chciał jej wytłumaczyć wszystko, co wtedy**

przeżywał. Od kilku tygodni nie widział się z Maureen, która znikła bez podania jakiegokolwiek powodu. Potwornie cierpiał. Sarina Carrington była niczym balsam na jego krwawiące serce. Tego dnia, kiedy się z nią ożenił, Maureen odnalazła jego kumpla, Tate'a Winthropa, którego poprosiła o numer Colby'ego. Zadzzwoniwszy, oznajmiła mu, że wreszcie gotowa jest wyjść za niego za mąż. Wpadł w szal. Poczul się oszukany przez Sarinę. Pragnął się zemścić... ale nie skrzywdził jej świadomie. Przynajmniej tak mu się dotychczas wydawało.

Potarł czoło. Psycholog twierdził, że większość jego problemów bierze się z nieczystego sumienia. I żeby nie mieszał do tego Maureen. W alkoholu szukał zapomnienia. Pił, by zapomnieć o tym, jak potraktował Sarinę. Odczuwał tak wielki wstyd, że nigdy nikomu nie przyznał się do tego, co zrobił. Nawet jego najbliższy przyjaciel Tate o niczym nie miał pojęcia.

Patrząc dziś na Sarinę, wciąż widział przed oczami śliczną, pełną życia dziewczynę. Tamtego dnia, kiedy tulił ją i pieścił, przez krótką szaloną chwilę miał ochotę pozostać jej mężem, puścić w niepamięć telefon od Maureen. Ale czekałoby ich wiele przeszkód, przeszkód nie do pokonania. Wprawdzie nie wiedział, ile lat ma Sarina, ale wiedział, że jest ukochaną, trzymaną pod kloszem córką multimilionera, podczas gdy on był półkrwi Indianinem, w jednej czwartej Apaczem, w jednej czwartej Komanczem, w dodatku biednym jak mysz kościelna.

Jakby tego było mało, wykonywał niebezpieczny zawód,

nieraz ocierał się o śmierć. Sarina myślała, że jest związany z wojskiem. Myliła się, w wojsku pracował krótko. Potem pracował dla CIA jako wolny strzelec. Znał się na broni palnej, na walce z terroryzmem, na sprawach paramilitarnych. Świadczył usługi każdemu rządowi, który płacił żadaną stawkę. W tym czasie, kiedy poznał Sarinę, pracował dla rządu amerykańskiego. Obaj z Hunterem pochodzili z podobnych środowisk i dlatego tak świetnie się dogadywali. Sarina w niczym oczywiście się nie orientowała.

- Istniało wiele przeszkód, o których nie wiedziałas - oznajmił w końcu, wsuwając ręce do kieszeni.

Milczała. Cofnęła się pamięcią do tamtych strasznych dni, kiedy Colby zniknął z jej życia. Ojciec zażądał, aby wystąpiła o unieważnienie małżeństwa, a ona była zbyt wściekła i zbyt obolała, by zaprotestować. Musiała skłamać, powiedzieć, że małżeństwo nie zostało skonsumowane. Colby nie wyraził sprzeciwu.

- Pewnie czułaś do mnie nienawiść...

- Z początku tak - odparła, nie patrząc mu w oczy. - Ale to mnie za dużo kosztowało. Stwierdziłam, że lepiej o tobie zapomnieć i zająć się czymś innym.

- Urzędniczą pracą w przedsiębiorstwie naftowym? - spytał zirytowany.

- Dzięki niej zarabiam na życie.

- Chyba kiepsko, zważywszy na grata, którym jeździsz.

**Podniosła głowę i zmierzyła go gniewnym wzrokiem.**

**- Obowiązki cię nie wzywają?**

**- Wzywają. - Wzruszył ramionami. Przeniosła spojrzenie na ekran komputera.**

**Przez kilka sekund przyglądał się jej w milczeniu, po czym odwrócił się i wyszedł.**

**Hunter czekał na niego w gabinecie. Minę miał nietęgą.**

**- Coś się stało? - spytał Colby.**

**- Owszem. Cobb się właśnie dowiedział, że pracuje u nas, incognito, dwóch agentów DEA.**

**- Wiadomo, którzy to?**

**- Ja nie wiem, a Cobb nie puszcza pary z ust. Był wściekły, kiedy się o wszystkim dowiedział. Mówi, że przenieśli się z innego miasta, specjalnie żeby być blisko swojego podejrzanego. Nikt go, znaczy Cobba,, o niczym wcześniej nie informował, bo podobno ma u siebie jakiś przeciek. Kapusia.**

**- Jeśli tak, to nic dziwnego, że sprawę trzymano w tajemnicy. W końcu chodzi o bezpieczeństwo agentów.**

**- Masz rację, ale jest coś jeszcze. Jeden z pracowników Ritter Oil związany jest z kobietą, która przejęła biznes narkotykowy Manuela Lopeza.**

**- Pewnie chodzi o Brody'ego Vance'a? - Colby uśmiechnął się, widząc zaskoczoną minę Huntera. - Byłem z tobą, Cobbem i jego ludźmi podczas akcji w magazynie - przypomniał przyjacielowi. - Vance wpłacił kaucję za Carę Dominguez.**

- Faktycznie. - Hunter zacisnął usta. - Powiniennem był namówić Cobba, żeby wystąpił o zgodę na założenie mu podsłuchu w gabinecie.

- Vance to inteligentny gość. Pewnie myśli, że tak właśnie zrobiliśmy.

- Może. W każdym razie musimy mieć go na oku.

- Hm, mógłbym umieścić małą pluskiewkę w jego samochodzie - powiedział Colby takim tonem, jakby rozmyślał na głos. - Niczego by nie podejrzewał. Mógłbym też doczepić mikronadajnik, który pozwoliłby nam śledzić wszystkie jego ruchy.

- Obawiam się, że żaden sędzia nie da nam pozwolenia.

Colby wsunął rękę do kieszeni i podszedł do okna.

- A gdybym to zrobił z własnej inicjatywy? Bez twojej wiedzy?

- Wówczas wykazałbyś się inwencją twórczą. - Oczy Huntera błyszczały wesoło.

- Czy Vance przyjaźni się z kimś w swoim dziale?

- Swego czasu usiłował poderwać dziewczynę Cobba. Ale się poddał, zrozumiał, że nie ma u Jodie szansy. A propos Cobba. Przypomniało mi się, co jeszcze powiedział. Że jego dziewczyna to spec od komputerów.

- Więc marnuje się, pracując u Vance'a.

- To prawda. A może... - Hunter zawahał się. - Może byśmy wykorzystali jej umiejętności, co? Mamy prawo sprawdzać pocztę

elektroniczną. Zarówno korespondencję służbową, jak i prywatną. Nie łamalibyśmy prawa.

Colby rozciągnął wargi w uśmiechu, ukazując rząd idealnie równych białych zębów.

- Pójdę pogadać z Jodie.

- A ja przejrzę akta osobowe. Sprawdzę, którzy pracownicy przenieśli się z innego miasta - rzekł Hunter sam do siebie, bo Colby zdążył już wyjść.

Od razu się tym zajął. W pewnym momencie wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wprost nie mógł uwierzyć, jak wiele tajemnic kryła przed nimi ich wspólna znajoma. Wiedział, że Sarina nie chciała, by Colby poznał jej przeszłość. Dlatego zamierzał trzymać język za zębami. I dlatego - by przypadkiem Colby na nic nie trafił - wprowadził kilka istotnych zmian w dokumentacji. Nie czuł najmniejszych wyrzutów sumienia.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Colby polecił Jodie przejrzeć pocztę elektroniczną Brody'ego Vance'a: niech wynotuje wszystko, co wyda się jej podejrzane, i oczywiście nikomu ani słowa! Kobieta chętnie się zgodziła; lubiła nowe wyzwania.

Następnie ustawił się przy oknie w bufecie i czekał, by zobaczyć, do którego samochodu Vance wsiądzie. Tak jak się spodziewał, szef działu kadr miał nowe auto. Przypuszczalnie nie chciał, by ktokolwiek skojarzył jego samochód z tym, który stał przed magazynem tego wieczoru, gdy zrobiono tam nalot. Teraz jeździł najnowszym modelem lincolna. Szkoda, pomyślał Colby, że nie mam już żadnych znajomości w wydziale komunikacji. Co innego kiedy pracował dla CIA; wtedy wystarczyło zadzwonić, poprosić o informacje. A dziś... po pierwsze pracuje w prywatnej firmie, a po drugie jest w obcym mieście. Pewnie mógłby poprosić o to Huntera, ale duma mu nie pozwalała. Chciał się wykazać, a to oznacza, że nie może wyręczać się innymi.

Okolo drugiej ponownie wpadł do bufetu na kawę i rogalik. Siedząc przy stoliku, zastanawiał się, jak niepostrzeżenie dostać się do samochodu Vance'a. Przynajmniej w tej sprawie nikogo nie musiał prosić o pomoc czy radę; był specem, jednym z najlepszych w kraju. Nagle kątem oka zauważył w sali ruch.

Do bufetu wszedł Rodrigo, prowadząc za rękę córkę Sariny. W drugiej ręce trzymał paczkę kredek i plik kartek. Posadziwszy dziewczynkę przy stoliku, rozłożył przed nią przybory. Zanim



wyszedł, pochylił się i szepnął jej coś na ucho. W odpowiedzi dziewczynka uśmiechnęła się szeroko.

Colby czuł się zakłopotany obecnością Bernardette. Mała patrzyła na niego z taką wrogością, że miał ochotę zapaść się pod ziemię. Było mu przykro, że doprowadził ją do łez, ale czy musiała mu o tym stale przypominać? Nie rozumiał, dlaczego akurat to dziecko wzbudza w nim tyle negatywnych emocji. Dotychczas sądził, że lubi dzieci. Może świadomość, że nie może mieć własnych, tak źle na niego działała?

Popijając kawę, leniwie obserwował dziewczynkę, która rysowała coś na białej kartce. Zastanawiał się, czy Eugene Ritter wie, że niektórzy traktują jego firmę jak prywatne przedszkole. A przynajmniej że tak je traktuje jedna z pracownic. Oczywiście nie powinno go to obchodzić, to znaczy Colby'ego. Ale miał wrażenie, jakby Sarina grała mu na nosie, jakby chciała mu powiedzieć, że jej dziecko może się bawić gdziekolwiek, nawet w bufecie, a jemu nic do tego.

Po kilku minutach zapomniał o Bernardette i zaczął rozmyślać o założeniu pluskwy w samochodzie Vance'a. Hm, musi się wybrać do sklepu z elektroniką. Tęsknił za swoją starą pracą. Owszem, wiązała się z ryzykiem, ale nigdy się w niej nie nudził. Ciekaw był, jak sobie poradzi z codzienną rutyną. To samo pytanie zadał sobie dwa lata temu, kiedy zatrudnił się jako szef ochrony u Huttona. Tamta robota nawet była dość urozmaicona, ale nie dawała zbyt wielu okazji, żeby się wykazać.

Dokończył kawę, która zdążyła wystygnać, i wstał od stolika. Pusty styropianowy kubek wrzucił do kosza na śmieci, po czym skierował się do drzwi. Dziewczynka, skupiona na rysowaniu, nie zwracała na niego uwagi. Irytowała go tak samo jak jej matka. Nie rozumiał tego.

Nagle zerknął na rozłożoną przed nią kartkę i zeszywniał. Talentu nie sposób jej było odmówić. Bez trudu rozpoznał scenę przedstawioną na rysunku: na ścieżce biegnącej pomiędzy wielkimi baobabami stała postać w polowym mundurze, w ciemnych okularach, trzymająca w ręku karabin maszynowy. Colby'emu przeszły po plecach ciarki.

Z groźną, posępną miną wpatrywał się w rysunek. Dziewczynka podniosła głowę i znieruchomiała. W jej oczach pojawił się lęk.

- Kto ci opowiedział o tym miejscu? - spytał Colby, chwytając kartkę. - I o tym mężczyźnie? - Potrząsnął rysunkiem przed jej twarzą. - Przyznaj się!

Struchlała. Nikt nigdy nie rozmawiał z nią tak ostrym, nieprzyjemnym tonem. Ogarnął ją dławiący strach.

- Nikt... naprawdę nikt - wykrztusiła. Colby ledwo pohamował oburzenie.

- Kłamiesz - warknął.

Ponownie skupił się na rysunku. Przypomniał sobie coś, co Sarina powiedziała: że Bernardette miewa wizje. Nie uwierzył jej, ale jak inaczej wytłumaczyć ten rysunek?

Dziewczynka przyglądała mu się uważnie. Czując na sobie jej świdrujące spojrzenie, Colby zacisnął rękę na kartce.

- A w ogóle to co tu robisz? Bufet to nie przedszkole!

Bernardette przygryzła wargę i milczała. Obserwując małą, robił się coraz bardziej zły.

- Idź do pokoju matki i tam siedź - rozkazał.

Poderwała się na nogi, zgarnęła papier i kredki. Jedną w pośpiechu upuściła. Schyliwszy się, czym prędzej podniosła ją z podłogi. Kiedy skierowała się do wyjścia, Colby zobaczył, jak po jej policzkach spływają łzy. Oddech miała świszczący.

Zaklął pod nosem. Psiakrew, ależ ona jest wrażliwa! Nie chciał jej wystraszyć. Po prostu rzadko obcował z dziećmi, a to dziecko zachowywało się dziwnie. Skąd wiedziało, gdzie go trafiła kula? I jak wyglądał gość, który do niego strzelał? Amputowana ręka zaczęła pulsować z bólu. Ponownie spojrzał na rysunek przedstawiający żołnierza na sawannie. Czując, jak zalewa go fala nieprzyjemnych wspomnień, zmiął kartkę w dłoni. Nagle zmienił zdanie - wygładził ją, starannie złożył i schował do kieszeni na piersi. Bernardette Carrington wie o nim więcej niż ktokolwiek poza Phillipem Hunterem i Tate'em Winthropem.

Nie dawało mu to spokoju.

Ilekróć na nią patrzył, przypominał sobie, że jest bezpłodny. To sprawiało, że nie czuł się stuprocentowym mężczyzną. Z kolei patrząc na Sarinę, przypominał sobie, jak podle ją potraktował. Ale to nie usprawiedliwia jego obecnego zachowania. Nie

powinien był mówić do dziecka tak ostrym tonem. Ono w niczym nie zawiniło.

Dziewczynka tarła piąstką oczy. Znów ogarnęły go wyrzuty sumienia. Cholera jasna! Miał wrażenie, jakby mu ktoś wbił nóż w serce.

Przeklinając pod nosem, zamierzał ruszyć za oddalającym się dzieckiem, kiedy nagle do bufetu powrócił Rodrigo Ramirez. Zerknąwszy na Bernardette, zatrzymał się w pół kroku. Natychmiast połączył łzy dziecka z nasrożoną miną Colby'ego. Po chwili wziął małą na ręce i przytulił ją do siebie. Zaczęła głośno szlochać. Jej rozdzierający płacz wstrząsnął Colbym do głębi. Ściskając dziewczynkę w ramionach, Rodrigo postąpił krok do przodu. Jego czarne oczy pałały żądzą mordy. Dobrze wychowany urzędnik, na którego wcześniej Colby patrzył z pobłażaniem, w ułamku sekundy zmienił się nie do poznania.

- Jeśli masz jakieś pretensje do Bernardette, to słucham - rzekł. Kiedy się złościł, jego akcent stawał się bardziej wyrazisty.

- Bufet nie jest odpowiednim miejscem do zabawy - oznajmił krótko Colby.

- Eugene Ritter zgodził się, żeby Bernardette przebywała tu popołudniami - wyjaśnił Rodrigo. - Sariny nie stać na opiekunkę. Oplata pochłonęłaby jedną trzecią jej pensji. - Nie była to cała prawda, dochodziły też inne kwestie, ale nie zamierzał wtajemniczać w nie obcego.

Colby zmarszczył czoło. Nawet mu do głowy nie przyszło, że

opieka nad dzieckiem może tyle kosztować.

- Jeżeli przeszkadza ci tu obecność małej, zawiadomię pana Rittera - ciągnął Rodrigo głosem, w którym brzmiała nuta ostrzeżenia. - Natomiast jeśli jeszcze raz powiesz jej coś przykrego, skopię ci tylek.

- Tylko spróbuj, Ramirez. - Gdyby spojrzenie mogło zabić, Latynos leżałby już trupem.

- Może spróbuję. I to szybciej, niż myślisz. Colby zmrużył oczy.

- Już drzę ze strachu - syknął pogardliwie.

Rodrigo puścił wiązki po hiszpańsku. Na widok zdumienia malującego się na twarzy dziecka zaczerwienił się po czubki uszu. Obróciwszy się na pięcie, bez słowa skierował się ku drzwiom.

Colby odprowadził wzrokiem oddalającą się parę. Nie spodziewał się tak butnej postawy po kimś, kogo uważał za zwykłego urzędnika. Usiłował sobie przypomnieć, gdzie mógł wcześniej widzieć Ramireza. Bez powodzenia. Ponownie wrócił myślami do rysunku. Ze swojego pobytu w Afryce dobrze zapamiętał ten krajobraz. Właśnie tam, w pobliżu identycznych baobabów, kula trafiła go w rękę. Ale, na Boga, skąd Bernardette o tym wie?

Jeszcze długo słyszał w głowie jej świszczący, chrapliwy oddech. Brzmiał nienaturalnie, a zarazem dziwnie znajomo. W dzieciństwie Colby cierpiał na astmę. Ataki zdarzały się głównie wtedy, gdy był zdenerwowany. Na szczęście z niej wyrósł, ale ileż

razy matka wozila go szpitala!

Wrócił do swojego gabinetu, usiadł przy biurku i przez kilka minut wpatrywał się tępo w ścianę. Lewa amputowana ręka bolała go jak diabli. Lekarz, który przygotował dla niego protezę, twierdził, że nie ma leków na bóle fantomowe, bo to jest sprawa zakończeń nerwowych w mózgu. Po prostu musi nauczyć się z tym żyć. A to nie było łatwe.

Nagle drzwi się otworzyły. Podniósłszy głowę, Colby napotkał wzrok Huntera.

- Ritter cię wzywa.

- Nietrudno się domyślić dlaczego - mruknął Colby, odsuwając fotel od biurka. - Nie chciałem jej po raz kolejny doprowadzić do płaczu.

- O kim mówisz?

- O Bernardette. - Znow zobaczył przed oczami zapłakaną twarzyczkę. - Zwróciłem jej uwagę, że bufet to nie przedszkole. Nawet nie próbowała się ze mną klócić, tylko wstała i wyszła. - Skrzywił się. - Podobno Ritter pozwolił Sarinie przyprowadzać tam małą. Tak twierdzi jej kumpel Rodrigo.

- To prawda - przyznał Hunter. - Szef osobiście wyraził zgodę. Wiesz co? Dam ci dobrą radę: staraj się nie zależeć za skórę Ramirezowi. On nie jest tym, za kogo go biorą.

- Domyśliłem się. A kim jest? Hunter zawahał się.

- Niestety nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi, stary, ja też się czuję z tym niezręcznie... - dodał, widząc, jak Colby sznuruje

gniewnie usta. - Wiem, że potrafisz trzymać język za zębami, ale Cobb i Ritter nie znają cię tak dobrze.

- Na miłość boską, zajmuję się ochroną! Jak, do diabła, mam wykonywać swoje obowiązki, jeśli nie wiem, co się dzieje?

- Po prostu musisz zdać się na mnie. Tylko błagam, przestań się czepiać Bernie, bo możesz mieć kłopoty, a wtedy nawet ja ci nie pomogę. Wsadzanie kija w mrowisko zwykle się źle kończy. Dawniej o tym wiedziałeś.

- Dawniej miałam prawdziwą pracę - zachnął się Colby. - Byłem młodszy, szybszy, silniejszy... i dwuręczny!

Hunter wziął głęboki oddech.

- Mnie też z początku nie było łatwo - przyznał łagodniejszym tonem. - Przejście do prywatnego sektora wymaga sporo poświęceń. Ale poradziłem sobie, nie miałem wyboru. Ty też sobie poradzisz. Tylko nie traktuj wszystkiego tak strasznie serio. Firma nie zawali się od tego, że jakieś dziecko będzie przez godzinę bawiło się w bufecie.

- Racja - przyznał niechętnie Colby. - Sam nie wiem, dlaczego ta mała tak działa mi na nerwy. Zna fakty, o których nie powinna mieć pojęcia... Wiesz, co mi przyszło do głowy? Że Sarina specjalnie przysłała ją do bufetu. Jest wrogo do mnie nastawiona i...

- Ale nie jest podstępna - wtrącił Hunter. - Zawsze gra w otwarte karty. Daj spokój, stary, ona naprawdę nie miała łatwego życia.

- Ha! Jej ojciec był miliarderem, który...

- Który wyrzucił ją na bruk, kiedy nie zgodziła się na aborcję! Nie chciał, żeby jego córka urodziła „mieszkańca”, który skaziłby czystą krew Carringtonów! - Hunter zauważył, że Colby znieruchomiał, mimo to mówił dalej: - Zostawił ją bez grosza przy duszy. Później, kiedy pojawiły się problemy zdrowotne i nie mogła dłużej pracować, odmówił jej pomocy finansowej. A dobrze wiedział, że nie stać jej na czynsz i jedzenie. O mało nie straciła Bernardette. I o mało sama nie umarła podczas porodu! Colby słuchał go wstrząśnięty.

- Istnieją różne instytucje i agencje rządowe, które pomagają ludziom w potrzebie - powiedział w końcu.

- Jasne. Córka milionera, której twarz jest znana setkom tysięcy ludzi, przychodzi do opieki społecznej i prosi o pomoc. Myślisz, że pracownicy daliby jej czek? Raczej pospadaliby z krzesel ze śmiechu. Uznaliby to za świetny żart.

- A co z ojcem dziecka? Hunter znów się zawahał.

- Nie chciał mieć z nią nic wspólnego - rzekł, odwracając wzrok. - Stwierdził, że to na pewno nie jego dziecko. Powiedział Sarinie, żeby nigdy więcej do niego nie dzwoniła.

Psiakrew, nie powinien był tego mówić. Sarina zwierzyła się Jennifer. Prosiła, by ta zachowała wszystko w sekrecie. Ale Jennifer nie miała przed nim tajemnic...

- Co za skurwiel! - zezłościł się Colby. - Dlaczego nie poda go do sądu? Wystarczy proste badanie krwi, żeby potwierdzić



**ojcostwo. Niech facet płaci alimenty!**

**- Nie wiadomo, gdzie go szukać.**

**- Bez przesady. Nawet najmarniejszy detektyw poradziłby sobie z tym problemem.**

**- Facet mieszkał w innym stanie - wyjaśnił Hunter. - Sarina nie próbowała się z nim więcej kontaktować. Stwierdziła, że skoro nie zależy mu na dziecku, to nie będzie go na siłę uszczęśliwiać i sama wychowa córkę. Bernardette jest całym jej życiem. - Spojrzał na zegarek. - Ruszajmy. Ritter nie lubi czekać.**

**Colby wyszedł na korytarz. Miał dziwne przeczucie, że Hunter wie znacznie więcej o ojcu dziewczynki, niż mu powiedział.**

**- Wiesz, Rodrigo mi kogoś przypomina...**

**- Serio?**

**Colby wetknął rękę do kieszeni.**

**- On uwielbia tę małą - rzekł, rozmyślając na głos. - Gotów był mnie pobić za to, że sprawiłem jej przykrość.**

**- Ramirez dawno ożeniłby się z Sariną, gdyby tylko go chciała - oznajmił Hunter. - Ale jej to nie interesuje. Nie interesują jej faceci.**

**Policzki Colby'ego poczerwieniały. Znów poczuł wyrzuty sumienia. Cieszył się, że przyjaciel patrzy w drugą stronę. W przeciwieństwie do niego wiedział, dlaczego Sarina nie chce mieć z mężczyznami do czynienia. Po bólu, jaki on jej zadał... Ciekawe, jak się przemogła, by pójść do łóżka z ojcem Bernardette?**

Gdy dotarli do gabinetu Rittera, okazało się, że starszy siwowłosy jegomość nie jest sam. Rozmawiał z przyjaciółką Alexandra Cobba, Jodie. Młoda kobieta miała zaczerwienione policzki, jej oczy płonęły gniewem.

Ritter posłał Colby'emu karcące spojrzenie, ale na razie nie poruszył sprawy Bernardette Carrington.

- Panna Clayburn właśnie zrezygnowała z pracy w dziale Brody'ego Vance'a - rzekł z kwaśnym uśmiechem - postanowiłem ją więc zatrudnić jako informatyka. Cobb twierdzi, że Jodie nie ustępuje najlepszym specjalistom, jakich ma w agencji. Chciałbym, żeby sprawdziła przeszłość niektórych naszych ludzi.

- Podobno pracuje tu prawa ręka świętej pamięci Lopeza. Czy to prawda? - spytał Colby.

- Tak przypuszczam - odparł Ritter. - Podejrzewam też, że na naszym terenie nadal znajduje się partia dobrze ukrytych narkotyków. Mieliśmy sporo szczęścia wtedy w magazynie...

- Zwłaszcza Colby i ja - wtrącił Hunter, uśmiechając się do Jodie. - Gdyby panna Clayburn nie rozjechała jednego z bandziorów, obaj z Colbym bylibyśmy już martwi. A razem z nami agent DE A, Alexander Cobb.

Jodie odwzajemniła jego uśmiech.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że się na to odważyłam. Wolę walczyć z przestępczością za pomocą komputerów niż samochodów i broni.

- I właśnie teraz będziesz to robiła - oznajmił Ritter, po czym

przedstawił Jodie jej nowe obowiązki oraz ustalił wynagrodzenie.

Przystąpiła na jego warunki i podziękowawszy, skierowała się do drzwi. Hunter odprowadził ją do samochodu. Dzięki Jodie zatrzymano Carę Dominguez, narzeczoną Brody'ego Vance'a. Jodie umocowała pluskwę pod stolikiem w kawiarni, przy którym Cara siedziała, i w ten sposób zdobyła dowody jej winy. Carę aresztowano, ale Jodie znalazła się w niebezpieczeństwie. Na wszelki wypadek Cobb postanowił ukryć ją na kilka dni na swoim ranchu w Jacobsville. Brody Vance wpłacił za narzeczoną kaucję. Udawał niewinnego, ale Ritter był pewien, że Vance maczał palce w przemyśle narkotyków.

Kiedy zostali sami, Eugene Ritter usiadł wygodnie w fotelu i wbił wzrok w Colby'ego.

- Wiem. - Colby westchnął ciężko. - Zachowuję się irracjonalnie, jeśli chodzi o to dziecko. Ale mam coś na swoje usprawiedliwienie... - Wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę, wyprostował ją i położył na lśniąącym drewnianym stole.

- Bernardette to narysowała? Nie da się ukryć, ma talent. - W niebieskich oczach Rittera pojawiło się zdziwienie. - Ale dlaczego mi to pan pokazuje?

Twarz Colby'ego się zachmurzyła.

- Ten facet... - wskazał palcem na postać w polowym mundurze trzymającą karabin maszynowy - rozwalil mi rękę w Afryce! A tu...

- dodał, pokazując ścieżkę między dwoma dużymi drzewami

- stal, kiedy strzelał. Ritter zmarszczył czoło.

- Opowiadał pan o tym malej?

- Nic jej nie mówiłem. Nikomu nic nie mówiłem. Było nas tam wtedy ośmiu, między innymi Hunter. Ale nikt z nas nikomu nie opowiadał o tym zdarzeniu, a już zwłaszcza sześciolatniej dziewczynce!

Ritter podrapał się po brodzie. Milczał.

- Pierwszego dnia, kiedy ją zobaczyłem w holu - ciągnął Colby - podeszła do mnie i powiedziała, że gdybym miał lepszy refleks, tobym się uchylił i nie stracił ręki.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknął Ritter.

- Ja też. Jestem dość przewrażliwiony na punkcie swojego kalectwa. Z nikim o tym nie rozmawiam, poza Hunterem i starymi kumplami.

- Może matka jej coś wspomniała...?

- Nie widziałem Sariny od siedmiu lat - powiedział Colby i nagle urwał. Ritter przecież nie wie, że w przeszłości coś ich łączyło.

- To wyście się wcześniej znali? - zdziwił się siwowłosa mężczyzna.

- Tak. - Colby podniósł z biurka rysunek i ponownie go złożył. - Byliśmy małżeństwem. Krótko.

- Czyli Bernardette...

- Nie, to nie moje dziecko - oświadczył Colby.

- Jest pan pewien?

- Na sto procent. - Colby opuścił wzrok. - Jestem bezpłodny.

- Przykro mi. Sam mam dwóch synów. Nie wyobrażam sobie życia bez nich. - Ritter wstał od stołu. - Rozumiem powody, jakie panem kierowały, ale w przyszłości proszę być miłym dla tej dziewczynki. Dzieciaki dokuczają jej w szkole, więc przynajmniej niech tu ma spokój.

- Dzieciaki? Ale... - Dopiero po chwili przypomniał sobie, co Sarina mówiła na temat uprzedzeń rasowych.

Mężczyzna pokiwał wolno głową.

- A pan nie miał problemów w szkole?

- Była na terenie rezerwatu. Uczęszczali do niej sami Apacze.

- No to szczęściarz z pana - skwitował Ritter. - Bernardette ciągle spotyka się z docinkami. Między innymi dlatego Sarina przeprowadziła się do dzielnicy zamieszkannej w większości przez Latynosów. Przynajmniej ci jej tak nie dokuczają. Chodzą do tej samej szkoły, ona i Nikki, córka Huntera...

Colby schował rysunek do kieszeni.

- No dobrze, szkoła szkołą, ale dlaczego po szkole mała przesiaduje w tutejszym bufecie?

- Bo opłata za świetlicę pochłonęłaby co najmniej czwartą część pensji Sariny.

- A jeśli kobieta ma dwójkę lub trójkę pociech?

- Wtedy za opiekę nad dziećmi płaciłaby więcej, niż może zarobić jako sekretarka lub asystentka.

- To niesprawiedliwe - oburzył się Colby. Ritter wzruszył

ramionami.

- Owszem, niesprawiedliwe. Dlatego pozwalam Sarinie zostawić małą w bufecie. - Zmrużył oczy. - Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza, panie Lane?

- Nie, oczywiście, że nie - odparł cicho Colby. - Po prostu nie zdawałem sobie sprawy z jej ciężkiej sytuacji.

- A mnie nie mieści się w głowie, jak ktokolwiek może porzucić tak śliczną córkę.

- Ma pan rację. Ja też tego nie pojmuję.

- No dobra, przejdźmy się do magazynu - powiedział jego szef, kierując się do wyjścia. - Może coś przeoczyliśmy.

Strażnik, który wpuścił przemytników do magazynu, siedział w areszcie, czekając na wyrok. Dwaj inni, z którymi Ritter i Colby rozmawiali, niczego nie zauważyli. Wszyscy razem przeszli się po budynku, ale nie znaleźli nic podejrzanego.

Ritter zastanawiał się, czy magazynu nie należy dokładnie przeczesać, centymetr po centymetrze, Colby jednak uznał, że stała obserwacja przyniesie lepsze rezultaty. Zaproponował montaż dodatkowych kamer oraz urządzeń nagrywających, takich, o których nie wiedzieliby nawet strażnicy.

Ritter uśmiechnął się szeroko. Natychmiast zaakceptował pomysł, a Colby poczuł się znacznie lepiej.

Kiedy wrócił do swojego gabinetu, znów zaczął rozmyślać o Bernardette. Nie mógł sobie darować, że po raz kolejny doprowadził dziewczynkę do łez.

Akurat odbezpieczył glocka, kiedy do pokoju bez pukania weszła Sarina. Na widok broni przystanęła w drzwiach. Nie spodziewała się, że Colby będzie chodził po budynku uzbrojony, chociaż nie powinno jej to dziwić.

Glock był ulubioną bronią wielu policjantów i agentów. Solidny i niezawodny, nawet gdyby wpadł w błoto, to i tak można by było z niego strzelać. Teoretycznie Sarina nie znała się na broni palnej, więc skrzyżowała ręce na piersiach i nic nie powiedziała.

- Wiem, po co przyszedłeś - rzekł Colby, chowając glocka do kabury. - Twój przyjaciel Ramirez już mi się dobrał do skóry, pan Ritter również. No śmiało, wal.

- Czym ci się Bernardette znów naraziła? - spytała niezrażona jego tonem.

Bez słowa wydobyl z kieszeni rysunek. Rozłożyła kartkę i zmarszczyła czoło.

- Rysunek jak rysunek - stwierdziła.

Zdjął marynarkę, odpiął guzik przy mankietach, podciągnął rękaw. Na widok protezy przymocowanej tuż poniżej lewego łokcia Sarina zasyczała. Zrobiła się blada jak ściana.

Zabolała go jej reakcja. Maureen również brzydziła się jego kalectwem. Oczywiście nie miało to większego znaczenia. Rękę stracił po tym, jak się rozstali. Wbrew sobie zgodził się, by zamieszkali oddzielnie; od tamtej pory miesiącami nie trzeźwiał. Maureen wprowadziła się do faceta, którego potem poślubiła, i niedługo później - jakby na złość Colby'emu - zaszła w ciążę.

**Kiedy się o tym dowiedział, przestał się bronić przed rozwodem. Maureen nigdy nie przysłała mu żadnych papierów rozwodowych. Zachowywała się tak, jakby ich małżeństwo nigdy nie istniało.**

**Rękę stracił podczas wymuszonej separacji z żoną. Od czasu amputacji ani razu nie kochał się z kobietą. Najwyraźniej Sarinę widok jego ręki też przyprawiał o mdłości. Nie powinno mu to przeszkadzać - byli parą obcych ludzi - a jednak przeszkadzało.**

**Obciągnął z wściekłością rękaw i zapiął mankiet.**

**- Parę lat temu wykonywałem zadanie w Afryce. Często dostawałem stamtąd zlecenia. Właśnie tu... - wskazał na rysunek - kula roztrzaskała mi kość. Było to kilka tygodni po tym, jak Maureen wyprowadziła się z domu. Z rozpaczyny zacząłem się upijać. Stale zaglądałem do butelki. Nasz oddział wpadł w zasadzkę. Nie zdążyłem w porę umknąć. Z ręki została mi miazga. Mieliśmy w grupie lekarza; to on dokonał amputacji. Musiał, bo wdało się już zakażenie. W pobliżu był mały ośrodek medyczny, w którym dano nam narzędzia, antybiotyki. Nie jest to wspomnienie, do którego chętnie wracam.**

**Sarina ponownie wbiła wzrok w rysunek córki.**

**- Nikt o tym Bernardette nie opowiadał.**

**- Nie jestem głupi. Zdaję sobie z tego sprawę.**

**Przygryzła wargę.**

**- Przepraszam. Tym rysunkiem... Ona nie chciała ci sprawić przykrości.**

**- Tak sądzisz? - Roześmiał się gorzko.**



- Twoja córka mnie nienawidzi. Uważa za wroga. Po wejściu do bufetu najpierw posłała mi mrożące krew w żyłach spojrzenie, a potem przystąpiła do rysowania.

- Bernardette nie jest mściwym dzieckiem...

- oznajmiła Sarina. - Ona nigdy by... - Urwała. Wiedziała, że córka łatwo wpada w złość.

- W porządku, nie mówmy o tym. - Nagle coś mu się przypomniało. - Słuchaj, dlaczego nie wynajęłaś prywatnego detektywa, żeby odnalazł ojca małej? Ten drań powinien płacić alimenty.

Zatrzepotała rzęsami. Z całej siły starała się zachować neutralny wyraz twarzy.

- Po urodzeniu dziecka naprawdę nie miałam do tego głowy - rzekła cicho.

- Ale teraz sytuacja się zmieniła. - Przysiadł na krawędzi biurka. - Jeśli chcesz, ja się mogę tym zająć.

- Nie chcę, dziękuję. - Unikała jego wzroku.

- To stare dzieje.

- Ale skoro nie stać cię na świetlicę... W jej oczach pojawił się błysk gniewu.

- To nie twoja sprawa!

- - Mylisz się. Wszystko, co ma związek z Ritter Oil, jest moją sprawą. - Wstał. - Zwłaszcza teraz. Uzbrojeni handlarze narkotyków ganiają po terenie...

- Słyszałam o strzelaniu w magazynie. Podobno Jodie

**Claybum uratowała ci życie? - Nie wspomniała, że na wieść o tym zdarzeniu o mało nie zemdląca. Mógł zginąć, zanim go ponownie zobaczyła! Tyle przez niego wycierpiała, tyle wylała łez, a mimo to nie potrafiła przestać o nim myśleć.**

**- Owszem. Również Hunterowi i Cobbowi - potwierdził. - Ci dranie się nie patyczkują. Strzelają do każdego, kto im stanie na drodze. Do mężczyzn, kobiet, dzieci, bez różnicy.**

**O ludziach zajmujących się przemytem i rozprowadzaniem narkotyków wiedziała więcej, niż podejrzewał.**

**- Nie sądzę, żeby przypuścili szturm na bufet - mruknęła.**

**- Tydzień temu pewnie bym się z tobą zgodził.**

**Nagle stanął tuż koło niej. Zaskoczona jego bliskością, nie cofnęła się. Wpatrywał się w nią gniewnym wzrokiem. Wrócił pamięcią do tamtego wieczoru przed laty. Leżała na łóżku, z włosami rozrzuconymi na poduszce, śliczna, podniecona. Delikatnie dotknął jej brzucha. Jęknęła cicho, potem nieco głośniejsze...**

**Zdławił przekleństwo. Sarina nadal spogląda na niego z pożądaniem w oczach! Chryste! Po tym, co jej zrobił?! Uniósł prawą rękę i przyłożył do jej policzka.**

**- Popełniłem w życiu dużo błędów - szepnął.**

**- Nie zastanawiałem się nad konsekwencjami...**

**Jego bliskość i dotyk wytrąciły ją z równowagi. Czuli się bezsilni. Z jednej strony chciała się odsunąć, a z drugiej...**

**- Oboje z Maureen niejednej osobie zniszczyliście życie - stwierdziła. - Trochę za późno na wyrzuty sumienia.**

- Zniszczyliśmy? To znaczy? Zaciśnięła zęby.

- Może kiedyś się o wszystkim dowiesz. Zadrżała, gdy delikatnie przeciągnął palcem po jej dolnej wardze. Obserwował jej reakcję z zafascynowaniem.

- Upijałem się do nieprzytomności - rzekł ni stąd, ni zowąd. - Wdawałem się w bijatyki. Traciłem jedną pracę za drugą. Sięgnąłem dna. Wreszcie mój najlepszy kumpel zmusił mnie do leczenia. W trakcie terapii zrozumiałem, że zmierzam do samozagłady. Miałem obsesję na punkcie Maureen. Długo trwało, zanim stanąłem na nogi.

Odsunęła się. Maureen. Znów Maureen. Dlaczego po tylu latach nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego? Dlaczego to wciąż boli?

- Może wróciłaby do ciebie, gdybyś się nie upijał.

- Nie chciała mieć ze mną dzieci - powiedział głosem przepojonym bólem. - Była przeciwna mieszaniu ras.

Sarina ugryzła się w język. Bała się, że powie coś, czego będzie żałować.

- Okazało się, że jestem bezpłodny. Może to i lepiej. Praca, którą wykonywałem, nie bardzo sprzyjała posiadaniu dzieci.

- Wielu wojskowych ma dzieci i jakoś im to nie przeszkadza - zauważyła.

- Sarino... - Zawahał się. - Z wojskiem to ja niewiele mam wspólnego.

- Jak to? A wtedy, kiedy ochraniałeś mojego ojca?

**Pracowałeś w wywiadzie wojskowym...**

**- To była przykrywka - przerwał jej. - Pracowałem w CIA. Razem z Hunterem. Byłem specjalistą od walki z terroryzmem, zajmowałem się ochroną i prowadzeniem negocjacji z porywaczami.**

**Przez chwilę milczała, usiłując przetrwać tę informację.**

**- To znaczy, że... że byłeś agentem? - spytała w końcu. - Szpiegiem?**

**- Można tak powiedzieć. - Wzruszył ramionami. - Twój ojciec miał tajne powiązania z obcym rządem. Grożono mu. Dlatego poproszono nas o pomoc.**

**Zamurowało ją.**

**- Potem... wyjechałem za ocean. Pomagałem rządowi małego afrykańskiego państwa bronić się przed przewrotem wojskowym. Niestety upiłem się, nie zachowałem należytej ostrożności i straciłem rękę. - Nie wspomniał, że do Afryki wyjechał jako najemnik. Nie chciał jej zdradzać całej swojej przeszłości. Może później...**

**Wzdychając głośno, Sarina oparła się o framugę drzwi.**

**- Bernardette to widziała - rzekła lekko speszonego tonem. - Nie zdawałam sobie sprawy, że chodzi o ciebie. Ale ona to wszystko widziała. Tego dnia, kiedy zacząłeś pracę w Ritter Oil, opowiedziała mi całą historię.**

**Popatrzył jej badawczo w oczy.**

**- Nawet o mnie wcześniej nie słyszała. Jestem dla niej obcym**

**człowiekiem. Więc jakim cudem zna takie szczegóły z mojego życia?**

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Nie mam pojęcia - odparła wymijająco Sarina. Woląla nie wypowiadać się na temat cudów.

- Zdarzało jej się to wcześniej? - Nie dawał za wygraną.

Nie chciała mu mówić zbyt dużo o Bernardette, by przypadkiem czegoś się nie domyślił. Jego ojciec, o czym Colby musiał wiedzieć, również posiadał paranormalne zdolności i potrafił odgadywać przyszłość.

- Przyśniła jej się śmierć dziadka. - Wzruszyła ramionami, starając się zbagatelizować niezwykły dar swojej córki.

- Twojego ojca.

- Nie. Drugiego dziadka. Skrzywił się.

- Znałaś go?

- Nie twój interes! - warknęła. - Nie wtrącaj się do...

- On nie mógł ci pomóc odnaleźć ojca Bernardette?

- Nie mógł! Syn go nienawidził. Od lat nie utrzymywali żadnych kontaktów.

Pokiwał ze zrozumieniem głową. On również przez wiele lat nie rozmawiał z własnym ojcem, a potem staruszek umarł, zanim zdążyli się pogodzić. Przyjrzał się uważnie Sarinie. Miała podkrążone oczy, ziemistą cerę. Przypomnił sobie, co Hunter mówił o jej życiu.

- Wszyscy się od ciebie odwrócili - zauważył cicho. - Byłaś młoda, niewinna. Nie zasłużyłaś na takie traktowanie.

- Co cię nie zabije, to cię wzmocni. - Jej twarz nie zdradzała

**śladu emocji. - Stałam się silna.**

**Powiódł wzrokiem po jej ciele. Była równie zgrabna i ponętna jak dawniej. Ale wtedy, przed laty, skrzywdził ją. Nic dziwnego, że go nienawidzi.**

**- Spośród wszystkich błędów, jakie popełniłem - rzekł - najbardziej żałuję tego, jak się z tobą obszedłem. Nie powinienem był się do ciebie zbliżyć. - Mimo wymuszonego ślubu pragnął jej do szaleństwa. Furia nie zmniejszyła pożądania. - Wiesz, co powiedziała psycholożka? Że to nie z odejściem Maureen nie mogłem się pogodzić, ale z tym, jak potraktowałem ciebie. Ja... Myślałem, że masz doświadczenie... Wciąż pamiętam tamtą noc...**

**Ona też pamiętała. Spuściła wzrok.**

**- Maureen stanowiła jedynie pretekst do upijania się. Za bardzo bałem się szukać prawdziwych przyczyn.**

**Chciała mu wierzyć, ale nie mogła. Maureen zajmowała zbyt ważne miejsce w jego życiu.**

**- Nie wierzysz mi? - spytał. Pokręciła głową.**

**- To nie ma już teraz znaczenia, Colby. Weź przykład ze mnie - dodała z uśmiechem, kierując się do wyjścia. - Ja się nie oglądam wstecz.**

**Skąd Bernardette wiedziała o jego ręce? Pytanie to nie dawało mu spokoju. Co rusz obraz małej zadziornej dziewczynki stawał mu przed oczami. Widział jej palające wściekłością oczy, kiedy nazwała go mordercą. Następnego dnia znów przyszła do bufetu. Colby starał się omijać ją szerokim łukiem, bo nie chciał**

jej ponownie doprowadzić do lez. Sprawiała wrażenie odważnego dzieciaka, inteligentnego i dumnego. Był taki sam w jej wieku.

Coś drgnęło w aferze narkotykowej. Dzięki przyjaciółce Alexandra Cobba Hunter z Colbym mieli możliwość wysłuchania nagranej na taśmie rozmowy Cary Dominguez ze współnikiem w kawiarni. Okazało się, że kobieta wie o brakującej przesyłce, ale nie za bardzo chce rozwijać temat. Może podejrzewała, że obecność Jodie Clayburn w tym samym lokalu nie jest przypadkowa. W każdym razie, chociaż wyszła z aresztu za kaucją, nazajutrz wyjechała z miasta i ślad po niej zaginął. Cobb zwolnił jednego ze swoich ludzi, agenta o nazwisku Kennedy, który przekazywał informacje przemytnikom. Kennedy'ego aresztowano razem ze strażnikiem pilnującym magazynu. Był źródłem przecieku, ale - jak twierdził Cyrus Parks - nie jedynym. Cara Dominguez mogła mieć więcej wtyczek, dlatego Cobb wolał nikomu nie zdradzać posiadanych przez siebie informacji, nawet Colby'emu i Hunterowi.

Hunter z Colbym kilka razy przeczesali magazyn, przekonani, że narkotyki są tam gdzieś ukryte. Nie znaleźli ich, nawet gdy do pomocy sprowadzono specjalnie wyszkolone psy. Zwierzęta krążyły między rzędami zastawionych paczkami regałów, ale nic z tego nie wynikało. W pewnym momencie któryś zainteresował się ścianą, przy której nic nie stało. Narkotyki musiały być ukryte wyżej, gdzie psi węch nie sięgał. Gdyby chcieć wszystkie pudła poprzestawiać, a potem sprawdzić ich zawartość,



to zważywszy na wielkość magazynu, kilka osób pracowałoby przy tym co najmniej pół roku. A to nie wchodziło w grę.

- Psiakrew, wiem, że towar tu jest! - mruknął w piątek Hunter.

- Na pewno go znajdziemy.

- Tak myślisz? - Hunter spojrział na zegarek i skrzywił się. - Muszę iść.

- Urywasz się pół godziny wcześniej?

- Z okazji Święta Jesieni Nikki występuje dziś w szkolnym przedstawieniu. Bernardette też.

- Ritter wspomniał, że chodzą do tej samej szkoły.

- Tak, to dobra szkoła. Jesteśmy z niej zadowoleni.

Mijali bufet, w którym Bernardette siedziała przy stoliku, pochylona nad kartką papieru.

- Ładnie rysuje - pochwalił dziewczynkę Colby.

- A żebyś słyszał, jak śpiewa! Jak anioł.

Colby poczuł, jak rozpiera go duma. To dziwne, pomyślał, skoro dotychczas okazywał dziecku jedynie wrogość. Istniała między nimi jakaś tajemna więź. Był człowiekiem bardzo skrytym, mało komu opowiadał o swoim prywatnym życiu. A ona, Bernardette, знаła kilka najintymniejszych szczegółów.

- Dziś będzie śpiewała? Hunter zerknął na niego spod oka.

- Tak. W dodatku solo.

- A gdzie jest ta szkoła? I czy każdy może przyjść na przedstawienie? Czy tylko rodzina?

- Jak chcesz, możesz się wybrać ze mną i Jennifer.

Colby zawahał się. Nie wiedział, jak Sarina i Bernie zareagują na jego obecność. Był jednak ciekaw występu malej.

- Chętnie - rzekł po chwili.

- Jenny zawozi Nikki o piątej, a ja miałem zamiar dojechać później. Wpadnij o szóstej, to pojedziemy razem.

- Dobra. - Colby skręcił w boczny korytarz. Nie patrzył na przyjaciela. - Dzięki.

Znalazłszy się w swoim gabinecie, otworzył dolną szufladę biurka, w której leżała torba z zakupami z pobliskiego sklepu papierniczego. Sam nie wiedział, co go podkusiło, by tam wejść. Niewiele się namyślając, wyjął torbę i ruszył z powrotem do bufetu.

Dziewczynka podniosła głowę. Na widok Colby'ego znieruchomiała. Patrzyła niepewnie, jakby oczekując kolejnej awantury.

Bez słowa położył torbę na stoliku, po czym lekko pchnął ją w stronę dziecka. Nie odzywał się.

Bernardette wyciągnęła z zaciekawieniem rękę i zajrzała do środka. Jej oczom ukazał się profesjonalny blok do rysowania, węgiel, temperówka, duże metalowe pudełko z kredkami. A także książeczka z radami dla początkujących artystów.

- O rany. - Wytrzeszczyła oczy. - To dla mnie?

Kiedy Colby skinął głową, uśmiechnęła się nieśmiało. Twarz jej pojaśniała.

- Dziękuję.

- Masz talent.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale po chwili uśmiech na jej wargach zgasł, a w oczach pojawiły się wyrzuty sumienia.

- Przepraszam.

- Za co?

- Za poprzedni rysunek. Nie powinnam go rysować.

Colby pochylił się zaintrygowany.

- Skąd wiedziałaś o tym miejscu? O tym, co się tam stało?

- Nie jestem pewna - odparła z namysłem.

- Czasem widzę różne rzeczy. A czasem mam sny, które się spełniają. Właśnie we śnie widziałam twój wypadek. - Wskazała na jego lewą rękę. - To było straszne.

- Owszem - potwierdził. - To było straszne.

- Dziadek mówił, że to dar, ta moja umiejętność widzenia niektórych wydarzeń. I że nie powinnam się tego bać. Ale nie chcę widzieć złych rzeczy.

- Tylko złe widzisz?

- Tak. Niedawno znów coś zobaczyłam. Ale nie mogę powiedzieć o tym mamusi.

- Dlaczego?

Na małej twarzyczce malował się strach.

- Bo to o niej. Stanie się coś niedobrego. Poczuję bolesne klucie w sercu.

- Co?

- Wiem tylko, że mamusia zostanie ranna. Od kuli. Nie mogę temu zapobiec.

Przeraziło go to, co usłyszał. Sarina ranna? Kucnął przy krześle, na którym dziewczynka siedziała. Był tak wysoki, że ich oczy znajdowały się na jednym poziomie.

- A czy wiesz, gdzie to ma się zdarzyć?

- zapytał.

W oczach dziecka czaił się lęk.

- W takim wielkim pokoju z pudłami. To będzie w nocy.

Zmarszczył czoło. Jedyne miejsce z pudłami, jakie zna, to magazyn. Ale Sarina nie miała powodu tam chodzić, ani w dzień, ani tym bardziej w nocy.

- Pracujesz z tatą Nikki, prawda? - spytała Bernardette. - Chronisz tutejszych pracowników?

- Tak.

- Mógłbyś pilnować mojej mamusi? Żeby nic złego się jej nie stało?

- Oczywiście. Będę jej strzegł jak oka w głowie - zapewnił stanowczym tonem. - Obiecuję.

- Dziękuję. - Dziewczynka, lekko speszona własną odwagą, położyła rękę na jego ramieniu.

- Nie ma za co.

- Nie lubisz mnie - stwierdziła nagle. Znów ogarnęły go wyrzuty sumienia.

- Nie o *to* chodzi... - Zawahał się. - Po prostu nie jestem

przyzwyczajony do dzieci. A poza tym... żyję samotnie. Nikomu o sobie nie opowiadam.

Pokiwała głową, jakby doskonale go rozumiała.

- Ja też nie - oznajmiła. Sprawiała wrażenie o wiele starszej niż w rzeczywistości. - Dzieciaki uważają mnie za czarownicę. Czasem dokuczają mi z powodu... - Urwała, przypomniawszy sobie prośbę matki, aby nie mówić o swoich przodkach. - Bo jestem inna - dokończyła.

- Dzieci latynoskie też ci dokuczają?

- Nie. One nie.

Wiedział, co dziewczynka czuje. W przeciwieństwie do niej nie miał żadnych specjalnych zdolności, ale całe życie był outsiderem. Najpierw oddalił się od Indian w rezerwacie, potem od ojca, wreszcie od społeczeństwa. Stracił zaufanie do kobiet, do ludzi, zamknął się w sobie. I nie potrafił wydostać się na zewnątrz.

- Hunter mówił, że ładnie śpiewasz - rzekł, przerywając ciszę.

- Dziś będę śpiewać w szkolnym przedstawieniu.

- Wybieram się na nie, wiesz? Z rodzicami Nikki.

- Naprawdę? - Zwróciła na niego oczy. Coś w jej spojrzeniu przypominało mu jego matkę, za którą wciąż tęsknił. Podniósł się z kolan. Miał wrażenie, jakby ktoś go obserwował. Obróciwszy się, zobaczył stojącą w drzwiach Sarinę. Na jej twarzy malował się wyraz zadumy.

- Pora na nas, myszko. - Uśmiechnęła się do córki.

- Dobrze, mamusiu. - Dziewczynka ruszyła w stronę matki. -

**Popatrz, co dostałam.**

**Sarina zerknęła do torby.**

**- Przybory do rysowania? - zdziwiła się. Colby wsunął rękę do kieszeni. Z jego oczu nie sposób było nic wyczytać.**

**- Skoro lubi rysować, niech ma porządny papier i kredki.**

**Sarina ponownie zajrzała do torby.**

**- Hm, przynajmniej nic nie tyka. Na pewno nie nasączyłeś gumki jakąś trucizną?**

**- Nieladnie, mamusiu - skarciła ją dziewczynka. - Mówiłaś, że zawsze trzeba być grzecznym.**

**- Zawsze - poparł ją Colby, uśmiechając się łobuzersko. - Powinnaś uczyć się od córki dobrych manier.**

**- Niektórzy ludzie mają dar wyprowadzania innych z równowagi - zauważyła Sarina przez zęby.**

**- Ale chyba nie ja? - spytał beczelnie.**

**- W porządku. - Westchnęła. - Postaram się być uprzejma.**

**Nie podobała się jej zmiana w podejściu Colby'ego do Bernardette. Wolą, by trzymał się od niej z daleka.**

**- Jeszcze raz dziękuję. - Dziewczynka posłała mu uśmiech i wzięła matkę za rękę.**

**- Nie ma za co.**

**Sarina skinęła głową na pożegnanie. Obie z córką opuściły bufet.**

**Po chwili Colby'ego dobiegł podniecony głos dziecka:**

**- Jest bardzo miły! Obiecał, że przyjdzie posłuchać, jak**

śpiewam. I powiedział, że ładnie rysuję.

Zrobiło mu się ciepło na sercu. Miał ochotę dogonić małą, chwycić ją w ramiona i przytulić. Nic z tego nie rozumiał. Po tym, jak brzydko się wobec niej zachował, ona okazuje taką wspaniałomyślność.

Słuchając córki, Sarina nie wiedziała, jak zareagować. Targały nią mieszane uczucia. Jeżeli Colby za bardzo zbliży się do Bernardette, może odkryć rzeczy, których poznać nie powinien. Mała wydawała się nim zafascynowana. On też sprawiał wrażenie, jakby ją wreszcie polubił. Bardzo to komplikowało całą sytuację.

Colby po raz pierwszy w życiu był na szkolnym przedstawieniu. Świętowano jesień. Dzieciaki opowiadały o Święcie Dziękczynienia. Na scenie stały dynie, ale nie były wydrążone, nie miały w środku świec.

Nikki Hunter wyrecytowała wiersz o jabłkach zbieranych w sadzie. Potem do mikrofonu podeszła Bernardette, wyraźnie stremowana. Tęgawa kobieta zasiadła przy fortepianie i zagrała kilka taktów. Dziewczynka w brązowej sukience z białym kołnierzykiem przez chwilę rozglądała się po widowni. Kiedy odnalazła wzrokiem matkę, Colby'ego i Hunterów, uśmiechnęła się promiennie.

Kobieta przy fortepianie skinieniem głowy dała znak i Bernardette zaczęła śpiewać. Colby'emu ciarki przeszły po krzyżu. Dziewczynka była niesamowicie utalentowana. Śpiewała głosem czystym i dźwięcznym, który brzmiał dziwnie znajomo.

Colby zamknął oczy. Przeniósł się w przeszłość do własnego dzieciństwa i przypomniał sobie matkę, która tak pięknie nuciła, układając go do snu.

Z zadumy wyrwały go oklaski. Uśmiechając się do dziewczynki, zaczął bić brawo.

Kurtyna opadła. Przedstawienie dobiegło końca. Hunterowie ruszyli w głąb sali, szukając swojej pociechy. Bernardette, która biegła środkiem przejścia, pochwycił w ramiona wysoki, śniady mężczyzna. Rodrigo Ramirez. Colby zacisnął gniewnie zęby. Nie zauważył wcześniej Latynosa, zresztą Sariny też nie. Siedzieli kilka rzędów przed nim, po drugiej stronie sali.

Zawahał się, ale nie widział powodu, aby nie podejść i nie pochwalić dziecka. Jeśli się to Ramirezowi nie spodoba, to trudno.

- Przyszedłeś! - zawołała uradowana dziewczynka.

Ignorując Ramireza, uśmiechnął się ciepło.

- Hunter ma rację - oznajmił. - Śpiewasz jak anioł.

- Dziękuję. - Spuściła nieśmiało oczy.

- Skąd się tu wzięłeś, Lane? - spytał Ramirez.

- Lubię go. - Bernardette stanęła w jego obronie. - Dał mi dziś pełno kredek i blok.

Mężczyźni spojrzeli na siebie wrogo.

- Zbierajmy się - rzekła Sarina, czując narastające napięcie. - Ty, Rodrigo, masz za sobą długi dzień.

- No tak, praca oficera łącznikowego może człowieka wykończyć - oznajmił niewinnym tonem Colby. - Jest ciężka,



wyczerpująca psychicznie i fizycznie...

Oczy Latynosa zabłysły.

- Równie wyczerpująca jak praca ochroniarza, który musi sprawdzać, czy wszystkie drzwi zostały zamknięte.

Colby postąpił krok do przodu. Sarina wsunęła się pomiędzy mężczyzn. Wzięła córkę za rękę, a Rodriga ścisnęła ostrzegawczo za ramię.

- Idziemy. Dobranoc, Colby - rzekła, popychając przed sobą Latynosa.

Bernardette, która swoimi małymi rączkami wciąż obejmowała Rodriga za szyję, obejrzała się za siebie.

- Dobranoc! - zawołała.

Colby pomachał do niej, po czym wsunął ręce do kieszeni. Wściekłym wzrokiem wpatrywał się w towarzyszącego Sarinie mężczyznę. Ocknął się dopiero wtedy, gdy Hunter po raz drugi wymówił jego imię.

Jennifer uśmiechnęła się pod nosem, kiedy Colby odjechał spod ich domu. Nikki pobiegła na górę; przed pójściem spać musiała dokończyć lekcje.

- Ci dwaj, Colby i Rodrigo, jeszcze nieraz na siebie powarczą.

- To ich problem, nie nasz. - Hunter uśmiechnął się do żony, po czym zgarnął ją w ramiona.

- Dziś mija równo drugi miesiąc - poinformowała go szeptem.

Pogładził ją delikatnie po płaskim brzuchu.

- Nie mogę się doczekać. Dzięki tobie moje życie nabrało sensu. Nie sądziłem, że można być tak szczęśliwym.

Wybuchnęła śmiechem.

- A tyle lat patrzyłeś nad mnie spode łba, udając, że mnie nienawidzisz!

- - Ale wreszcie przejrzałem na oczy.

- Tak, po tym, jak dostałam kulkę. Przytulił ją mocno.

- - Nie przypominaj mi o tym. - Wzdrygnął się. - Tak niewiele brakowało, żebyś zginęła, Gdyby ten snajper spudłował... Chryste, byliśmy na środku pustyni, z dala od lekarzy i szpitala. Dobrze, że to była tylko powierzchowna rana... Ale wystraszyłem się jak diabli. I wtedy uświadomiłem sobie, co do ciebie czuję. - Na moment zamilkł. - Dlatego uciekłem.

- Ale to nic nie dało, bo wróciłeś. Czulem się wypalony, wiodłem puste, nieciekawe życie. - Pochyliwszy się, pocałował ją czule. - Tak bardzo się bałem, że cię straciłem. Eugene chciał mnie wysłać z powrotem do Arizony. Mówił ci o tym? Uważał, że dostatecznie cię skrzywdziłem.

- Tak, mówił. Ale w sumie cieszy się z takiego obrotu spraw... Wiesz, tęsknię za moją kuzynką Danettą.

- Możemy wrócić do Tucson, jak tylko wprowadzę Colby'ego w jego obowiązki.

Jennifer zawahała się.

- Houston nie jest takie złe - rzekła po chwili. - Nikki uwielbia nową szkołę. Po raz pierwszy w życiu ona i Bernardette

wtopiły się w środowisko...

- Czyli co? - Hunter zmarszczył czoło. - Wolałabyś stąd nie wyjeżdżać?

Przygryzła wargi.

- Poczekajmy z decyzją miesiąc lub dwa. Dobrze?

- Jak sobie życzysz. - Hunter uśmiechnął się szeroko. - Chociaż Colby nie będzie najszcześliwszy, grając drugie skrzypce.

- Nie przesadzaj. W Waszyngtonie pracował pod kierownictwem Tate'a Winthropa i wcale mu to nie przeszkadzało.

- To prawda. No dobra, poczekamy miesiąc czy dwa i wtedy podejmiemy decyzję.

Nazajutrz Colby mijął gabinet Huntera, kiedy nagle spostrzegł Ramireza rozmawiającego z Cyrusem Parksem.

- Cy! Kopę lat! - Ucieszył się na widok dawno niewidzianego kumpla.

- A czyja to wina? - Cyrus uściśnął wyciągniętą dłoń. - Kto ciągle wyjeżdżał? - Pokręcił ze śmiechem głową. - Nie wiedziałem, że tu pracujesz, dopóki Alexander Cobb nie zadzwonił. Co słychać?

- Przyzwyczajam się do cywila - odparł Colby, po czym utkwił spojrzenie w Ramirezie. - Co, oficer łącznikowy wita również gości? Zazwyczaj te obowiązki powierza się ludziom starszym i...

Rodrigo zacisnął pięści. Niemal widząc iskry latające w

powietrzu, Cyrus postanowił interweniować.

- Przepraszam, ale się spieszę - powiedział, spoglądając ostrzegawczo na Ramireza. - Później załatwicie swoje porachunki.

- Położył rękę na zdrowym ramieniu Colby'ego. - Cobb prosił, żebym tu zajrzał. Mam informacje dla Huntera.

- Skąd się znacie? - spytał Rodrigo Cyrusa, nie potrafiąc ukryć ciekawości.

Colby w ledwo dostrzegalny sposób pokręcił głową, dając przyjacielowi do zrozumienia, by nic nie mówił. Nie chciał, aby ktokolwiek, zwłaszcza Sarina, wiedział o jego przeszłości.

- Colby to kumpel Micaha Steele'a, który mieszka obecnie w Jacobsville - odparł wymijająco Cyrus. - Kiedyś razem pracowali. A z nimi Hunter - dodał, by zbić Ramireza z tropu. - Ja poznałem Colby'ego w Waszyngtonie.

- Micah to porządny facet - wtrącił Colby.

- Zawdzięczam mu życie. - To była prawda. Właśnie Micah amputował mu roztrzaskaną rękę.

Dojrzwawszy rozmawiających mężczyzn, Hunter ruszył im naprzeciw.

- Parks! Miło cię widzieć, stary!

- Ciebie też. Chryste, ileż to już lat! - Nagle Cyrus pomyślał, że lepiej, by Hunter z Colbym nie zorientowali się, iż z Ramirezem również łączy go długa znajomość.

- Co ty właściwie tu robisz? - spytał Colby.

- Prosiłem Cobba, żeby nam go podesłał - wyjaśnił Hunter. -

**Nikt nie wie tyle co on o działalności Lopeza.**

**- Nikt poza... - zaczął Cyrus.**

**- Nikt. Kropka - przerwał mu Hunter. Cyrus z miejsca zrozumiał, o co chodzi: ma nie zdradzić, że Ramirez rozpracowywał od środka organizację Lopeza. Nie wiedział, dlaczego Hunter trzyma to w tajemnicy przed swoim zastępcą, ale uznał, że widocznie tak musi być.**

**- Mogą wam się przydać moje informacje - rzekł, nie patrząc na Rodriga.**

**Latynos przysłuchiwał się wszystkiemu z obojętną miną, jakby rozmowa go nie dotyczyła. Po chwili przeprosił towarzystwo i odszedł do swoich obowiązków.**

**Hunter zaprosił Cyrusa z Colbym do swojego gabinetu i zamknął drzwi. Znalazł się w niełatwym położeniu. Colby i Rodrigo powinni jak najmniej o sobie wiedzieć. Nie mógł wyjawić przyjacielowi, jakie obowiązki spoczywają na Ramirezie. Najśmieszniejsze było to, że obaj mężczyźni przebywali w Afryce wtedy, gdy Colby stracił rękę. Rodrigo walczył wtedy w grupie dowodzonej przez Micaha. Przez moment nawet się z Colbym widzieli, ale na szczęście jeden drugiego nie rozpoznał.**

**Nieopodal posiadłości Cyrusa nieżyjący już dziś baron narkotykowy Manuel Lopez wynajął - lub wybudował - magazyn, z którego rozprawdzano kokainę. Harley Fowler, jeden z żołnierzy Cyrusa, obserwował magazyn dwadzieścia cztery godziny na dobę. Niedawno zauważył tam wzmożony ruch. Cyrus zamierzał**

wezwać do pomocy Eba Scotta, który prowadził w Jacobsville specjalny obóz dla wojskowych z całego świata: uczył różnych metod walki, pokazywał sposoby prowadzenia przesłuchań, szkolił w antyterroryzmie.

Przed dwoma laty Cyrus Parks z Ebem Scottem i Steele'em rozprawili się z Lopezem. Oczywiście nie sami, pomagała im miejscowa policja oraz agenci Cobba. Doszło do strzelaniny; kilka osób zginęło, wielu trafiło za kratki. Lopezowi udało się uciec. Potem porwał siostrę przyrodnią Micaha Steele'a i wyjechał z nią do Cancun w Meksyku. Micah zmontował oddział złożony z najemników, aby uwolnić dziewczynę. Wśród nich był Rodrigo. Lopez zginął w tajemniczym wybuchu w pobliżu Nassau. Colby nie wiedział o roli, jaką w tej sprawie odegrał Rodrigo. I nie wolno było mu nic mówić. Cobb nalegał.

Informacje Cyrusa Parksa na temat dawnej organizacji Lopeza okazały się niezwykle przydatne. Colby'ego wciąż intrygowała bliskość, jaką wyczuwał między Cyrusem a Ramirezem, ale nie wypytywał o nią. Może Meksykanin po prostu łatwo nawiązuje znajomości? Może dobrze dogaduje się z obcymi? Oficer łącznikowy powinien mieć taki talent.

Zanim Cyrus wyszedł, zaprosił Colby'ego na swe ranczo.

- Nadal jeździsz konno? To cię nie powstrzymuje? - Wskazał na protezę.

Colby nie obraził się. Cyrus też przed laty poważnie zranił sobie lewą rękę, tyle że podczas pożaru, w którym zginęła jego

**pierwsza żona oraz syn.**

**- Nie - odparł. - Może trochę pokraccie wsiadam i zsiadam z konia, ale w jeździe proteza nie przeszkadza. Lubię konie.**

**- Hodowałeś kiedyś quartery - przypomniał sobie Cyrus.**

**- Tak, ale za często wyjeżdżałem i musiałem zrezygnować z hodowli. Dzięki za zaproszenie. Chętnie skorzystam.**

**- Świetnie, wpadnij w dowolną sobotę, tylko zadzwoń wcześniej. - Cyrus ruszył do drzwi. - Poznasz Lisę. Za kilka tygodni spodziewamy się pierwszego dziecka. Poprzedniej ciąży Lisa niestety nie donosiła.**

**- W sumie jednak los się do ciebie uśmiechnął - zauważył Colby.**

**- I to jak!**

**Dzięki Parksowi poznali nazwiska dwóch ludzi zatrudnionych przez Rittera, którzy mieli powiązania z Cancun. Nie świadczyło to oczywiście o ich winie, ale było trochę podejrzane, zwłaszcza że obaj od niedawna pracowali w Ritter Oil. Gary Ordonez zajmował się w firmie zaopatrzeniem, miał też ojca, który wielokrotnie popadał w konflikt z prawem. Daniel Morris zaś, który był operatorem sprzętu, siedział przed laty w więzieniu za handel narkotykami. Stary Ritter miał bzika na punkcie pomagania przestępcom w powrocie do uczciwego życia.**

**Colby ciekaw był, czy jest coś w aktach osobowych Ordoneza i Morrisa, co by wskazywało na ich znajomość z Carą Dominguez. Uznawszy, że najlepiej to sprawdzić w kadrach, wybrał się na**

rozmowę do Brody'ego Vance'a.

Nie spodziewał się trudności. Bądź co bądź jako zastępca szefa ochrony miał prawo wglądu do akt pracowników, których podejrzewał o działalność przestępczą. Przy okazji chciał zobaczyć, jak Vance zareaguje, kiedy usłyszy ich nazwiska.

Zanim jednak Colby zdążył je wymienić, Brody Vance sprzeciwił się pokazaniu mu jakichkolwiek dokumentów.

- Przykro mi - rzekł stanowczym tonem - nikomu, nawet ludziom z ochrony, nie będę ujawniał informacji o naszych pracownikach.

Colby popatrzył na Vance'a tak, jakby ten był niespełna rozumu.

- Poszukujemy handlarzy narkotyków - powiedział. - Nie możemy pozwolić, aby ktoś oskarżył Ritter Oil o ukrywanie przestępców i udzielanie im pomocy.

Vance'owi mina nieco zrzędła, ale nie zmienił zdania.

- Przykro mi. Takie mam zasady.

Colby uniósł brwi. Po chwili sięgnął po komórkę i zadzwonił do Huntera. Nie spuszczając Vance'a z oka, zaczął mówić do telefonu w języku Apaczów:

- Gość nie chce mi pokazać akt. Myślę, że coś ukrywa.

- Mam przyjść i pomóc ci go przekonać? - spytał z rozbawieniem Hunter.

- Czemu nie? - Rozłączywszy się, Colby schował telefon do kieszeni.



Vance przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Co to za język?

- Jeden z wielu, jakie poznałem, pracując w CIA - odparł nonszalancko Colby.

Na widok miny Vance'a z trudem się powstrzymał, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Pra... pracowałeś w CIA?

Vance wciąż rozważał, co ma zrobić, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Hunter. Bez słowa podał kierownikowi kadr kartkę zawierającą nazwiska podejrzanych pracowników oraz informacje na temat przestępstw popełnionych przez nich w przeszłości. Vance przebiegł po nich wzrokiem i zacisnął zęby.

- Albo nam udostępnisz akta - powiedział cicho Hunter - albo uzasadnisz swoją odmowę ludziom z DEA. Wystarczy jeden telefon, a ktoś tu zaraz przybędzie. Razem z panem Ritterem i jednym z naszych prawników.

Vance przełknął ślinę. Odchrząknął, po czym zasiadł do komputera. Ręce mu się trzęsły.

- Wydrukuję wam te informacje - rzekł potulnie.

Hunter popatrzył na Colby'ego, ukrywając uśmiech.

- Widzisz, jak to działa? - powiedział w języku Apaczów.

- Twardziel wygląda tak, jakby ze strachu miał narobić w portki.

Nieświadom, o czym rozmawiają, Vance wyciągnął z

**drukarki dwie kartki i podał je Colby'emu.**

**- Staramy się dbać o ochronę danych - rzekł, usiłując zachować twarz.**

**- I na pewno mocodawcy handlarzy narkotykami są wam za to bardzo wdzięczni - odparł Colby, znów w języku niezrozumiałym dla Vance'a.**

**Hunter ujął przyjaciela za łokieć i pchnął do wyjścia, nie dając mu czasu przetłumaczyć swojej wypowiedzi na angielski.**

**- Nieźle, stary - pochwalił go Colby.**

**- Kiedy człowiek pracuje w ochronie tyle lat co ja, wie, jak postępować z takimi biurokratami jak Vance. Podszkolę cię. A teraz kup nam w bufecie kawę, a ja zajrzę do magazynu i pokażę te dane kierownikowi.**

**- Dobra, spotkamy się u ciebie.**

**Mimo doświadczenia na polu walki, w walce na słowa i argumenty Colby czuł się niczym pierwszoklasista. Do tej pory zwyciężał, posługując się bronią palną.**

**Parę minut później, przechodząc koło pokoju Grody'ego Vance'a, Sarina usłyszała, jak mężczyzna przeklina, rozmawiając z kimś przez telefon.**

**- Nie możesz, do jasnej cholery! Już i tak mnie podejrzewają...**

**Nie zwolniła kroku, szła dalej, studiując jakieś dokumenty, z pozoru głucha na wszystko, co się wokół dzieje. Zauważywszy ją na korytarzu, Vance przeszedł na hiszpański i kontynuował**

przerażony:

- Musiałem im przekazać informacje! Inaczej wyleciałbym z roboty... Nie! Nie dostaniesz się do magazynu. Jest pod stałą obserwacją... Oczywiście, że są kamery! - Na moment zamilkł. - Za kogo mnie uważasz, specja od elektroniki czy co? Mowy nie ma! Nie będę znów nadstawiał dla ciebie karku. Poproś Chivę... Co? Nie, obecnie jest w Corpus Christi... Tak, tak będzie najlepiej.

Odłożył z hukiem słuchawkę.

Sarinie przebiegł po plecach dreszcz. Wiedziała, że podsłuchiwała coś ważnego, co trzeba wykorzystać.

- *Ha oido algo de que hablaba yo?* - powiedział za jej plecami Vance.

Szła dalej, udając, że nie rozumie ani słowa.

- Panno Carrington!

Odwróciła się, przybierając zaskoczoną minę. Grody Vance stał w otwartych drzwiach swojego gabinetu.

- Tak, panie Vance?

- Chciała się pani ze mną widzieć?

- Widzieć? - zdziwiła się.

- Nie słyszała pani, co mówiłem? Pokręciła głową, wskazując na papiery, które trzymała w ręce.

- Przepraszam, byłam skupiona na czymś innym. Przeglądałam dokumenty, które muszę przekazać panu Ritterowi, zanim wyjdzie do domu. Pan mnie wołał?

Wyraźnie się odprężył.

- Nie, w porządku, niech pani idzie. Po prostu chciałem spytać, czy jest pani zadowolona z pracy?

- Bardzo. - Uśmiechnęła się. - Atmosfera jest świetna, wszyscy są tu bardzo mili.

- To prawda. No dobrze, nie chcę pani zatrzymywać. - Uśmiechnąwszy się, wrócił do gabinetu.

Oddaliła się pośpiesznie. Przy schodach obejrzała się, by sprawdzić, czy Vance za nią nie podąża. Musi jak najszybciej powiadomić Huntera, a on zgłosi to gdzie trzeba. Była podniecona: nareszcie mają dowód.

Huntera nie było w pokoju. Przeszła dalej, gdzie za przepierzeniem zwykle urzędował Rodrigo, ale jego też nie było. Westchnęła zniecierpliwiona i wybiegłszy na korytarz, zderzyła się z Colbym.

- Chodź szybko, muszę z tobą porozmawiać - powiedziała, ciągnąc go za rękaw do swojego pokoju.

- Co się dzieje? - spytał zdumiony.

- Podśluchałam rozmowę Vance'a przez telefon. - Zamknęła drzwi. Oczy lśniły jej z przejęcia. - Chyba rozmawiał z kobietą. Powiedział, że przekazał komuś jakieś informacje, że nie mógł się od tego wykręcić, i że ona, jego rozmówczyni, nie może dostać się do magazynu, bo tam są kamery. Powiedział też, że nie jest specem od elektroniki. Pewnie chciała, żeby je wyłączył lub rozmontował.

- Fantastycznie! - zawołał Colby zachwycony, że udało im się

wystraszyć Vance'a. Teraz będą mogli sprawdzić, do kogo dzwonił. Z radości przyciągnął Sarinę do siebie, pocałował ją w usta, po czym roześmiał się, widząc jej zdziwioną minę. - Przepraszam. Nie mogłem się opanować - rzekł, opuszczając ręce. - Spisałaś się na medal!

Zaczerwieniła się jak nastolatka. Ten szybki, niewinny całus zupełnie zbil ją z tropu.

- Marnujesz się przy papierkowej robocie...

- powiedział Colby, po czym nagle się zamyślił.

- Swoją drogą Vance ma niezły tupet... Rozmawiać tak otwarcie, zwłaszcza po naszej wizycie, nie przejmując się, że ktoś może słyszeć...

' - Mówił po hiszpańsku - wyjaśniła.

- Widział cię?

- Tak. Ale nie wie, że znam hiszpański - odparła z uśmiechem. - Poza tym szłam zaczytana w notatkach, nie zwracając na nic uwagi...

- Może uda nam się go wykurzyć... Hm, pogadam z Hunterem i zobaczymy. Dzięki, Sarino. Jesteś genialna.

Ogarnęła ją złość na samą siebie; czy musi się tak cieszyć z jego pochwał?

Przechyliwszy w bok głowę, przez moment bacznie się jej przyglądał.

- Powinnaś przejść do mojego zespołu. - Wcale nie żartował.

- Praca w ochronie jest bardziej ekscytująca od roboty

**papierkowej.**

**- Niezły pomysł - powiedziała, patrząc w bok.**

**- Zastanów się.**

**Ruszył na poszukiwanie Huntera. Vance się zdradził. Może w końcu zdołają odnaleźć partię narkotyków ukrytą w magazynie.**

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Hunter stał przy drzwiach, rozmawiając z księgowym.

- Coś się stało? - spytał na widok przyjaciela.

- Nic wielkiego. Ale musimy pogadać.

- Dobra. - Przeprósiwszy księgowego, skierował się za Colbym w głąb korytarza.

- Przestraszyliśmy Vance'a - rzekł Colby, nie kryjąc zadowolenia. - Sarina słyszała, jak rozmawiał przez telefon. Chyba z kobietą. Kiedy zauważył Sarinę, przeszedł szybko na hiszpański. Powiedział, że musiał nam podać nazwiska, a kiedy jego rozmówczyni spytała, czy mogłaby się dostać do magazynu, odparł, że nic, bo magazyn jest pod nadzorem kamer.

- Dzielny mały szpieg z tej naszej Sariny.

- Ona się marnuje. Osoba z jej inteligencją nie powinna wypełniać durnych formularzy i przekładać papierów z kąta w kąt.

Hunter zasznurował usta. Nie mógł zdradzić, na czym polega prawdziwe zajęcie Sariny.

- Jej to chyba odpowiada - rzekł wymijająco. - A my... hm, trzeba sprawdzić, pod jaki numer Vance dzwonił.

- Znasz kogoś w telekomunikacji?

- Owszem, ma się te znajomości. Nie martw się, wszystkie ci przekażę - obiecał, widząc frustrację się na twarzy Colby'ego. - Pewnie myślisz, że specjalnie o wielu rzeczach ci nie mówię, ale takie jest zarządzenie Cobba. On tym wszystkim kieruje.

- Nie ma sprawy. Nieraz byłem w twoim położeniu - zapewnił przyjaciela Colby. - Cholera, muszę założyć podsłuch w samochodzie Vance'a. Może zamierza spotkać się ze swoją tajemniczą rozmówczynią.

- Po południu ma się odbyć narada personelu - - zauważył od niechcienia Hunter. - Potrwa co najmniej godzinę, a Vance na pewno na niej będzie.

Colby uśmiechnął się szeroko.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności.

W ciągu kilku minut zamontował zarówno podsłuch, jak i urządzenie pozwalające śledzić trasę samochodu. To drugie na wypadek, gdyby Vance znalazł podsłuch. Ale nie powinien, bo nie miał powodu go szukać. Wystarczy więc uzbroić się w cierpliwość i spokojnie czekać.

Nazajutrz Colby zamierzał prześledzić trasę Vance'a od domu do firmy, lecz pogoda popsula mu szyki. Od samego rana lało jak z cebra i nic nie wskazywało na to, że wkrótce przestanie. Podczas ulewnych deszczów niektóre nizej położone części Houston bywały systematycznie podtapiane. Na szczęście dom Colby'ego stał z dala od rzeki.

- Czym jeździsz? - spytał go Hunter, ledwo wszedł do budynku. - Terenówką?

Colby skinął głową.

- Tak. Bo co? Hunter zawahał się.

- Wiem, że nie najlepiej dogadujecie się z Sariną, ale ona z



Bernardette są uwięzione w domu. Nawet nie mogą dostać się do samochodu. Zresztą woda sięga do zderzaka. Ja muszę zostać w biurze, czekam na Rittera i Cobba. Później spotykamy się wszyscy, ty też, w sali konferencyjnej. Ale na razie jesteś wolny... Może mógłbyś podjechać do Sariny, podrzucić małą do szkoły?

- Jasne - zgodził się Colby.

Pamiętał wczorajszy pocałunek z Sariną, wciąż czuł na ustach dotyk jej warg. Bernardette powoli zaczynała darzyć go sympatią. Wszystko idzie ku lepszemu. Pomyślał sobie, że Hunter równie dobrze mógł poprosić o przysługę Ramireza. Uśmiechnął się w duchu. Strasznie mu przeszkadzało, choć sam nie rozumiał dlaczego, że Meksykanin utrzymuje tak bliski kontakt z Sariną i jej córką.

- Tylko wróć na spotkanie. Zaczynamy o dziesiątej.

- Zdążę - zapewnił go Colby.

Dotarcie pod dom Sariny stanowiło nie lada wyczyn. Ulica była pod wodą, najbliższy parking również. Colby zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, na wąskiej brukowej drodze położonej nieco wyżej od budynku, po czym wciągnął na nogi wysokie, sięgające po uda kalosze, których używał do łowienia ryb. Podejrzał, że Sarinę i Bernardette trzeba będzie wynieść z domu na barana.

Budynek był stary, mieszkanie Sariny dość zaniedbane. Na werandę prowadziły popękane schody. Farba obłaziła z drzwi. Z jednego z okien zwisała siatka przeciw owadom. Całość zdecy-

dowanie wymagała remontu. Mieszkania obok były w jeszcze gorszym stanie. W takiej okolicy rzeczywiście mieszkali ludzie o najniższych dochodach.

Ścianę sąsiedniego domu zamalował uliczny gang, zaznaczając w ten sposób swoje terytorium. Colby znalazł te różne napisy - zaraz po jego przeprowadzce do Houston Hunter wziął go w objazd po mieście i pokazał te malowidła. Chodziło o to, żeby Colby orientował się, co i jak, w końcu gangi też zajmują się przemytem narkotyków. W każdym razie okolica, w której mieszkała Sarina, nie należała do bezpiecznych. Jediną jej zaletą były niskie czynsze. Colby'emu zrobiło się żal matki i dziecka. Dziewczynka była słodka, niewinna, utalentowana, a dzielnica... lepiej nie mówić.

Ogarnęła go wściekłość na nieobecnego ojca Bernardette za to, że nie troszczył się o swoje dziecko.

Brodząc po uda w wodzie, wszedł na werandę i zastukał do drzwi. W oczach Sariny, która mu otworzyła drzwi, malowało się zaskoczenie.

- Spodziewałam się Huntera.

- Nie mógł się wyrwać. Czeka na Cobba i Rittera, dlatego mnie tu przysłał.

- Aha. - Sprawiała wrażenie zdezorientowanej. Oczy miała zaczerwienione, jakby nie przespalała nocy.

Powiódł po niej tęsknie wzrokiem. Szczupła, z długimi rozpuszczonymi włosami, ubrana w beżowy kostium, na nogach

szpilki, a pod szyją kwiecista apaszka - wyglądała niezwykle atrakcyjnie.

- Ruszajmy, zanim woda jeszcze bardziej się podniesie - powiedział, starając się wziąć w garść.

- Bernie, idziemy! - zawołała. - Włóż płaszcz od deszczu.

- Dobrze, mamusiu.

Bernardette pojawiła się w żółtym nieprzemakalnym płaszczku, który wyglądał tak, jakby pochodził ze sklepu z używaną odzieżą. Sarina płaszcz nie miała, za to ścisła w rękę rachityczną parasolkę. Widać było, że klepią biedę.

- Cześć. - Dziewczynka rozpromieniła się na widok ich wybawcy.

- Cześć, aniołku. - Uśmiechnął się. Już dość się przez niego wycierpiała. - Najpierw wezmę małą - powiedział, zwracając się do Sariny.

- Dobrze, ale... - zawahała się. - Jeśli z przodu, od strony pasażera, masz poduszkę powietrzną, to Bernardette musi siedzieć z tyłu.

- Dlaczego?

- Poduszka, która się nagle otwiera, wszystko jedno z jakiego powodu, może zabić dziecko - wyjaśniła.

- No proszę, ciągle człowiek się czegoś uczy.

- Przykucnął. - Gotowa?

Przerzuciwszy przez ramię torbę z książkami, dziewczynka skinęła głową. Uniósł ją zdrową ręką. Serce zabiło mu szybciej,

kiedy poczuł chude ramionka tak ufnie obejmujące go za szyję.

- Nie bój się. Nie upuszczę cię.

- Wiem. - Przytuliła się mocniej.

Minął parking przed domem i ruszył pod górę, tam gdzie stała czarna terenówka.

- Ale duży samochód! - zawołała dziewczynka. - Myślisz, że można by nim przewieźć konia?

- Wątpię. A co? Zamierzasz sobie kupić klacz?

Roześmiała się wesoło.

- Chciałabym. Kocham konie. Czasem Rodrigo zabiera nas do Jacobsville. Jego przyjaciel ma tam ranczo i pozwala mi jeździć na kucyku.

- Ja też mam przyjaciela z ranczem w Jacobsville - powiedział Colby, nie wymieniając imienia Cyrusa. - A jak byłem młodszy, to sam hodowałem konie. Nadal uwielbiam je dosiadać. Otworzył drzwi samochodu i ostrożnie wsunął dziewczynkę na tylne siedzenie.

- Zapnij pas - polecił.

- Zawsze zapinam. Mamusia mówi, że tak trzeba.

- Mamusia ma rację. A teraz ostrożnie, zabierz paluszki... -

Zatrzasnął drzwi i wrócił po Sarinę.

Deszcz zamienił się teraz w lekką mżawkę. Sarina zamknęła parasolkę i spojrzała niepewnie na Colby'ego.

Oboje wiedzieli, że jedną ręką jej nie udźwignie. Zacisnął zęby. Boże, jak nienawidził swojego kalectwa!

- Zdejmę buty i sama przejdę - powiedziała łagodnie, starając się nie zranić jego uczuć. Był taki smutny! - Naprawdę. Nie przejmuj się mną.

**Nie znosił współczucia. Nie znosił własnej słabości. Oczy mu płonęły.**

    Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Mimo tego, co ich kiedyś łączyło, byli dwojgiem obcych ludzi. Nie wiedziała, co powiedzieć, co zrobić, jak się zachować, żeby ulżyć mu w cierpieniu.

- Znajomy z pracy stracił obie nogi. W Iraku, podczas operacji Pustynna Burza. Ma protezy, nie takie doskonale jak twoja. Ale radzi sobie świetnie. W zawodach często zdarzało mu się nas pokonać.

- W zawodach? - O ile Colby się orientował, różne firmy rzeczywiście organizowały zawody sportowe dla personelu, ale chyba nie Ritter Oil.

**- W Tucson - wyjaśniła szybko.**

- Aha. - Ponownie powiódł po niej wzrokiem, po jasnych włosach upiętych w elegancki kok, po skromnym beżowym kostiumie i spranej białej bluzce. Dawniej lubiła nosić jedwab. Odruchowo wyciągnął rękę i pogładził bawełniany kołnierzyk. - Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, byłaś ubrana w błękitną jedwabną bluzkę i białe spodnie. Włosy miałaś uczesane w war-kocz. Bawiłaś się ze swoim psem, takim ładnym golden retrieverem...

Na wspomnienie tego, co się stało z psem, Sarina posmutniała.

- Co ci jest? - spytał Colby, wyczuwając zmianę jej nastroju.

- Kiedy ojciec wyrzucił mnie z domu, zaprowadził tę suczkę do weterynarza i kazał ją uśpić.

Pamiętał, jak bardzo kochała to cudowne, posłuszne stworzenie. Stary Carrington musiał być potworem! Colby instynktownie otoczył Sarinę ramieniem i przytulił. Zamknąwszy oczy, wciągnął w nozdrza zapach różanej wody toaletowej oraz ziołowego szamponu, którym myła włosy.

- Tak mi przykro - szepnął. - Wiem, jak ogromnie kochałaś tego psa.

Łzy trysnęły jej z oczu. Gdyby była wypoczęta, może zdołałaby nad nimi zapanować, ale w środku nocy musiała jechać z Bernardette na ostry dyżur, a potem już nie mogła zasnąć. Zniecierpliwionym gestem wytarła policzki.

- Przepraszam - powiedziała, oswobadzając się z uścisku. - To była długa noc. Prawie oka nie zmrużyłam.

- Dlaczego? - spytał podniesionym głosem, podejrzewając, że Rodrigo maczał w tym palce. - Zabawialiście się z Ramirezem?

Popatrzyła na niego oburzona.

- Podczas gdy Bernardette spała w sąsiednim pokoju?!

Zawstydził się. Wcale nie chciał, żeby to tak zabrzmiało.

- Ruszajmy - burknął. - Przerzucę cię przez ramię, jak strażak. Inaczej nie dam rady.

- Dobrze - szepnęła, poruszona goryczą w jego głosie i zaskoczona zazdrością, której nie potrafił stłumić.

Ich spojrzenia się spotkały. Colby wstrzymał oddech. Na moment zawahał się, po czym delikatnie przytknął dłoń do policzka kobiety, a następnie potarł palcem jej pełne, miękkie wargi.

- Siedem lat - szepnął, zbliżając usta do jej warg.

Czas się cofnął. Sarina poczuła się tak jak kiedyś, jakby znów była niepewną siebie, nieśmiałą siedemnastolatką, która pragnie, by ten wspaniały mężczyzna trzymał ją w ramionach i całował.

Jęknął cicho, jakby jej bliskość sprawiała mu niewysłowioną rozkosz. Przywierając mocno do Sariny, całował ją żarliwie, z każdą sekundą coraz namiętniej. Nawet gdyby chciała zaprotestować, nie miałaby możliwości ani siły. Wsunął rękę w jej włosy, burząc idealne uczesanie. C) niczym nie myślał; pragnął ją posiadać tu i teraz. Deszcz znów przybrał na sile. I nagle z oddali dobiegł ich dziecięcy głosik:

- Mamusiu, bo spóźnię się do szkoły! Colby odskoczył od Sariny jak rażony prądem.

Nie dowierzając temu, co się przed chwilą działo, popatrzył w oczy równie oszłomionej Sariny.

- Cho... chodźmy do samochodu - wydukała. Usta miała nabrzmiałe, twarz zaczerwienioną, oczy wielkie, włosy w nieładzie. Podobała mu się. Uśmiechnął się zmysłowo, tak jak

przed siedmioma laty, zanim się pobrali i zanim się rozstali.

Sarina wstrzymała oddech. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa.

- On cię nie całuje? - spytał z leciutką drwiną.

Zastanawiała się nad ciętą ripostą, kiedy Colby się pochylił i ostrożnie przerzucił ją przez ramię.

- Idziemy - oznajmił, kierując się w stronę samochodu. - Trzymaj się mocno. Nie wybaczyłbym sobie, gdybyś wylądowała w wodzie.

W głowie się jej kręciło, wciąż nie mogła złapać tchu. Zapomniała, jak namiętym kochankiem jest Colby. Kiedy zaczął ją całować w ich noc poślubną... ach, co to była za uczta dla zmysłów! Sarina dosłownie płonęła... dopóki nie przeszył jej koszmarny ból.

Szybko pokonał wzniesienie. Mimo odniesionych ran był w znakomitej kondycji fizycznej. Postawił Sarinę na ziemi i uśmiechając się do Bernardette, otworzył przednie drzwi. Ujmując drżącą dłoń Sariny, wskazał jej uchwyt nad ramą drzwiową. Przytrzymując się go, wsunęła się na siedzenie. Colby ściągnął kalosze i wrzucił je do bagażnika.

Sarina, wciąż oszołomiona pocałunkiem, siedziała bez ruchu. Uśmiechając się szeroko, Colby przypiął ją pasem, po czym zatrzasnąwszy drzwi, obszedł wóz i zajął miejsce za kierownicą. Dawno nie był w tak dobrym humorze.

- Wszyscy gotowi? Zapięci? - spytał, spoglądając przez ramię



na Bernardette.

- Tak jest, panie kapitanie! - odparła dziewczynka, unosząc kciuk.

- A więc w drogę. - Zobaczywszy, że Sarina usiłuje poprawić w lusterku fryzurę, pochylił się i opuścił osłonę przeciwsłoneczną, co sprawiło, że w samochodzie automatycznie zapaliła się lampka. Przez moment wpatrywał się w oczy swej byłej żony, po czym przeniósł wzrok na jej usta. - Tak ci będzie wygodniej - powiedział cicho.

- Dziękuję - wykrztusiła z trudem.

Colby przekręcił kluczyk w stacyjce. Zanim ruszył, zerknął na mapkę, którą Hunter mu pośpiesznie narysował, ale nie było na niej szkoły Bernardette.

- Musicie wskazać mi drogę.

- Przy znaku stop trzeba skręcić w prawo - poinstruowała dziewczynka. - Szkoła jest po lewej stronie za trzecimi światłami.

- Dobra. - Skręcił zgodnie z poleceniem, ale kilkanaście metrów przed sobą zobaczył potężne rozlewisko. Niewiele się namyślając, na najbliższym skrzyżowaniu znów skręcił w prawo.

- Ale... - zaczęła dziewczynka.

- Nie wolno przejeżdżać przez stojącą wodę, kiedy nie wiadomo, jak głęboko sięga - wyjaśnił.

- W dzieciństwie widziałem, jak strażacy ratowali pięciu robotników, którzy musieli wdrapać się na dach ciężarówki, żeby nie utonąć. A to jezioro na środku drogi, w które wjechali, wy-

glądało na niegroźną kałużę.

- Colby ma rację, kochanie. - Sarina uśmiechnęła się do córki. Jej głos brzmiał już prawie normalnie. - Pamiętasz Tucson? Jak szybko napelniały się wodą dziury w jezdni? Wystarczyło parę minut mżawki.

- Faktycznie, zapomniałam.

Colby z łobuzerskim błyskiem w oku popatrzył na kobietę, która wciąż walczyła z fryzurą.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Nie masz przy sobie szczotki?

- Niestety.

- Coś po drodze wymyślimy - obiecał.

Zatrzymał się na zadaszonym podjeździe przed szkołą. Sarina wysiadła, by odprowadzić spóźnioną córkę do klasy.

- Nie pójdziesz z nami? - spytała dziewczynka, zwracając się do Colby'ego.

Zawahał się. Pytanie go zaskoczyło.

- Chodź! Proszę!

Posłusznie, jakby był w transie, zgasił silnik, wysiadł, zatrzaskał za sobą drzwi. Przemknęło mu przez myśl, że tu nie wolno parkować, że kiedy wróci, pewnie znajdzie za wycieraczką mandat. Trudno.

Bernardette chwyciła go za zdrową prawą rękę, matkę za lewą. Podskakując wesoło, szła między nimi, w wyświechtanym płaszczku, z torbą przewieszoną przez ramię. Ta mała rączka

wsunięta w jego dłoń przejęła go dziwnym wzruszeniem. Uświadomiwszy sobie, ile w życiu stracił, poczuł bolesne ukłucie w sercu. Tak bardzo pragnął mieć dzieci!

Weszli do sekretariatu. Przy biurku siedziała kobieta bez makijażu, ze skrzywioną miną. Na widok Colby'ego natychmiast się rozpromieniła.

- Dzień dobry, Bernardette - powiedziała do dziewczynki, ale oczy miała wbite w mężczyznę.

- Wiem, że się spóźniłyśmy - rzekła pośpiesznie Sarina - ale załzło nas i dopiero pan Lane przybył nam na ratunek. Pracujemy razem w Ritter Oil. Pan Lane jest zastępcą szefa ochrony.

- Miło mi. Rita Dawes - przedstawiła się kobieta zmysłowym głosem.

- Czy można prosić o karteczkę dla nauczycielki?

- Oczywiście. - Kobieta nabazgrała coś na kartce, którą wręczyła dziewczynce. - Trzymaj, kochanie.

- Dziękuję.

Bernardette uścisnęła matkę, potem wyciągnęła ręce do Colby'ego, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Chwycił ją w ramiona i przytulił mocno.

- Bądź grzeczna, mała - powiedział, stawiając ją na ziemi.

- Ty też.

Odwróciwszy się, wyszła na korytarz, ale na widok blondyna i jego dwóch kolegów, którzy szczyrzyli zęby w złośliwym uśmiechu, przystanąła. Sarina wstrzymała oddech. Chociaż Colby

sądził, że ojcem dziewczynki jest jakiś Latynos, w szkole wszyscy wiedzieli, że w żyłach Bernardette płynie krew Apaczów. Boże, żeby tylko chłopcy nie palnęli nic, co by pozwoliło Colby'emu domyślić się prawdy!

- O, idzie Pocahontas - powiedział blondyn do kolegów. - Wracaj do Arizony, do swojej lepianki i prymitywnej indiańskiej kultury, bo... - Urwał, widząc zbliżającego się wielkimi krokami potężnie zbudowanego mężczyznę.

Colby kucnął, tak by jego twarz znalazła się na wysokości twarzy chłopca.

- Bernardette pochodzi ze sławnej rodziny szamanów - rzekł groźnym tonem, nie do końca świadom tego, co mówi. - Jej pradziadowie żyli na tych ziemiach, zanim jeszcze twoi tu przybyli. Kiedy twoi europejscy przodkowie mieszkali w jaskiniach, jej indiańscy przodkowie budowali kanały i nawadniali pola. I ty śmiesz mówić o prymitywnej indiańskiej kulturze?

Chłopiec zrobił się czerwony jak burak. Jego koledzy, zawstydzeni, spuścili wzrok.

- Ja... Nie, ja... przepraszam...

Colby podniósł się, górując nad blondynem.

- Do zobaczenia, kochanie - powiedział ciepło do Bernardette.

Dziewczynka popatrzyła na niego z uwielbieniem w oczach.

- Dziękuję.

Colby wzruszył ramionami, po czym ponownie zmierzył groźnym wzrokiem jasnowłosego urwisa.

- Myślałem, że znęcanie się nad słabszymi jest w szkole zabronione. Może powinienem porozmawiać z dyrektorem?

Chłopiec wystraszył się nie na żarty.

- Już nie będę, słowo honoru! Ja nie chciałem... Chłopaki, chodźcie, bo się spóźnimy.

Rzucili się pędem przed siebie. Bernardette posłała Colby'emu szelmowski uśmiech, po czym ruszyła w tym samym kierunku co jej prześladowcy.

Sarina i sekretarka obserwowały scenę uśmiechnięte.

- Nie myślał pan nigdy o pracy w szkole, panie Lane? - spytała Rita Dawes.

- To zbyt niebezpieczne zajęcie - odparł żartem. - Pora na nas - dodał, patrząc na Sarinę.

- Mam naradę o dziesiątej.

- Oczywiście. Do widzenia, panno Dawes. - Do widzenia.

i Sekretarka zatrzepotała zalotnie rzęsami. Sarina poczuła ukłucie zazdrości. Starła się ją ukryć, ale...

Wrócili do samochodu. Colby odetchnął z ulgą: mandatu nie było. Opuściwszy teren szkoły, skręcił w stronę autostrady.

- Dziękuję, że stanąłeś w obronie Bernie - rzekła Sarina. - Ten chłopiec ciągle jej dokucza, a ona biedna strasznie się denerwuje.

- Myślę, że teraz zostawi ją w spokoju.

- Pewnie tak.

Uśmiechnęła się. Jego opiekuńczość w stosunku do Bernardette ją cieszyła, a zarazem niepokoiła. Wolą, by Colby za bardzo nie zbliżał się do małej, bo ta może niechcący coś wygadać. Przypomniała sobie słowa Colby'ego, że Bernardette pochodzi z rodziny szamanów. Przecież nic nie wie o jej przodkach, więc skąd ta uwaga?

Usiłował zacisnąć lewą rękę na kierownicy, ale proteza się zablokowała. Zaklął i spróbował jeszcze raz. Nic, ani drgnęła.

- Co się stało?

- Proteza się zacięła - mruknął. - Psiakrew! Superdrogi, supernowoczesny szmelc! Już lepsza była ręka zakończona hakiem. Ludzie się wprawdzie gapili, ale hak się przynajmniej nie psuł!

- Masz zapasową?

- Tak. Prostsza, ale wygląda naturalnie i jest niezawodna. Musimy po drodze zatrzymać się u mnie... - Zerknął na Sarinę. - Przykro mi, teraz już na pewno się spóźnimy. Ale z zablokowaną protezą...

- W porządku. Mną się nie przejmuj.

Zaparkował przy krawężniku. Osiedle składające się z kilku czystych, ładnych budynków było ogrodzone i dobrze oświetlone. Wyglądało o niebo lepiej od tego, na którym sama mieszkała. Zamierzała poczekać w samochodzie, ale Colby otworzył drzwi i podał jej rękę.

- To może potrwać kilka minut - ostrzegł. Twarz miał napiętą. - A gdyby ci nie przeszkadzało, to chętnie skorzystałbym z twojej pomocy... - Pomocy potrzebował do zapięcia specjalnej uprząży, którą nosił na piersi. Zwykle radził sobie sam, ale pochłaniało to sporo czasu, a byli już spóźnieni.

- Oczywiście.

Pchnąwszy drzwi do mieszkania, zaprosił Sarinę do salonu. Mieszkanie miał urządzone w stylu śródziemnomorskim, w brązach i beżach, w oknach kremowe zasłony, na podłodze dywan.

- Napijesz się kawy?

- Nie, dziękuję. - Potrząsnąwszy głową, usiadła na kanapie.

- Postaram się nie guzdrać...

Oddalił się korytarzem. Sarina rozejrzała się wkoło. Pokój wydał jej się strasznie bezosobowy; nie było w nim żadnych osobistych akcentów, choćby fotografii. Sprawiał wrażenie smutnego i pustego.

Podeszła do niewielkiego stolika, na którym leżało kilka książek. Hm, lubi greckich klasyków, pomyślała; w dodatku czyta ich w oryginale. Zapomniała, że Colby jest wszechstronnie wykształcony.

- Pomożesz mi?

Odwróciła się i zaniemówiła z wrażenia. Colby stał przed nią bez koszuli. Miał wspaniale umięśnione ramiona, szeroką klatkę piersiową, płaski brzuch.

- Wiem, że to okropne... - zaczął.

- Co? - spytała, zdumiona jego słowami.

- No to! - Uniósł ramię, które tuż poniżej łokcia kończył kikut.

- To?

- A na co tak patrzyłaś?

Odruchowo znów zerknęła na muskularny tors i piękną rzeźbę brzucha. Po chwili, rumieniąc się po uszy, wbiła wzrok w twarz Colby'ego.

W prawej ręce trzymał protezę; bez słowa odłożył ją na stół i podszedł do Sariny. Po prostu uświadomił sobie, że jej przyśpieszony oddech nie jest spowodowany zażenowaniem, lecz podnieceniem.

Cofnęła się o krok. Cofnęłaby się i dwa lub trzy kroki, ale za plecami miała ścianę. Colby pokonał dzielący ich dystans i w pełnej napięcia ciszy wpatrywał się w jej twarz.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłaś mnie bez koszuli, miałaś identyczny wyraz oczu - rzekł ochryplym głosem. - Zdjąłem ci bluzkę, zacząłem cię całować. Byłaś bliska omdlenia. Jęczałaś...

- Przestań - poprosiła, starając się odwrócić wzrok.

Zdrową rękę oparł o ścianę nad jej głową, przysunął biodra do jej bioder.

- Colby! - zaprotestowała.

Przycisnęła ręce do jego klatki piersiowej, ale nie potrafiła go odepchnąć. Było jej dobrze. Czowała pod palcami miękkie włosy, ciepłą skórę, mięśnie. Pachniał mydłem i wodą kolońską, tą samą



**co dawniej.**

**- Minęło siedem lat - szepnął - a ja nadal na ciebie reaguję.**

**- Proszę cię! - Speszona, próbowała się uwolnić.**

**- Nie zmieniłaś się, Sarino - powiedział cicho, zatrzymując spojrzenie na jej wargach. - Mimo dziecka jesteś tak samo niewinna jak przed laty. - Zmarszczył czoło. - Skąd masz Bernardette? Naprawdę ją urodziłaś?**

**- Co za dziwne pytanie?**

**- Wiem, że cię zraniłem. Że przeze mnie masz blizny na ciele i duszy. Zachodzę w głowę, jak po tym, co się stało, zdołałaś oddać się innemu?**

**Przełknęła ślinę.**

**- To nie twój interes!**

**Na jego twarzy pojawił się grymas bólu.**

**- Skrzywdziłem cię. Zniszczyłem. - Na moment zamknął oczy. - Wypiłem dwie szklanki whisky. Miałem nadzieję, że mnie otepią, że podziałają usypiająco. Niestety. To było silniejsze ode mnie. Nie mogłem się opamiętać!**

**- Nie... nie rozumiem - powiedziała, patrząc na jego udręczoną minę.**

**Napotkał jej wzrok, po czym nabrawszy w płuca powietrza, powoli otarł się biodrami o jej brzuch, tak by czuła jego podniecenie.**

**- Widzisz? - spytał.**

**- Na miłość boską!**

**Usiłowała się odsunąć. Przytrzymał ją.**

**- Nie chciałem wyrządzić ci krzywdy - powiedział szeptem. - Tak bardzo cię pragnąłem, że straciłem nad sobą kontrolę. Dlatego musiano cię zszywać. Zawsze staram się być ostrożny podczas seksu. Jedna kobieta... to było dawno temu... uciekła, kiedy zobaczyła mnie pobudzonego.**

**Policzki jej pałały. Przez te wszystkie lata była pewna, że Colby po prostu się na niej mścił. Wyczytał to z jej spojrzenia.**

**- Nie, to nie była zemsta. - Potrząsnął głową.**

**- Gdybym wiedział, że jesteś dziewicą, to mimo że ślub został na nas wymuszony przez twojego ojca, pieściłbym cię całą noc, dopóki nie byłabyś gotowa...**

**Przywarł ustami do jej ust. Chciała, żeby przestał. Nie, nieprawda. Wcale nie chciała. Pragnęła go. Jęcząc cichutko, objęła go za szyję. Instynktownie poruszyła biodrami, a on nakrył dłonią jej pierś - schowana pod ubraniem, natychmiast zareagowała na dotyk.**

**Colby wsunął rękę pod bluzkę, odpiął stanik. Sarina, skupiona na pocałunku, nie sprzeciwiła się, zamruczała zadowolona. Stała w lekkim rozkroku, on wcisnął nogę między jej uda. Poruszali rytmicznie biodrami. Pieszczoty stawały się coraz bardziej intymne, coraz bardziej intensywne. Mimo że wciąż miała na sobie ubranie, była bliska rozkoszy.**

**Colby usłyszał w oddali jakiś dźwięk, ale nie potrafił go zidentyfikować. Dźwięk się powtórzył, raz, drugi; był natarczywy.**

- Nie... - zaproponowała, kiedy uniósł w końcu głowę. - Nie odchodź...

Ponownie ją pocałował, delikatnie, czule, po czym odetchnął głęboko. Jest jego; może z nią robić wszystko, co tylko zechce. Gdyby nie ten przeklęty telefon...!

Z ociąganiem oderwał od niej usta i wciąż obejmując ją w talii, sięgnął po słuchawkę.

- Lane, słucham - warknął, lekko zasapany.

- Colby?

- Hunter?

- Gdzie się podziewasz? I gdzie jest Sarina?

- Pomaga mi włożyć protezę.

- Czy mogłaby się nieco pośpieszyć? - W głosie Huntera pobrzmiwała nuta wesołości.

- Czekamy na ciebie w gabinecie pana Rittera.

- Czekacie na mnie... - powtórzył tępo Colby.

- Zebranie? Pamiętasz? O dziesiątej?

- Ach tak, zebranie. - Nagle do Colby'ego dotarło, z kim rozmawia. - Chryste! Zebranie. O dziesiątej. - Puściwszy Sarinę, spojrzął na zegarek. - Będę za pięć minut. Przepraszam!

- Odłożył słuchawkę. - To Hunter - wyjaśnił.

- Jesteśmy spóźnieni.

- Tak, jedźmy. - Sarina zapięła stanik i obciągnęła starannie bluzkę.

- Pomóż mi.

Wsunął na kikut skarpetę, po czym włożył uprząż, która przytrzymała protezę. Ręce Sariny były zimne, drżały, ale na szczęście poradziły sobie z zapięciem. Poruszył palcami, sprawdził chwyt. Wszystko działa.

- Dzięki.

- Drobiazg.

- Słuchaj... - Ujął Sarinę za brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. - Jeśli chcesz, przeproszę cię za to, co się tu stało. Ale wiedz, że niczego nie żałuję.

Uśmiechnęła się zażenowana. Potarł palcem jej nabrzmiałe usta.

- Znów cię potargałem - powiedział cicho. - W łazience jest szczotka.

Puścił ją i skończył się ubierać. Nie zamierzał się rzucać na Sarinę, nie ściągnął jej do siebie podstępem. Po prostu tak wyszło.

Drogę do pracy odbyli w milczeniu; rozstali się tuż za drzwiami. Ona poszła w prawo, a on w lewo. Skołowany, wszedł do sali konferencyjnej, nie dostrzegając rozbawionej miny Huntera.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Przysłuchiwał się dyskusji przy stole, cały czas czując się oszołomiony. Trudno było mu skupić się na bieżących sprawach, bo myślami powracał do Sariny - do jej miękkich warg, jedwabistej skóry.

- ... w samochodzie Vance'a. A gdzie umieścicie urządzenie odbiorcze? - powtórzył Alexan - der Cobb.

Nagle Colby zorientował się, że pytanie jest skierowane do niego.

- U siebie w gabinecie - odparł szybko.

- Możesz przynieść taśmę?

- Oczywiście.

- Jeszcze jedno - dodał Hunter. - Cy Parks zauważył wzmożoną aktywność niedaleko swojego rancza, tam gdzie kiedyś był zakład pszczelarski, w którym później Lopez urządził centrum dystrybucji...

Cobb zmrużył oczy.

- Dobrze by było, gdyby któryś z nas wybrał się do Jacobsville i rozejrzał po okolicy.

- Ja pojedę - zaproponował Colby. - W najbliższą sobotę.

- Dobra. Im szybciej, tym lepiej.

- Swoją drogą, gratulacje - powiedział Hunter do Alexandra Cobba.

- Z jakiej okazji? - zdziwił się Colby.

- W ten weekend starszy agent Cobb poślubił pannę Jodie

**Clayburn - Hunter poinformował siedzących przy stole uczestników narady.**

**- O ile sobie przypominam - Cobb zmarszczył z namysłem czoło - nikomu o tym nie mówiłem.**

**- Byłem szpiegiem - oznajmił Hunter. - Wszystko wiem.**

**Cobb wybuchnął śmiechem.**

**Wróciwszy do swojego gabinetu, Colby zadzwonił do Cyrusa Parksa, by sprawdzić, czy ten nie ma nic przeciwko temu, by w sobotę odwiedziły go trzy osoby.**

**W porze lunchu Colby zajrzał do gabinetu Sariny.**

**- W weekend chcę odwiedzić przyjaciela, który mieszka w Jacobsville. Ma spore ranczo. Może byście się wybrały ze mną? Bernardette kocha konie. Moglibyśmy sobie pojeździć...**

**Spojrzenie ją zdradzało; widać było, że wciąż myśli o tym, co zaszło dziś rano.**

**- Chętnie - odparła. - Kiedy? W sobotę?**

**- Tak. Ruszylibyśmy zaraz po śniadaniu.**

**- Dobrze.**

**Stal oparty ramieniem o drzwi, nie mogąc oderwać od niej oczu. ■ - Coś jeszcze? - spytała, czerwieniąc się. Potrząsnął głową.**

**- Nie. Chociaż... do twarzy ci w tym kolorze - dodał cicho. - Ale wolę, jak masz rozpuszczone włosy.**

**Serce zabiło jej mocniej. Na twarzy Colby'ego malowało się pożądanie. Czas się cofnął. Znow była młodą, niewinną dziewczyną.**

- Sarino, zjedzmy razem lunch.

- Ja nie... - Przełknęła ślinę. - To znaczy...

Nagle do pokoju wkroczył Rodrigo.

- Gotowa? - spytał z uśmiechem. Oczy Colby'ego zabłysły złością.

- Jak to jest, że zawsze zjawiasz się w najbardziej nieodpowiednim momencie?

Latynos zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Nic masz nic do roboty, Lane?

- Właśnie zaprosiłem Sarinę na lunch. Rodrigo wyszczerzył zęby.

- Przykro mi, byłem pierwszy.

Ujął kobietę za rękę. Zdziwił się, że jest taka zimna.

- Przepraszam, Colby... - wtrąciła cicho Sarina, która stała pomiędzy dwoma wrogo do siebie nastawionymi mężczyznami. - Obiecałam wcześniej Rodrigowi.

Colby zacisnął usta. Uświadomił sobie, że targa nim nieprzyjemna zazdrość. Z trudem nad sobą panował.

- W porządku - syknął. - Innym razem. Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Sanna popatrzyła na Rodriga z pretensją w oczach.

- O co chodzi? - spytał zaskoczony. - Po tym, jak potraktował Bernardette, chciałaś się z nim umówić?

- Uratował nas dziś od powodzi, a potem odwiózł małą do szkoły.

**Rodrigo zmrużył oczy.**

**- Facet za bardzo lubi alkohol.**

**- Lubił. Teraz nie pije.**

**- Czy ty cokolwiek o nim wiesz? - Rodrigo nie dawał za wygraną. - Na przykład, że był...**

**- Szpiegiem? - przerwała mu. - Owszem, wiem.**

**Zawahał się.**

**- On coś ukrywa. Warto go sprawdzić. Przyjrzała mu się z rozbawieniem.**

**- Masz coś przeciwko niemu?**

**- Niby nie...**

**- Posłuchaj, są różni ludzie, różne charaktery...**

**- Chyba się nie zadurzyłaś, co? - spytał z zatroskaną miną. - Przecież to całkiem obcy facet.**

**- Nie taki obcy. - Westchnęła. - Był moim mężem.**

**Rodrigo oniemiał z wrażenia.**

**- To było dawno temu - wyjaśniła. - Małżeństwo zostało unieważnione. - Na moment zamilkła. - Colby ochraniał mojego ojca...**

**A dokładnie, to ile lat temu się pobraliście? Sarina spojrzała na zegarek.**

**Chodźmy. Bo nie zdążymy zjeść lunchu. Unikasz odpowiedzi.**

**- Masz rację. - Uśmiechnęła się. - Jesteś bardzo spostrzegawczy. No chodźmy, zanim zadzwoni telefon i ktoś na gwałt będzie czegoś potrzebował.**



Wyszedł za nią na korytarz. W jego duszy zrodziły się podejrzenia, które zamierzał wyjaśnić.

W sobotni ranek Colby pomógł Bernardette wgramolić się na tylne siedzenie terenówki i zapiąć pasy. Dziewczynka miała na sobie buty za kostkę, stare dżinsy i koszulę w czerwonej kratę. Oczy lśniły jej z przejęcia.

- Uwielbiam jazdę konno! Fajnie, że nas zabierasz - pytowała. - Czy to duże ranczo?

- Duże, duże - odparł ze śmiechem Colby. Dawno nie czuł się tak zrelaksowany. - Mój przyjaciel hoduje nie tylko konie, ale i krowy. Na pewno ci się tam spodoba.

Otworzył drzwi od strony pasażera. Sarina ubrana była podobnie jak jej córka - w wysokie buty, obcisłe dżinsy i cienką dżinsową koszulę, którą zdobiły haftowane różyczki. Włosy miała zaplecione w pojedynczy warkocz. Wyglądała ślicznie, zgrabnie i kobieco.

Colby zajął miejsce kierowcy, zapiął pasy.

- Też jeździsz konno? Skinęła głową.

- Tak, Rodrigo mnie nauczył. Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył się w ruch. Wyraźnie sposepniał.

Zadumała się. Dlaczego ni stąd, ni zowąd popsuł mu się humor? Tak samo było tego dnia, kiedy zaprosił ją na lunch, a ona wcześniej przyjęła zaproszenie Rodriga. Czyżby był o nią zazdrosny...?

- Co wiesz o Ramirezie? - spytał nagle. Oczywiście nie mogła

podzielić się z nim swoją wiedzą. Odchrząknęła.

- To porządny facet. Bardzo nam pomógł. W przeciwieństwie do mnie, pomyślał Colby.

Ja nie pomogłem, ja ją skrzywdziłem. Sarina tyle wycierpiała od czasu ich jednodniowego małżeństwa. Nie wszystko było jego winą, mimo to czuł wyrzuty sumienia. Gdyby nie wyjechał, gdyby był na miejscu i wiedział, co się dzieje, mógłby coś zrobić, choćby wesprzeć ją psychicznie.

- Ty też miałeś kiedyś konie, prawda? - spytała, zmieniając temat.

- Tak, wiele lat temu na ranczu w północnym Teksasie hodowałem quartery. Zdobyliśmy wiele nagród. Mój ojciec też hodował konie. W Arizonie. Tyle że on nie przepadał za quarterami; wolał appaloosy. Dzięki koniom mnie wykształcił.

Nie lubił mówić o swoim staruszk. Żałował, że oddalili się od siebie i nie potrafili ponownie zbliżyć.

Bernardette otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale widząc ostrzegawcze spojrzenie matki, pośpiesznie je zamknęła.

- Nadal jeździsz? - spytała Sarina. Zerknął na nią z ukosa.

- Tak. Tylko trochę niezdarnie wsiadam.

- Przepraszam. Nie chciałam...

- Nie szkodzi. Czasem bywam przewrażliwiony.

Załóżyl tę samą protezę, którą kilka dni temu pomogła mu zapiąć. Na samo wspomnienie tamtego poranka oblała się rumieńcem.

Zauważył jej reakcję i uspokoił się. To niesamowite, że wciąż darzy go sympatią. Impulsywnie wziął ją za rękę. Sarina podskoczyła, ale nie cofnęła dłoni. Po chwili poczuł, jak odwzajemnia jego uścisk. Skierowała na niego oczy. Usta miała lekko otwarte, oddech przyśpieszony. Marzył o tym, by ją przytulić i...

- Uważaj! - krzyknęła Bernardette. Skreślił ostro kierownicą. Gdyby nie dziewczynka, pewnie zjechałby na pobocze.

- Dzięki, aniołku - powiedział, napotykając jej spojrzenie w lusterku. - Na moment się zagapiłem.

Błysnęła w uśmiechu zębami.

- Daleko jeszcze?

- Bliziotko - skłamał, bo czekało ich jeszcze co najmniej pół godziny jazdy. Na kierownicy trzymał protezę, prawą ręką ścisnął dłoń Sariny.

- Ojej! - zawołała Bernardette, kiedy w końcu wjechał na teren rancza. - To właśnie tu nas Rodrigo przywozi! Pan Parks pozwala mi jeździć na pięknym koniu...

Colby popatrzył zdziwiony na Sarinę.

- Ramirez tak dobrze zna Cyrusa?

- Nie mam pojęcia, czy dobrze - odrzekła, starannie dobierając słowa. - Poznali się kilka miesięcy temu. I zaprzyjaźnili.

Przyszło jej do głowy, że musi porozmawiać z Cyrusem na osobności i uprzedzić go, żeby nie zdradził Colby'emu, co wie na

temat Rodriga.

- Myślałem, że Ramirez przyjechał z Meksyku.

- Tak, ale... przez pewien krótki okres pracował w Jacobsville - skłamała.

Zorientował się, że Sarina coś ukrywa. Przyglądał się jej badawczo, dopóki w jego polu widzenia nie pojawił się Cyrus.

- Miło, że przyjechałeś, stary. A to twoi goście? Tak się składa, że często mnie odwiedzają. - Uśmiechnął się do dziewczynki. - Dawno cię nie tu było, ślicznotko. - Potargał jej ciemne włosy. - Zaraz powiem Harleyowi, żeby ci osiodłał Fasolkę.

- Fasolkę? - zdziwił się Colby.

- Klacz rasy pinto - wyjaśnił Cyrus. Obejrzał się przez ramię. - Harley! Osiodłaj Fasolkę i Gałązkę dla pań, a Siwka i Króla dla mnie i Colby'ego.

- W porządku, szefie! Hej, Bernie! Pomożesz mi?

Mogę, mamusiu? Możesz, kochanie.

Jak mówiłem Hunterowi, w dawnym magazynie Lopeza zaobserwowałem wzmożony ruch powiedział Cyrus. - Prosiłem Eba Scotta, żeby zamontował tam kamerę. Zdobyliśmy interesujący film. - Zauważywszy, jak Colby wskazuje wzrokiem na Sarinę, przeniósł na nią wzrok. Sarino, Lisa parzy w kuchni kawę. Zajrzyj do niej, co? A ja cię zawołam, jak będziemy gotowi do przejażdżki.

Powściągnęła uśmiech. Cyrus stara się jej nie wydać.

- Jasne, kowboju. Gdzież indziej jak nie w kuchni jest

miejsce kobiety? - zażartowała. - Krzyknij, gdyby na horyzoncie pojawił się wróg. Przyłożę mu wałkiem do ciasta.

Colby roześmiał się wesoło. Pogroziwszy mu palcem, Sarina ruszyła do domu. Mijając Cyrusa, posłała mu porozumiewawcze spojrzenie. Oczywiście Cyrus wie, czym tak naprawdę się zajmuje. Wolą jednak utrzymać to w tajemnicy przed Colbym. Przynajmniej na razie.

Cyrus zaprowadził Colby'ego do swojego biura, wcisnął kilka klawiszy, po czym wskazał na ekran komputera, na którym ukazała się grupka ludzi, kilku mężczyzn i kobieta, kłócących się zawzięcie po hiszpańsku.

Zmrużywszy oczy, Colby przysłuchiwał się uważnie.

- Rozmawiają o dużej dostawie kokainy. Towar wciąż jest w Houston. Chcą go przewieźć tutaj, ale nie wiedzą jak.

- Jeden proponuje przewóz ciężarówką, inny uważa, że to zły pomysł i proponuje starą, rozklekotaną furgonetką, w której jechałoby pełno dzieciaków. - Twarz Cyrusa sposepniała. - Nie mają za grosz sumienia!

- Dla nich to biznes jak każdy inny.

- Kamera pracuje non stop. Poproszę ludzi Eba, żeby monitorowali ich działania dwadzieścia cztery godziny na dobę. Żaden cholerny przemytnik nie będzie mi tu składował narkotyków!

- Jednemu z ich koleśków zamontowałem w samochodzie podsłuch - oznajmił Colby. - Jeśli czegoś się dowiem, natychmiast

**dam ci znać.**

**- Na moment zamilkł. - Hej, skąd znasz Ramireza?**

**- Poznałem go w Houston, w gabinecie Eugene'a Rittera - odparł z kamienną twarzą Cyrus.**

**- Zaczęliśmy gadać; okazało się, że całkiem sporo nas łączy. Zaprosiłem go na ranczo. Spytał, czy mógłby zabrać z sobą Sarinę i Bernardette. Oczywiście się zgodziłem.**

**Colby, który długo pracował jako tajny agent, wiedział, kiedy ktoś kłamie. Teraz Cyrus Parks kłamał w żywe oczy.**

**- Po prostu o nic nie pytaj - oznajmił Cyrus, zorientowawszy się, że przyjaciel mu nie dowierza. - Wszystko z czasem zrozumiesz.**

**- Nienawidzę takich sytuacji.**

**- Bez przesady. Nie każdy musi być wtajemniczony we wszystko.**

**Colby pokręcił gniewnie głową.**

**Niedługo później wybrali się w czwórkę na przejażdżkę. Jechali ścieżką przez las, podziwiając liście, które przybierały ogniste barwy czerwieni i żółci.**

**. - Lubię jesień - powiedział Colby, rozglądając się wkoło.**

**- Ja też - przyznała Sarina. - To moja ulubiona pora roku.**

**- Zwolnij, aniolku. Chyba nie chcesz pogalopować w siną dal.**

**- Nie pogalopuję - oznajmiła Bernardette. - Umiem ściągnąć konia. Nauczył mnie jeden z pomocników Cyrusa.**

**- Tak? A wiesz, co robić, kiedy koń staje dęba?**

- Pewnie. Trzeba trzymać się grzywy i naciskać mu boki kolanami, aż znów nie opadnie na ziemię. - Oczy błyszczały jej wesoło.

- Zuch dziewczynka!

Widząc podobieństwa między mężczyzną a dzieckiem, Sarina z trudem powstrzymywała łzy. Bolało ją, że nie może dać córce wszystkiego. Rodrigo okazał się wspaniałym przyjacielem i dziewczynka bardzo go kochała, ale nie był jej ojcem. A Colby... Przy Bernardette stawał się zupełnie innym człowiekiem. Ciekawe, czy miał tego świadomość? Śmiał się i żartował. Mężczyzna, którego pamiętała z przeszłości, rzadko to robił. Ponownie pojawił się w jej życiu parę tygodni temu - był chłodny, opanowany, nieczuły. A przy dziecku zmieniał się nie do poznania.

Zauważył, że Sarina mu się przygląda.

- O co chodzi?

Zmusiła wargi do uśmiechu.

- O nic. - Wbiła wzrok w ubarwiony liśćmi szlak.

W drodze powrotnej na ranczo, kilkadziesiąt metrów przed bramą, Colby z Cyrusem wymienili łobuzerskie spojrzenia i spięli konie do galopu. Zanim Cyrus objechał zamkniętą bramę, Colby przeskoczył ogrodzenie. Dumny, że wygrał wyścig, czekał na przyjaciela przy stodole.

- Ruszasz się jak żółw.

- A ty pędzisz jak wicher.

- Wiesz, mam kumpla, który bez trudu przeskoczyłby bramę,

a nie ogrodzenie - powiedział Colby.

- Parę lat temu sam byś to zrobił - stwierdził ze śmiechem Cyrus.

- Może. - Colby wzruszył ramionami. - Ale zmieniłem się. Już nie jestem ryzykantem, próbuję się ustatkować.

Mówiąc to, popatrzył na Sarinę, która znów oblała się delikatnym rumieńcem.

Zjedli lunch z Cyrusem i jego żoną Lisa, po czym ruszyli z powrotem do Houston.

Wcześniejszy lekki nastrój prysł. Sarina zachowywała się uprzejmie, lecz z rezerwą. Czując bijący od niej chłód, Colby zastanawiał się, co go mogło spowodować.

Większość drogi odbyli w milczeniu. Kiedy dojechali na miejsce, Bernardette, uśmiechając się szeroko, podziękowała za cudowną wycieczkę i pobiegła do domu obejrzeć jakiś ulubiony program w telewizji.

Sarina stała na werandzie, skrępowana i zaniepokojona. Colby z Bernardette mieli coraz więcej wspólnego; darzyli się coraz większą sympatią. A jeśli niechęć miała się z czymś wygada? Jak Colby zareaguje? Ale istniał również inny problem. Colby nie wie, czym ona, Sarina, tak naprawdę się zajmuje, a gdyby wiedział, na pewno by tego nie pochwałał. Starala się nie myśleć o przeszłości, o tym, jak bardzo ją skrzywdził. Dziś znów zaczęło między nimi iskrzyć. Bała się. Nie chciała ponownie przeżywać bólu. Dlatego instynkt samozachowawczy kazał jej się wycofać.



**Patrząc Colby'emu w oczy, uśmiechnęła się.**

**- Dziękuję za miły dzień. Podszedł bliżej, uniósł jej twarz.**

**- - Tak wiele straciłem - zauważył. - Nie mam rodziny, dzieci.**

**- Spojrzenie mu spochmurniało.**

**Dwukrotnie byłem żonaty, a większość życia spędziłem w samotności.**

**- Jesteś jak wilk, a wilki prowadzą samotny tryb życia - próbowała zażartować.**

**Objął ją w talii i przyciągnął do siebie.**

**- Nieprawda. Żyją w parach, a zimą w stadach, chronią swoją rodzinę, zaopatrują ją w pokarm. - Pochyliwszy się, delikatnie pocałował ją w usta. - O co chodzi? - spytał, kiedy nie zareagowała.**

**- Boję się - przyznała.**

**Przez długą chwilę przyglądał się jej bez słowa, po czym cofnął się o krok.**

**- No tak. Rozumiem. - Tylu rzeczy o nim nie wie. Tak dużo ma przed nią tajemnic. W dalszym ciągu nie był z nią szczery. Pewnie to wyczuwa. - Dobranoc, Sarino.**

**- Dobranoc, Colby.**

**Ruszył w dół po schodkach, nagle jednak zawahał się i obejrzał. W jej oczach dostrzegł przeraźliwy ból. Wrócił pośpiesznie na werandę i ujął jej twarz w dłoń.**

**- Powiedz, co cię gryzie - poprosił.**

**Nie zdołała powstrzymać łez. Toczyły się jej po twarzy, po**

ustach, brodzie. Colby przysunął się i zaczął je zlizywać. A potem wziął ją w ramiona. Przez kilka minut stał tak, kołysząc się lekko, z policzkiem przytkniętym do pachnących różami włosów. W końcu opuścił ramiona i popatrzył na nią bez słowa, z czułością w oczach.

Drugi raz nie powiedział dobranoc. Po prostu się oddalił. A ona weszła z ociąganiem do środka i zamknęła za sobą drzwi.

W piątek po południu z okazji pięćdziesięciolecia firma Ritter Oil zorganizowała przyjęcie dla pracowników. Wynajęto salę bankietową w miejscowej restauracji oraz zespół muzyczny. Stoły pod ścianą uginały się od jedzenia. Rodzicom pozwolono zabrać swoje pociechy. W sumie dzieciaków było całkiem sporo. Sarina z rozbawieniem obserwowała poczynania małych tancerzy, którzy na parkiecie usiłowali naśladować dorosłych.

Stała przy barze, trzymając w dłoni kieliszek szampana. Alkohol szybko uderzał jej do głowy, dlatego zwykle ograniczała się do jednej lampki, w dodatku zawsze na pełny żołądek.

Colby poprosił barmana o napój imbirowy.

- Już prawie trzy lata nie miałem w ustach alkoholu - wyjaśnił z uśmiechem. - Wolę dmuchać na zimne.

Skinęła ze zrozumieniem głową. Był taki przystojny! Czują klucie w sercu, ilekroć na niego patrzyła.

Rozejrzał się po sali, szukając wzrokiem Bernardette. Stała nieopodal z Nikki Hunter oraz jakimś chłopcem, rozmawiając z ożywieniem.

- Chyba łatwo nawiązuje przyjaźnie, prawda?

- Nie, to pozory - odparła Sarina. - Bernie czuje się dobrze wśród ludzi, których zna, ale wśród obcych jest bardzo nieśmiała.

- Też taki byłem. Do pewnego stopnia nadal jestem. - Mówiąc to, cały czas rozglądał się po sali.

- Czego szukasz? - spytała zaintrygowana.

- Kogo, nie czego. Ramireza. Uśmiechnęła się w duchu.

- Uprzedził, że się spóźni.

- Pewnie poszedł się zdrzemnąć? Praca oficera łącznikowego musi być bardzo wyczerpująca dla faceta w jego wieku.

Wybuchnęła śmiechem i zakryła szybko usta, udając, że kaszle.

- Jest za stary dla ciebie.

- Nieprawda. Ma trzydzieści pięć lat. Colby zmarszczył czoło.

- Wygląda starzej.

- Miał ciężkie życie. - Odwróciła wzrok.

Zamierzał to skomentować, ale w tym momencie podeszła do nich Bernardette, a za nią Nikki, chłopiec, z którym rozmawiały, oraz trójka innych dzieci.

- To on - oznajmiła z dumą Bernardette, wskazując palcem na Colby'ego. - Przeniósł nas obie przez wodę do samochodu, a potem odwiózł mnie do szkoły. Jest strasznie silny.

Dzieciaki wpatrywały się w niego szeroko otwartymi oczami. Colby zrobił się czerwony jak burak.

- Umie jeździć konno i przeskakiwać na koniu przez

ogrodzenie...

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało. Odwzajemnił jej uśmiech.

- Chodźmy popatrzeć na perkusistę! - zawołał nagle chłopiec.  
- Gra solówkę!

Cała grupa ruszyła ochoczo w stronę zespołu. Obejrzawszy się przez ramię, Bernardette pomachała do Colby'ego.

- Jesteś bohaterem - stwierdziła wesoło Sarina. - Uratowałeś nas od wielkiej powodzi.

Podniósł szklankę do ust. Za nic w świecie by się nie przyznał, jak wielką przyjemność sprawił mu wyraz uwielbienia w oczach malej Bernie. Przez chwilę przyglądał się parom na parkiecie.

- Wciąż lubisz tańczyć? - spytał Sarinę. Serce zabiło jej mocniej.

- Chyba tak.

- Chyba? - Zabrał jej kieliszek i odstawił razem ze swoją szklanką na pusty stolik.

- Po prostu dawno nie tańczyłam.

- Ja też nie. Ale może nie podepczemy sobie nóg.

Zgarnąwszy ją w ramiona, przeszedł na parkiet. Zaczęli kołysać się leniwie w rytm zmysłowej muzyki.

Po raz pierwszy od siedmiu lat czuła się jak w raju. Bliskość Colby'ego, dotyk jego ciała, ciepło i zapach sprawiły, że kręciło się jej w głowie. Westchnęła cicho, zamknęła oczy, odprężyła się.

Natychmiast zalała go fala pożądania. Owszem, kobiety go podniecały, ale żadna tak bardzo jak Sarina. Chociaż nie... Przypomnił sobie, że z Maureen też tak było na początku ich burzliwego związku. Ale zdumiało go, że mimo upływu tylu lat dotyk Sariny nadal wywołuje w nim tak silną reakcję.

- Peszy cię to? - spytał z rozbawieniem, kiedy próbowała się odsunąć. - Nie bój się. Będę grzeczny.

Przytulił policzek do jej miękkich lśniących włosów.

- Ładnie gra ten zespół - szepnęła.

- Bardzo ładnie. Rzadko chodzę na przyjęcia...

- Ja też.

Zawahała się. Nazajutrz były urodziny Bernardette. Musi przypomnieć Rodrigowi, by odebrał po drodze zamówiony tort; cukiernia znajdowała się niedaleko jego domu. Hm, czy postąpiłaby nierozważnie, gdyby zaprosiła Colby'ego? To ryzykowne, dotąd bowiem nie znał dokładnej daty urodzin Bernardette.

- Co tak zamilkłaś? - Zacisnął rękę na jej dłoni. - Wiesz, byłem dość zajęty przez cały tydzień, ale gdybyś chciała, moglibyśmy się jutro wybrać do Cyrusa i znów pojeździć konno.

- Nie mogę.

Przystanął i popatrzył jej badawczo w oczy.

- Dlaczego? Boisz się?

- Nie, nie o to chodzi. Urządzam jutro przyjęcie dla Bernardette - przyznała cicho.

- Z jakiej okazji? - spytał podejrzliwie. Milczała.

- No? - Nie dawał za wygraną.

- Z okazji jej urodzin.

- Rozumiem - powiedział po dłuższej chwili.

- Zaprosiłabym cię, ale ty i Rodrigo... no, sam wiesz...

- Tak, wiem. - Odetchnął z ulgą. A jednak nie chciała go całkiem wyrzucić ze swojego życia. Patrząc jej w oczy, ręką zakończoną protezą przyciągnął ją mocniej do siebie. - A gdybym wpadł później?

Uśmiechnęła się.

- Świetnie. Bernardette na pewno się ucieszy. Skinął głową, po czym utkwił wzrok w jej miękkich wargach.

- Colby, nie... - powiedziała ostrzegawczo.

- Co nie? - spytał, wolno pochylając głowę. Nagle poczuł na ramieniu silną męską dłoń i usłyszał słowa wypowiedziane z silnym hiszpańskim akcentem:

- Moja kolej. Odwrócił się.

- Jak ty to robisz, Ramirez? - spytał lodowatym tonem. - Jesteś jak cholerna mgła, która pojawia się znienacka.

- Zygu, zygu - mruknął drwiąco Latynos, po czym nie wdając się w rozmowę, porwał Sarinę do tańca.

Colby z trudem opanował złość.

- Nieładnie - powiedziała Sarina. Rodrigo roześmiał się cicho.

- A niech się pozłości. O której mam jutro przyjechać?

, - Około jedenastej. Odbierzesz po drodze tort?

**- Oczywiście. - Zmrużył oczy. - Słuchaj, za bardzo pozwalasz się Lane'owi do siebie zbliżać. Wkrótce zaczniesz się wszystkiego domyślać. Nie możemy ryzykować.**

**Skrzywiła się.**

**- Wiem. Po prostu...**

**- Nie bądź niemądra, Sarino. Już raz cię rzucił.**

**- Nie zapomniałam.**

**- Ma różne podejrzane sprawy na sumieniu. Poderwała głowę.**

**- Skąd wiesz?**

**- Od Cyrusa - przyznał. - Dziś rano pojechałem do niego na ranczo, żeby sprawdzić parę rzeczy. Wspomniał mi, że tydzień temu Lane przywiózł tam ciebie i małą.**

**- Lepiej niech Cy pilnuje własnego nosa! Wyczuł gniew w jej głosie. Nietrudno się było domyślić, że Sarina znów zakochuje się w Colbym Lanie. Najgorsze, że nie mógł temu zaradzić. Korciło go, by wyjawic jej, co wie na jego temat, ale ten sposób walki z rywalem wydał mu się niegodny. Tym bardziej że on i Lane grają przecież w jednej drużynie. Psiakość! Chciał chronić Sarinę nie tylko ze względów zawodowych, bądź co bądź są współnikami... Również dlatego, że sam darzył ją uczuciem. A Colby może wszystko zepsuć, zburzyć jego świat.**

**- Lane to ladaco - oznajmił krótko.**

**- Wiem.**

**- Ale mimo to nie masz zamiaru się go wystrzegać? -**

**Popatrzył jej uważnie w oczy. - Sarino, ile lat temu cię zostawił?**

**- Siedem - odparła, unikając jego wzroku. Potrafił dodawać.**

**I odejmować.**

**- To on jest ojcem malej, prawda? - spytał bez ogródek.**



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wbiła w niego oczy. Nie umiała go okłamywać.

- Tak - powiedziała cicho. - Ale o niczym nie wie. Druga żona utwierdziła go w przekonaniu, że jest bezpłodny. Nie wierzy, że mógłby zostać ojcem.

Rodrigo pokiwał głową.

- To wiele tłumaczy.

- Nie ma sensu wyprowadzać go z błędu - ciągnęła Sarina. - Było, minęło. A ja... nie zamierzam z nim romansować, nie tylko ze względu na Bernardette, ale również z powodu mojej pracy. Colby by się wściekł, gdyby poznał prawdę.

Widząc smutek wyzierający z jej oczu, Rodrigo poczuł wyrzuty sumienia. Po jakie лихо poruszał temat ojcostwa Bernardette? Uśmiechnąwszy się, objął Sarinę w pasie.

- Tańczmy. Bo ludzie się gapią.

- Mimo że nie trzymamy ich na muszce?

- Przestań - mruknął.

- Przepraszam. Nie mogłam się powstrzymać. To co, nie zapomnisz o torcie?

- Przypominasz mi o nim codziennie od tygodnia. Raz by zupełności wystarczyło.

- Słusznie...

- Mam nadzieję, że Bernie spodoba się mój prezent.

- A co kupiłeś?

- O nie, nie powiem. Nie wiem, czy umiesz trzymać język za

**zębami.**

**- Ha, ha, bardzo śmieszne.**

**Rodrigo odwrócił się, czując, jak ciężka męska dłoń dotyka jego ramienia.**

**- Moja kolej - rzekł Colby, odbierając mu Sarinę.**

**Posłał Latynosowi pełen zadowolenia uśmiech, co jeszcze bardziej tamtego rozsierdziło.**

**- Cholera jasna, czy człowiek naprawdę nie może...**

**- Ej, kolego! Przydałaby ci się odrobina samokontroli - oznajmił z powagą Colby. - Tu są kobiety i dzieci.**

**Rodrigo miał taką minę, jakby zaraz miał wybuchnąć. Z wściekłości jego twarz jeszcze pociemniała.**

**- Oj, kiepsko z tą samokontrolą, kiepsko - powiedział Colby, cmokając ze współczuciem, po czym z Sariną w ramionach ruszył na środek parkietu. - Nie pojmuję, co ci się podoba w tym żalonym bubku.**

**Nie będę się śmiała, nie będę się śmiała, powtarzała w duchu. Colby przytulił jej głowę do swojej piersi, rozbawiony tym, że Sarina usiłuje zachować powagę, aby nie zranić uczuć Ramireza.**

**- No, śmiało, teraz już nie widzi.**

**- Jesteś okropny, wiesz? - zawołała rozbawiona.**

**- Staram się, jak mogę. Zawsze wychodzę z założenia, że nie należy robić nic na pół gwizdka.**

**Pokręciła głową.**

**- Biedny Rodrigo.**

- Przejdzie mu. W końcu świat jest pełen wolnych kobiet.

- Ja też jestem wolna - zauważyła cicho.

- Jeśli nawet, to ja mam pierwszeństwo, bo się dłużej znamy.

Serce jej zabiło szybciej. Przeszłość i teraźniejszość zlały się w jedno. Nade wszystko pragnęła, aby Colby tulił ją mocno, kochał...

- Odbijany - oznajmił bezpardonowo Rodrigo, zabierając Colby'emu Sarinę.

Colby tkwił bez ruchu na środku parkietu, łypiąc gniewnie na Latynosa. Ale minutę później zespół przestał grać i muzycy udali się na przerwę. Uśmiechając się pod nosem, Colby wrócił do stołu, na którym zostawił szklanekę z napojem. Zamienił słowo z Hunterem i Jennifer, a kiedy obejrzał się za siebie, Rodrigo z Sarina znikli.

Zaciekawiony, zaczął rozglądać się wkoło.

Wreszcie ich odnalazł: stali pod ścianą, pogrążeni w rozmowie. Nie sprawiali wrażenia zakochanych, ale byli zaaferowani i poważni niczym przedsiębiorcy pogrzebowi.

Podszedł bliżej. Nie spuszczał oczu z poruszających się warg Sariny. Jak to dobrze, pomyślał, że przygotowując się do pracy agenta, nauczył się czytać z ruchu ust. Zmarszczył z zadumą czoło. Odcyfrowywał jedynie pojedyncze słowa i zwroty, bo Sarina bez przerwy ruszała głową. Mówiła coś o zasadzce, o inwigilacji i o jakimś niebezpiecznym zadaniu, które ich wkrótce czeka.

Nie miało to najmniejszego sensu. Jakie niebezpieczne

zadanie może czekać osobę, która pracuje jako urzędniczka w wielkiej firmie naftowej? Czyżby Rodrigo ją w coś wplątał? Kiedyś w rozmowie z Hunterem on, Colby, powiedział, że Sarina marnuje się, wykonując zwykłą urzędniczą robotę. Czyżby Hunter wziął jego słowa do serca? Chryste, chyba nie zlecił jej obserwacji tych drani handlujących narkotykami?

Zrobiło mu się słabo na myśl o tym, że może być wmieszana w coś groźnego. Bernardette ma tylko ją, matkę. Chyba Sarina nie byłaby tak nierozsądna, aby narażać się na niebezpieczeństwo? Po jakie licho wspominał Hunterowi o jej inteligencji?

Z zaciętą miną krążył po sali. Musi ponownie pogadać z Hunterem. Sarina ma dziecko. Nie można jej zlecać żadnych ryzykownych zadań.

Pociągnął ze szklanki jeden łyk i drugi. Czekał, by zespół znów zaczął grać. Ale muzycy nie wracali. Najwyraźniej przyjęcie dobiega końca. Szkoda. Liczył na jeszcze jeden taniec z Sariną. Pragnął trzymać ją w ramionach, choćby na parkiecie. Parę minut później zobaczył, jak Bernardette z mamą wymykają się tylnym wyjściem.

Dogonił je na zewnątrz.

- Do zobaczenia jutro, aniolku - powiedział do dziewczynki.

Uśmiech rozjaśnił jej twarzyczkę.

- Przyjdiesz na moje urodziny?

Jej nieskrywana radość była niczym balsam na jego duszę.

- Tak, ale się spóźnię. Dotrę dopiero koło czwartej. Dobrze?

- No pewnie! - zawołała uszczęśliwiona.

- A będzie tort? - spytał z udawaną powagą. - Uwielbiam torty.

- Czekoladowy - powiedziała odruchowo Sarina.

Napotkał jej oczy.

- To prawda. Najbardziej lubię czekoladowy. Oblała się rumieńcem. Dlaczego nie ugryzła się w język?

- A ty truskawkowy.

Speszyla się. Nie przypuszczała, że będzie pamiętał.

- Gotowe? - spytał Rodrigo, wyciągając z kieszeni kluczyki do samochodu. Na Colby'ego nie zwracał najmniejszej uwagi.

- Dobranoc, Colby - powiedziała Sarina.

- Dobranoc. - Puścił oko do Bernardette.

- Do jutra o czwartej - dodała dziewczynka.

- Do tego czasu nie będzie śladu po torcie - rzucił Rodrigo.

Nie szkodzi. Przywiozę z sobą drugi. Sam go upieczesz? - mruknął pod nosem Latynos.

- Jasne. - Colby zmierzył go wzrokiem. - Przyznaj się, Ramirez. Własnoręcznie wydziergałeś tę marynareczkę?

- Idziemy - rzekła stanowczo Sarina i zanim Rodrigo zdołał się odgryźć, pociągnęła go za rękę do samochodu.

Colby przewracał się z boku na bok. Coś, co Sarina powiedziała, nie pozwalało mu zasnąć. Coś o urodzinach Bernardette. Wstał przed świtem i zaparzył sobie kawę. Pół dnia kręcił się po mieszkaniu, następnie ubrał się i pojechał do centrum

handlowego po prezent. Nie wiedział, co się nadaje dla siedmioletniej dziewczynki, ale przechodząc koło sklepu ze sprzętem naukowym, nagle przystanął. Ni stąd, ni zowąd pomyślał o mikroskopie.

Wszedł do środka. Spodobał mu się drogi egzemplarz, który można było podłączyć do komputera i przegrać oglądane próbki na CD - ROM.

- Trochę ekstrawagancki prezent jak dla siedmiolatki - zauważył sprzedawca.

- To nie jest typowa siedmiolatka - wyjaśnił Colby.

Schowawszy zapakowany prezent do samochodu, wstąpił do jednej z licznych knajpek na lunch, a potem przez godzinę czy dwie krążył po centrum. Nie dawała mu spokoju podsłuchana rozmowa między Rodrigiem a Sariną. Coś tych dwoje wyraźnie łączy, ale na pewno nie miłość. Psiakrew! Bez przerwy myślał o Sarinie.

Pamiętał, jak podczas ulewy weszła z nim do mieszkania. Objął ją... Od paru dni na niczym innym nie mógł się skupić, przekonał się bowiem, że Sarina nie zije do niego nienawiścią; przeciwnie, pragnie go. Wiedział jednak, że nie będzie łatwo zdobyć ją po raz drugi. Oboje bali się bliskości, choć każde z innego powodu. Gdyby do czegoś doszło i znów straciłby nad sobą kontrolę...

Odwrócił się od wystawy, w którą wpatrywał się tępych wzrokiem, i skierował na parking. Dochodziła czwarta. Pora

**jechać.**

**Na wietrze powiewały kolorowe balony przywiązane do pordzewiałej metalowej poręczy okalającej werandę. Ze stojącego przy drzwiach pojemnika na śmieci sterczały barwne opakowania, wstążki, sznurki. Colby zastukał. Drzwi otworzyła mu Bernardette ubrana w sukienkę w różowe paski, białe rajstopy i nowe różowe tenisówki. Duża kokarda z szyfonu zdobiła nową, krótką fryzurkę.**

**- Przyszedłeś! - ucieszyła się dziewczynka.**

**- Przecież obiecałem - powiedział, spoglądając ukradkiem na jej mamę, która zmywała naczynia.**

**- Wejź do pokoju, Colby - zawołała z kuchni Sarina. - Zachowałam dla ciebie kawałek tortu i lody. Napijesz się kawy?**

**- Chętnie.**

**Rozejrzał się. Pusto, ani śladu Ramireza. Ściągnął marynarkę. Miał na sobie szare spodnie, koszulę z długimi rękawami, krawat w drobny niebieski wzorek. Rzadko podwijał rękawy. Mimo że z wyglądu proteza prawie nie różniła się od normalnej ręki, to jednak wolał jej nie eksponować.**

**- Proszę, to dla ciebie. - Wręczył dziewczynce pięknie opakowane podłużne pudełko.**

**- Ojej! Mogę otworzyć? - Oczy lśniły jej z podniecenia.**

**- Oczywiście.**

**Położyła pudełko na stoliku.**

**- Ciężkie - szepnęła, zdzierając opakowanie. Sarina weszła,**

trzymając w ręce biały kubek z kawą.

- Jak zobaczysz, co kupiłem, pewnie uznasz, że mi odbiło - powiedział Colby, nie patrząc na nią. Ogarnęły go wątpliwości. - Nie wiem, dlaczego się akurat na to zdecydowałem...

Ostatni kawałek barwnego papieru spadł na podłogę. Bernardette wytrzeszczyła oczy. Matka z córką wymieniły spojrzenia, potem obie przeniosły wzrok na gościa. Żadna się nie odezwała.

- Mogę zwrócić... - zaczął niepewnie. - Wymienić na coś...

- Nie! - zapiszczała Bernardette i przerażona taką perspektywą, otoczyła prezent rękami.

- To dlaczego... - Urwał.

Sarina podeszła do małego biureczka, z którego wydobyła kolorową kartkę, i z wyraźnym wahaniem podała ją Colby'emu. Była to reklama mikroskopu, dokładnie takiego samego jak ten, który kupił dla Bernardette.

- Mówiłam jej, że nas nie stać... Że... - Zaczerwieniła się.

Bernardette głaskała pudełko, jakby nie wierzyła we własne szczęście. Łzy napłynęły jej do oczu.

- Mamy taki mikroskop w klasie, dlatego lubię chodzić do szkoły. Czasem specjalnie przychodzę wcześniej i proszę nauczycielkę, żeby mi pozwoliła obejrzeć rześniczkę. Dziękuję. - Wyciągnęła do Colby'ego rękę.

Poczuł dławienie w gardle. Był dla niej taki niedobry, a ona wszystko mu wybaczyła. Kucnął i przytulił dziewczynkę do piersi.



**Objęła go mocno za szyję. Westchnąwszy ciężko, pocałował ją w czubek głowy. Siedem lat. Siedem lat temu w październiku przyszła na świat...**

**Nagle znieruchomiał. W październiku? Siedem lat temu? Została poczęta dziewięć miesięcy wcześniej, czyli w styczniu. W styczniu przed siedmioma laty. W styczniu przed siedmioma laty on z Sariną wzięli ślub.**

**Z przerażeniem w oczach odsunął od siebie dziewczynkę. W głowie kołatały mu dziesiątki myśli. Maureen go okłamała. Wcale nie jest bezpłodny. Ojciec Bernardette zostawił ciężarną Sarinę. Ponieważ odmówiła usunięcia ciąży, stary Carrington wyrzucił ją z domu. Była chora, sama, bez grosza przy duszy. Ojciec dziecka nie interesował się jej losem. On, Colby, nie interesował się...**

**- O Chryste! - jęknął.**

**Bernardette przez moment przyglądała mu się w milczeniu, po czym ze stojącej pod ścianą szafki wyjęła album ze zdjęciami.**

**- Myszko, nie! - wystraszyła się Sarina.**

**- Nie bój się, mamusiu - powiedziała cicho dziewczynka. - On wie.**

**Sarina zachwiała się. Na jej twarzy malowała się rozpacz. Bernardette zaś ujęła Colby'ego za rękę i pociągnęła w stronę kanapy.**

**- Zobacz, tato - rzekła w języku Apaczów. Patrzył na nią bezradnie. W jej oczach, ustach, nosie widział własną twarz. To jego dziecko, jego córka.**

**- Zobacz, tato - powtórzyła.**

**Słowa dźwięczały w jego głowie, ale był tak skołowany, że dopiero po chwili uzmysłowił sobie, że Bernardette mówi w języku Apaczów. Jego córeczka. W jej żyłach płynie krew indiańska, a nie latynoska.**

**- Moje dziecko - szepnął po indiańsku. Uśmiechnęła się ciepło.**

**- Zobacz, tu jest mój dziadek.**

**Wskazała na album. Przewracając strony, Colby cofał się w czasie. Sarina z dużym brzuszkiem, szczęśliwa, uśmiechnięta. Sarina w szpitalu, przybita, zmęczona. Sarina po powrocie ze szpitala, w małym mieszkanku pełnym prezentów dla dziecka, trzyma na rękach Bernardette. Obok stoi kilka osób, między innymi Eugene Ritter oraz siwowłosa, szeroko uśmiechnięty, przygarbiony starzec.**

**To mój ojciec, uzmysłowił sobie Colby. Popatrzył zaskoczony na Sarinę.**

**Byłam zupełnie sama - wyszeptała. - Nie miałam do kogo zwrócić się o pomoc. Chodziłam głodna. Czasem koledzy z pracy coś mi przynosili, ale byłam zbyt dumna, by ich prosić o więcej. Któregoś dnia twój ojciec zastukał do moich drzwi. Z walizką. Powiedział, że urodzę córkę i że zaopiekuje się mną do czasu porodu, a po porodzie zaopiekuje się dzieckiem, tak abym ja mogła pójść do pracy.**

**- Skąd wiedział, że...**

- Nie mam pojęcia. Po prostu wiedział. Utrzymywał mnie ze swojej renty. Eugene Ritter opłacił wszystkie koszty medyczne. Przyjaźniłam się z Hunterami. Pewnie oni opowiedzieli mu o mojej trudnej sytuacji. - Na moment zamilkła. - Twój ojciec prowadził dom, sprzątał, gotował. Kiedy wróciłam do pracy, zajmował się Bernardette... - Nie wspomniała o swoich studiach zaocznych i nowej pracy. - Kilka lat później zachorował na raka, i wtedy ja się nim opiekowałam. Jego śmierć była dla nas strasznym ciosem.

Dziewczynka uważnie obserwowwała Colby'ego. Dziadek prosił, aby przekazała mu pewną wiadomość. Utrzymywał, że będzie wiedziała, kiedy to zrobić. Teraz to nie była odpowiednia chwila. Mężczyzna na kanapie za bardzo cierpiał.

Sarina przygryzła wargi. Colby popatrzył na nią nieprzytomnym wzrokiem.

- Maureen nie powiedziała mi o żadnym telefonie od ciebie. Byłem w Afryce... - Poderwał się z kanapy. - Wmówiła we mnie, że jestem bezpłodny. - Głos mu uwiązł w gardle. - A ja miałem córkę. I przez te wszystkie lata...

Sarina również wstała. Zanim zdołała otworzyć usta, powietrzem wstrząsnął przeraźliwy krzyk.

Colby przypomniał sobie, że w schowku w samochodzie ma pistolet. Pędem rzucił się do drzwi. Tęga staruszka leżała na trawniku przed sąsiednim domem i błagalnym tonem mówiła coś po hiszpańsku do agresywnego młodzieńca, który okładał ją

**pięściami.**

**Nie wahając się ani chwili, Colby ruszył kobiecie na ratunek. Sarina wybiegła za nim, ale przystanąła na schodach. Nie powinna się angażować.**

**Na widok Colby'ego chłopak roześmiał się zuchwale, po czym z bojową miną wykonał krok w jego stronę. Nic więcej nie zdołał zrobić. Powalony nieoczekiwanym ciosem, wylądował na ziemi. Przetoczył się na bok i poderwał na nogi. Zanim zdążył unieść pięści, znów leżał na ziemi. W mgnieniu oka Colby wyciągnął z kieszeni chustkę; przygniatając chłopaka kolanem, związał mu na plecach ręce. Chłopak miotał się, wydierał, klął.**

**Sarina przyglądała się wszystkiemu z zafascynowaniem. Nigdy dotąd nie widziała Colby'ego w akcji. Był prawdziwym profesjonalistą, brak ręki absolutnie go nie ograniczał. Najwyraźniej nie zapomniał, czego nauczył się podczas szkolenia wojskowego.**

**Chłopak wciąż się szamotał, ciskał przekleństwa. Był pod wpływem narkotyków.**

**- Nic pani nie jest? - spytał łagodnie Colby, kucając przy staruszce.**

**- Dlaczego? Dlaczego? - zaskładała. Na jej gołych ramionach i twarzy zaczynały wykwitać sińce.**

**- Proszę się mnie przytrzymać, pomogę pani wstać. - Podprowadził ją tam, gdzie stała Sarina z Bernardette. - Zajmijcie się nią. Ja wezwę policję.**

- Dobrze. *Señora* Martinez... - Sarina zwróciła się do starej kobiety. - Chodźmy do kuchni, umyję pani twarz.

- Nie policja! Proszę! - Staruszka popatrzyła błagalnie na Colby'ego. - Pan nie rozumie. Mam tylko on, *todo mi familia en este pais*. Pan wezwie policja, policja da go za kratkę, a tam on nauczy się więcej zła. Będzie dużo gorzej. Ja źle mówię po angielsku, ale...

Colby zapewnił kobietę po hiszpańsku, że zajmie się chłopcem, że chłopak nie pójdzie do więzienia. Staruszka pocałowała go w rękę. Z jej oczu trysnęły łzy.

- Niedługo wrócę - powiedział do Sariny. Była zdziwiona, że zna hiszpański równie dobrze jak ona.

- Zaopiekuję się nią - obiecała. Starala się nie myśleć o szoku, jaki Colby przeżył zaledwie parę minut temu.

- Wiem. - Chciał pogłodzić ją po policzku, ale nagle cofnął rękę. Nie miał prawa jej dotykać po tym, jak zniszczył jej życie.

Wyciągając z kieszeni telefon komórkowy, ruszył w stronę chłopca, który miotał się jak ryba wyrzucona na brzeg. Stanąwszy nad nim, zaczął wybierać numer. Miał nadzieję, że żaden postronny świadek nie zadzwonił po stróżów prawa.

Po chwili z naprzeciwka nadbiegł starszy chłopak, z opaską na czole i tatuażami na obu rękach. Colby instynktownie przybrał bojową pozycję. Zauważywszy to, chłopak się zawahał.

- Pan jest znajomym panny Carrington?

- Owszem.

- Wzywa pan gliny?

- Nie.

- W takim razie do kogo pan...

- A co ci do tego?

- Jestem Raoul. To mój kuzyn, Tito. - Spojrzał na otwarte drzwi. - Nie widział pan mojej babci?

- Sarina się nią opiekuje - odparł Colby. - Została brutalnie pobita.

Raoul jęknął.

- Tito, ty kretynie! Ty *estupido!*

- Nie słyszy cię. Jest tak naćpany, że nic do niego nie dociera.

Raoul potarł ręką twarz.

- Ona ma tylko nas dwóch. Tito to jej siostrzeniec. Mieszka z nią, robi jej zakupy... Mówiłem mu, żeby nie tykał narkotyków, że to trucizna...

Uzyskawszy połączenie, Colby dał Raoulowi znać, by zamilkł, a sam zaczął mówić po hiszpańsku. Że ma tu naćpanego chłopaka, który pobił swoją babkę i który potrzebuje pomocy. Następnie podał adres i poradził swemu rozmówcy, by wziął kogoś do pomocy. Nie, nie zawiadomił policji. Ma nadzieję, że nie zrobili tego również sąsiedzi. Po chwili rozłączył się i schował komórkę do kieszeni.

- Do kogo pan dzwonił? - spytał Raoul, który ze zdziwieniem przysłuchiwał się rozmowie.

- Do kumpla. - Colby uśmiechnął się. - Prowadzi specjalny

ośrodek dla młodzieży. Zabierze tam twojego kuzyna, a kiedy ten odzyska świadomość, postara się namówić go na leczenie.

- Ten pętał nie zasługuje na takie dobre traktowanie. -  
Raoul westchnął głośno. - Jest pan pewien, że nie wyrządził babci krzywdy?

- Idź, przekonaj się sam. Ja poczekam tutaj na Eduarda.

- Dobra. Dziękuję - dodał po chwili wahania chłopak.

- Jeśli dalej będzie ćpał, to... - Colby wzruszył ramionami. -  
Następnym razem może ją zabić.

- Wiem. Spróbuję mieć ich oboje na oku. - Raoul skierował się do domu Sariny.

Colby stał nad związanym chłopakiem, głuchy na przekleństwa, którymi tamten miotał, i spoglądał na ciemne okna. W kilku dostrzegł ruch. Ludzie mieszkający w tej części miasta wiedzieli, że lepiej do niczego się nie wtrącać. Wątpił, by ktokolwiek wezwał policję.

Mniej więcej po dziesięciu minutach na placu między domami wjechał beżowy van. Ze środka wysiadł mężczyzna w sutannie oraz dwóch osilków. Uśmiechając się szeroko, ksiądz wyciągnął na powitanie rękę.

- *Compadre...* Ile to już lat?

- Osiem, jeśli mnie pamięć nie myli - odparł Colby.

- Dobrze wyglądasz.

- Ty też. Chociaż ten strój... Eduardo roześmiał się serdecznie.

- Wiem, niełatwo się przyzwyczaić. Colby wskazał głową na wijącego się na ziemi chłopaka.

- Nie mam pojęcia, co zażył. Sądząc po drgawkach i zamroczonym spojrzeniu, LSD albo kokainę.

Eduardo polecił osiłkom zabrać chłopaka do samochodu. Podnieśli związanego i nie zważając na stek przekleństw, umieścili go w vanie.

- Nie martw się - powiedział do Colby'ego. - Będzie miał dobrą opiekę.

- Szkoda go.

- Tak łatwo dziś wpaść w nałóg. Żyjemy w pośpiechu, w stresie, mamy zbyt wiele obowiązków, za dużo zmartwień, a narkotyki pozwalają o wszystkim zapomnieć. - Eduardo obejrzał się przez ramię. - Co ze staruszką?

- Jest posiniaczona i obolała, na szczęście nic więcej. A tak w ogóle to podobno ten szczeniak się nią opiekuje, pomaga w zakupach, pilnuje, żeby niczego jej nie brakowało. Teraz będzie sama.

- Postaram się pomóc chłopakowi, a staruszkę będę odwiedzał. Ma jeszcze jakąś rodzinę?

- Wnuka. Właśnie jest przy niej. Wydaje się, że ten jest odpowiedzialny.

- Powiedz mu, żeby zadzwonił do mnie, gdyby jego babka czegokolwiek potrzebowała.

- Powiem. Dzięki.



Wymienili uścisk dłoni. Wzdychając ciężko, Eduardo pokręcił głową.

- Wiele lat temu myśmy też uciekali się do przemocy.

- To prawda. Byliśmy młodzi i głupi.

- Trzymaj się, stary. I odwiedź mnie kiedyś.

Zagramy w szachy... Założę się, że wciąż umiałbym cię pokonać.

Ksiądz skierował się do vana, a Colby w stronę schodów prowadzących do domu Sariny. Staruszka siedziała przy stole z kubkiem kawy w ręce. Obok siedziała Sarina, która przyglądała się młodzieńcowi z opaską na czole. Ten stał nad babką, przykładając jej do głowy owinięte w ręcznik kostki lodu.

Wszyscy popatrzyli pytająco na Colby'ego.

- Ojciec Eduardo zabrał go do swojego ośrodka. I prosił, żeby powiedzieć pani, *señora* Martinez, że gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, on zawsze chętnie służy pomocą. To dobry człowiek.

- Bardzo dobry, skoro chce ratować mojego Tita przed więzieniem. - Oczy staruszki były spuchnięte od płaczu. - Dziękuję za wszystko.

- *De nada.*

Staruszka wstała i podtrzymywana przez wnuka ruszyła do wyjścia.

- Jest pan w porządku - oznajmił z powagą Raoul. - Nigdy panu tego nie zapomnę.

**Colby odprowadził ich na zewnątrz. Chłopak przystanął na ganku.**

**- Mam u pana dług wdzięczności. Gdybym w jakikolwiek sposób mógł...**

**- Mógłbyś - powiedział cicho Colby, tak by Sarina nie słyszała. - Miej na oku Sarinę i jej małą. To niebezpieczna dzielnica. Grasują tu gangi...**

**Młodzieniec uśmiechnął się jakoś dziwnie i wyciągnął rękę.**

**- Daję panu słowo - rzekł. - Nic złego ich tu nie spotka.**

**- Dzięki.**

**Raoul wzruszył ramionami.**

**- Kocham moją babkę.**

**Obejmując staruszkę, sprowadził ją po schodach, a potem razem z nią przeszedł do sąsiedniego domu.**

**Sarina wyszła na werandę i stanęła obok Colby'ego.**

**- Obiecał cię strzec - powiedział cicho. - Będziecie bezpieczne.**

**Otworzyła szeroko oczy.**

**- Wiesz, kogo poprosiłeś o ochronę dla mnie? Szefa największego gangu w tej dzielnicy!**

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Colby spojrział na nią dziwnie.

- Nie wiedziałeś?

- A skąd miałem wiedzieć?

- Tatuże i kolor chusty wskazują na przynależność do *Serpientes*.

Przez chwilę przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- W pracy się tego dowiedziałeś? Zawahała się.

- Rodrigo mi powiedział - przyznała, odwracając wzrok.

- Ramirez? Nasz oficer łącznikowy?

- Jego kumpel pracuje w policji. - Przynajmniej nie musiała kłamać.

- Rozumiem.

Ale nie rozumiał. Nie mógł się skupić. Przed oczami stanęła mu Bernardette. Jego córka. Wszedł z powrotem do domu i w milczeniu obserwował, jak dziewczynka podłącza mikroskop do laptopa.

- Ona wie, jak się to robi? - spytał zaskoczony.

Sarina pokiwała głową.

- Tak, zna się na elektronice. Podobnie jak ty. Obejrzawszy się, popatrzył na Sarinę zbolalym wzrokiem.

- Powiedziałem Hunterowi, że ojciec Bernardette to podły drań - rzekł ochryplym głosem. - Miałem rację.

- O niczym nie wiedziałeś.

- To prawda. Maureen ukryła przede mną, że dzwoniłaś. -

Potrząsnął gniewnie głową. - Byłem zaślepiony pożądaniem. Tak bardzo pragnąłem Maureen, że nic innego nie miało dla mnie znaczenia. I co mi zostało? Przeżyłem piekło. A ty i Bernardette...  
- Westchnął ciężko. - Parę dni temu powiedziałaś, że Maureen i ja wielu osobom spapraliśmy życie. Nie sądziłem, że... - Nagle spostrzegł coś w jej spojrzeniu. - To nie wszystko, prawda? Jest jeszcze coś, o czym nie wiem?

Zawahała się.

- Powiedz - poprosił. - No, śmiało. Sprawiał wrażenie, jakby był bliski załamania.

Ale nie zamierzał ustąpić.

- W porządku. Kiedy chodziliście ze sobą, Maureen była mężatką.

- Co takiego?

- Potem, kiedy myśmy zaczęli się spotykać, ona próbowała uzyskać rozwód w Reno. Jej mąż się nie zgadzał. W dniu naszego ślubu...

- - przełknęła ślinę. W dniu naszego ślubu popełnił samobójstwo. Więc Maureen wróciła do domu wolna i bez zobowiązań.

Zrobiło mu się tak słabo, że oparł się o ścianę. Chryste! Zamknął oczy. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz. Na zewnątrz mżyło. Przemókł, czekając na przybycie Eduarda. Po Afryce miał kłopoty ze zdrowiem. Wiedział, że powinien na siebie uważać, nie dopuszczać do wychłodzenia organizmu. Ale był zbyt przejęty,

aby teraz myśleć o zagrożeniu.

- Popelnił samobójstwo... - powtórzył cicho. - Ciebie ojciec wyrzucił z domu, Bernardette dorastała bez ojca. Niewinny człowiek zginął, aby Maureen mogła wyjść za mnie za męż. I mimo tych wszystkich tragedii, jakie się wydarzyły, ja chciałem być szczęśliwy? Boże! Mam to, na co zasłużyłem!

Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie zdawała sobie sprawy, że prawda tak go poruszy. W przeszłości często marzyła o tym, by zobaczyć, jak Colby reaguje na wieść, że ma córkę. Ale wbrew temu, co sądziła, nie czuła żadnej satysfakcji.

- Colby... - zamilkła, szukając właściwych słów.

Odwrócił się.

- Pożegnaj ode mnie małą, dobrze? - poprosił. - Muszę iść.

- Dziękuję za wspaniały prezent.

Nie odpowiedział. Prezent? Przez siedem lat był nieobecny w życiu córki. Pierwszego dnia, kiedy się spotkali, paskudnie się wobec niej zachował, a teraz przynosi jej prezent? Jeden marny prezent, kiedy przez siedem lat nie dał jej ani jednego? Na urodziny, pod choinkę... tyle było okazji! Podczas gdy on błagał Maureen, aby go nie zostawiała, jego córka żyła w ubóstwie, pozbawiona ojca.

Słowa te długo dudniły mu w głowie. Myślał, że z rozpaczyny oszaleje. Całe szczęście, że nie trzymał w domu whisky, bo miał wielką pokusę, by się upić do nieprzytomności. Walka z alkoholem i lata abstynencji poszłyby na marne.

Wziął prysznic, po czym zwałił się do łóżka. Był tak zmęczony, tak zestresowany, że zasnął kamiennym snem. Rano obudził się wstrząsany dreszczami.

Łyknął dwie tabletki aspiryny i wrócił do łóżka, pewien, że to tylko lekkie przeziębienie. Wieczorem jednak miał wysoką gorączkę, majaczył. Nie był w stanie dojść do telefonu i zadzwonić po pomoc. Prawdę mówiąc, nawet nie chciał wzywać pomocy. Jeśli umrze, może przestanie odczuwać ten koszmarny ból...

- Mamusiu! Obudź się!

Sarina natychmiast otworzyła oczy. Zawsze spała czujnie, bo nigdy nie wiedziała, kiedy córka będzie potrzebowała pomocy.

- Coś się stało? Źle się czujesz? - spytała, siadając na łóżku.

- Ja nie, ale tatuś jest bardzo chory - odparła dziewczynka. -  
Musimy do niego pojechać. On umiera!

- Pojechać...? - Sarina zerknęła na budzik; dochodziła trzecia. - Kochanie, jest środek nocy, a ja muszę wstać o siódmej rano...

- Proszę, mamusiu!

- Kochanie, nie trafię tam po ciemku. Zresztą on na pewno śpi... Możemy zadzwonić - dodała pośpiesznie, widząc zrozpaczoną minę dziecka.

- Nie! Musimy jechać! Szybko, bo on umrze! Przekonała ją nuta stanowczości i strachu w głosie córki. Bernardette rzeczywiście wiedziała o rzeczach, o których inni nie mieli pojęcia. Ciekawe, jak Colby zareaguje, kiedy zastukają do jego drzwi?

Nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać. Wciągnęła dżinsy i bluzę, Bernardette tymczasem spakowała książki.

- Po co ci podręczniki? - zdziwiła się Sarina.

- Bo pewnie zamieszkałam przez kilka dni u Nikki i razem z nią będę jeździć do szkoły odrzekła dziewczynka. - Tatuś naprawdę jest bardzo chory.

- Ale wyzdrowieje?

- Chyba tak.

Sarina wypuściła z płuc powietrze - nawet nie zdawała sobie sprawy, że wstrzymuje oddech i zamknęła drzwi.

Wierzyła córce; dziewczynka miała dziwną telepatyczną więź z ojcem. On z nią najwyraźniej też, skoro kupił jej mikroskop, o którym tak bardzo marzyła. Oby jednak tym razem Bernardette się myliła! Oby Colby nie umierał!

Strażnik przy bramie wpuścił je na teren osiedla tylko dlatego, że wzruszyły go łzy dziecka. Z kluczem w dłoni skierował się do mieszkania Colby'ego. Bernardette wyprzedziła go i zatrzymała się przed właściwymi drzwiami, choć nigdy wcześniej tu nie była.

- Jest bardzo chory - poinformowała z zasmuconą miną strażnika.

- Proszę poczekać - powiedział mężczyzna, przekręcając klucz w zamku.

Kiedy wszedł do środka, Sarina zaczęła się zastanawiać, gdzie znaleźć dobrego prawnika, bo pewnie będzie jej potrzebny.

**Nie można bezkarnie wdzierać się do cudzego mieszkania.**

**Po chwili strażnik wybiegł przerażony.**

**- Zna pani numer do jego lekarza? Odpychając go na bok, Sarina wpadła do pokoju. Colby leżał w łóżku ubrany w czarne bokserki i mokry od potu, trzął się jak w febrze. Nie rozpoznał jej. Skórę miał gorącą w dotyku, wzrok nieprzytomny.**

**Chwyciwszy słuchawkę, Sarina wykręciła numer Hunterów. Phillip odebrał po pierwszym dzwonku.**

**- Colby jest ciężko chory - oznajmiła. - Ma wysoką gorączkę, nikogo nie rozpoznaje...**

**- Malaria - rzekł Hunter. - Czasem miewa nawroty. Sprawdź w apteczce, powinna tam być chinina...**

**Pobiegła do łazienki; w szufladce pod lustrem znalazła dwa leki sprzedawane na receptę: silny środek przeciwbólowy oraz właśnie chininę. Wróciła pędem do telefonu.**

**- Mam!**

**- Postaraj się podać mu dwie tabletki. A ja już jadę.**

**Z kuchni wzięła szklankę wody. Bernardette i strażnik patrzyli w milczeniu, jak unosi głowę Colby'ego, wtyka mu do ust lekarstwo i zmusza, by je połknął.**

**- Ma malarię powiedziała do strażnika.**

**- Malarię? W Houston?**

**- Nabawił się jej w Afryce - wyjaśniła dziewczynka. Poglądziła chorego po głowie. - Tatusiu... - Głos się jej załamał.**

**Sarina wzięła córkę na ręce.**



- Cii, kochanie. Tatuś wkrótce wyzdrowieje.

- Obyś się nie myliła, przemknęło jej przez głowę. - Zaraz przyjedzie tu jego przyjaciel - zwróciła się do strażnika. - Phillip Hunter. Wszyscy troje pracujemy w Ritter Oil. Hunter był przy nim podczas poprzedniego napadu choroby.

- Poczekam przy bramie - odrzekł strażnik, kierując się do drzwi. - Pani tu zostaje?

Sarina skinęła głową i przytuliła mocno córkę. Serce ją bolało, kiedy patrzyła na Colby'ego - wczoraj, silny i zdrowy, bronił pani Martinez, dziś półprzytomny, zlany potem, leżał na łóżku wstrząsany dreszczami.

Zamyśliła się. Słyszac krzyk staruszki, wybiegł z domu bez kurtki, a przecież padało, było zimno. Na pewno przemarzl. Podejrzewała, że szok, jaki przeżył na wieść, że ma córkę, również przyczynił się do nawrotu choroby. Postawiwszy Bernardette na podłodze, przyjrzała się jej z zatroskaniem w oczach.

- Nie martw się, mamusiu. Nic mi nie jest. Nie świszczę.

- Całe szczęście. - Sarina odetchnęła z ulgą. - Wzięłaś przed wyjściem lekarstwo?

- Tak. Kiedy się ubierałam. - Dziewczynka lekko się uśmiechnęła. - Ten nowy lek naprawdę działa.

Na dworze rozległ się warkot silnika. Otworzywszy drzwi, Sarina ujrzała zaspanego Huntera.

- Co z nim?

- Niedobrze - odparła. - Wczoraj przeżył szok. Dowiedział się

paru rzeczy, o których nie miał pojęcia, między innymi, że jest ojcem Bernardette. Poza tym przebywał na zimnie i deszczu bez kurtki. Przemarzał.

- Tak samo było zeszłym razem - stwierdził Hunter. - Za dużo stresu, zero odpoczynku. Nawet nie chciał golnąć sobie kielicha.

- Nie dziwię się.

Przeszedł prosto do sypialni. Tam ujrzał Bernardette, która siedziała na fotelu przy łóżku, z ręką na ramieniu ojca, cicho nucąc indiańską pieśń.

- Nauczyłaś się jej od szamana? - spytał, rozpoznając melodię.

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

- Dziadek mówił, że leki pomagają, ale nie zaszkodzi się pomodlić.

- Miał rację.

Zbliżywszy się do łóżka, Hunter przyłożył rękę do czoła Colby'ego. Było rozpalone. Wzdychając ciężko, zdjął płaszcz.

- Czeka nas długa noc.

Na zmianę przykładali Colby'emu do ciała mokre, zimne ręczniki, żeby zbić mu temperaturę. Kiedy Sarina zajmowała się chorym, Hunter zadzwonił do przyjaciela, który walczył z nimi w Afryce. Facet mieszkał w Jacobsville, niedaleko Cyrusa Parksa, ale gotów był natychmiast wsiąść w samochód i przyjechać do Houston.

- Nie prościej byłoby wezwać miejscowego lekarza? - spytała Sarina.

- Prościej. Ale po pierwsze Micah zna się na malarii, a po drugie zna Colby'ego. Był z nami w Afryce. Można powiedzieć, że amputując Colby'emu rękę, uratował mu życie.

Sarina znieruchomiała. Przypomniała sobie coś, co powiedział Cyrus Parks. Zmrużywszy oczy, popatrzyła na Huntera.

- Nie wyciągaj pochopnie wniosków - ostrzegł ją.

- Ty i Cyrus byliście w Afryce. Colby też...

- Podobnie jak setki innych osób. Niektórzy z poparciem rządu amerykańskiego, inni bez. Przepraszam, Sarino, ale obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

Odetchnęła z ulgą.

- W porządku. Po prostu słyszałam o grupie najemników, którzy pomagali zaprowadzić ład w jednym z afrykańskich krajów. Rodrigo mi o tym mówił.

Rodrigo również był wtedy w Afryce, ale tego Hunter nie zamierzał jej zdradzać. Ani prawdy o Colbym. Jeśli Colby będzie chciał, sam jej o wszystkim powie. Swoją drogą, ciekawe, jak Colby zareaguje, kiedy usłyszy, czym się zajmuje Sari na.

Zostawiwszy ją przy chorym, Hunter wyszedł na dwór. Powiedział Sarinie, że chce coś zabrać z samochodu. W rzeczywistości chciał zadzwonić do Micaha i uprzedzić go, aby nie mówił przy Sarinie o przeszłości Colby'ego. Ale Micah był już w

drodze.

Wysoki, potężnie zbudowany blondyn bardziej przypominał z wyglądu zapaśnika niż lekarza. Jednakże nie uległo wątpliwości, że zna się na medycynie.

- Kiedy on wreszcie zmądrzeje? - mruknął pod nosem. Zbadawszy Colby'ego, zrobił mu zastrzyk. - Przecież wie, jak niebezpieczny dla niego jest stres.

- Przynajmniej ma malarię, a nie kaca - wtrącił Hunter.

- Kto tu jest lekarzem? - Oczy Micaha zaśniły wesoło.

- Potrafię rozpoznać malarię. Sam trzykrotnie na nią chorowałem.

Micah zamknął torbę.

- Masz rację, to malaria. Gorączka wkrótce opadnie. Trzeba podawać mu chininę. I uważać, żeby znów nie przemarzł. - Popatrzył z zaciekawieniem na Sarinę. - Pani z nim zostanie?

Wymieniła spojrzenie z Hunterem.

- Tak. Przez dzień lub dwa.

- Dobrze. Proszę pilnować, żeby leżał okryty ciepłym kocem i dużo pił. Chininę należy podawać co cztery godziny. Wskazówki są na buteleczce.

Pokiwała głową, a on zmrużył oczy.

- Pani nie jest Maureen.

- Nie, nie jestem - oznajmiła gniewnie.

- Całe szczęście - odrzekł, ignorując ostrzegawcze mrugnięcie Huntera. - Ta kobieta doprowadziła go do kompletnej ruiny.

- Sarina to pierwsza żona Colby'ego - wyjaśnił Hunter, wprawiając lekarza w zdumienie. - I matka jego córki, tej dziewczynki, która siedzi w salonie.

Micah potarł ucho.

- Zaraz, zaraz, chyba się przesłyszałem. Powiedziałeś, że Colby ma córkę? Jak to możliwe, skoro jest bezpłodny?

- Nie jest - wtrąciła Sarina. - A jeśli pan przyjrzy się Bernardette, nie będzie miał pan żadnych wątpliwości. To wykapany tata.

- Zauważyłem. Ale gdyby pani знаła go tak dobrze jak ja...

- Chyba nie zamierzasz snuć rzewnych opowieści - przerwał mu Hunter.

Micah zreflektował się.

- Masz rację, stary. Muszę wracać do domu. Moja córeczka ma dopiero roczek - zwrócił się do Sariny. - Dzieci cementują związek, prawda?

Sarina zacisnęła usta. Micah skrzywił się w duchu - dlaczego nie ugryzł się w język?

- Odprowadzę cię - powiedział Hunter.

- Dzięki. A o Colby'ego proszę się nie martwić. Wyzdrowieje.

- Liczę na to. - Sarina zmusiła się do uśmiechu.

Mężczyźni ruszyli do wyjścia. Zanim dotarli do drzwi, z salonu wybiegła Bernardette.

- Proszę pana! Proszę pana! Mój tatuś nie umrze, prawda?

Micah spojrzał w ciemne oczy dziecka, tak podobne do oczu

**Colby'ego.**

**- Nie, kochanie. Na pewno nie umrze.**

**- Dziękuję. - Uśmiechnęła się promiennie.**

**- Nie ma za co. - Zmierzwił jej włosy. - Jeśli chcesz, możesz do niego zajrzeć.**

**Pognała do sypialni. Micah pokiwał głową: tak, dziewczynka była bardzo podobna do ojca.**

**- Dlaczego mi ciągle przerywałeś? - spytał Micah, kiedy doszli do jego porsche.**

**- Bo Sarina nic nie wie o przeszłości naszego przyjaciela - wyjaśnił Hunter. - Jak będzie gotów, to sam jej opowie.**

**- Przecież nie robiliśmy nic złego. Przeciwnie, robiliśmy dużo dobrego. Byliśmy idealistami.**

**- Wiem. Ale sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje. Sarina też ma parę własnych tajemnic. Kiedy odkryją o sobie całą prawdę, posypią się iskry!**

**Micah uśmiechnął się w duchu. Między nim a Callie też się nieraz sypały iskry.**

**- Wiesz, Callie chyba znów jest w ciąży.**

**- Gratuluję. Jennifer również.**

**- No, no. - Micah zagwizdał cicho. - Musi być coś w naszej wodzie.**

**- Albo w powietrzu.**

**Bernardette siedziała z matką przy łóżku chorego. Kiedy Hunter wrócił na górę, pocałowała ojca w czoło i pobiegła do**

salonu po książki. Wiedziała, że zamieszka w domu swojej przyjaciółki Nikki, dopóki ojciec nie poczuje się na tyle dobrze, by mama mogła go zostawić samego.

Hunter zaproponował, że to on może zaopiekować się Colbym, ale Sarina stanowczo się sprzeciwiła.

- Masz inne rzeczy na głowie - przypomniała mu. - Ja godziłam pracę z opieką nad teściem, więc poradzę sobie i teraz. W razie czego wezmę kilka dni urlopu.

Przyjrzał się jej uważnie.

- I robisz to wszystko bezinteresownie? Z dobrego serca?

- Kiedyś był moim mężem - odparła, unikając jego wzroku.

- Nadal się za niego uważa. - Uśmiechnął się na widok jej zaskoczonej miny. - Nie wierzysz? Wystarczy wspomnieć o Rodrigu, a już ma pianę na pysku.

- Od razu pianę? Po prostu się nie lubią.

- Bzdury gadasz, kochana. Colby jest o ciebie wściekle zazdrosny. - Na moment zamilkł, po czym dodał z powagą: - To, że w takiej sytuacji nie sięgnął po butelkę, wiele mi mówi. Dawniej byle pretekst by wystarczył. A teraz boi się ryzykować. Z powodu ciebie i Bernie nie chce znów wpaść w alkoholizm. Wolałby umrzeć.

- Ale nie umrze, co? - spytała przerażona.

- Na pewno nie - zapewnił ją. - Ma po co żyć. Ostatnio mówi wyłącznie o Bernardette.

- Naprawdę? - Zza drzwi wychyliła się główka dziewczynki.

- Słowo honoru - przysiągł Hunter. - Opowiada wszystkim, że pięknie rysujesz, że śpiewasz jak anioł i że mówisz płynnie po hiszpańsku.

Bernardette błysnęła w uśmiechu zębami. Matka uścisnęła ją na pożegnanie.

- Bądź grzeczna i słuchaj Jennifer. A ja się będę opiekować tatusiem.

- Dobrze.

- Wzięłaś swoje lekarstwa i inhalator? Tak? No to leć.

- Dobranoc, mamusiu.

- Postaram się wrócić jak najprędzej - powiedział Hunter.

- Poradzę sobie, naprawdę. Nie jestem tak potrzebna w pracy jak ty, Phillipie. Na razie tu posiedzę.

- No dobra, będziemy się przy nim zmieniać. W razie czego zadzwonię do Cyrusa. Mogę też poprosić Rodriga...

- Żeby mu robił okłady z wrzątku i dał cykutę do picia?

Hunter parsknął śmiechem.

- Kupić coś w drodze powrotnej? - spytał.

- Duży karton soku pomarańczowego i paczkę aspiryny.

Po wyjściu Huntera i Bernardette Sarina usiadła na krześle przy łóżku chorego. Colby wiercił się niespokojnie, ciało i włosy miał lepkie od potu. Patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Jęknął, kiedy przyłożyła rękę do jego ramienia, by sprawdzić temperaturę. Najwyraźniej gorączka sprawiała, że najłżejszy dotyk wywoływał ból.



Sarina zmarszczyła czoło. Wszyscy powtarzali, że Colby wyzdrowieje, ale ciężko było przyglądać się jego cierpieniu. Czuli się odpowiedzialni. W tak krótkim czasie otrzymał tak wiele ciosów. Przed laty marzyła o tym, by wygarnąć mu całą prawdę. Teraz ją znał, a ona nie czerpała z tego faktu żadnej przyjemności. Jak się okazało, wcale nie kazał Maureen powiedzieć jej, żeby nie zawracała mu głowy swoją ciążą. Nawet nie wiedział, że dzwoniła. Boże! Pokręciła głową. Maureen ją okłamała. Ta bezduszna wiedźma niczym się nie przejmowała! Niszczyła ludzi, po trupach dążyła do celu.

Colby kochał swoją drugą żonę. Wiadomość o jej podłym zachowaniu na pewno nie pozostała bez wpływu na jego obecny stan zdrowia. Zapłacił ogromną cenę za błąd, który popełnił, gdy się z nią związał.

Przewrócił się na wznak i znów jęknął. Oczy miał przymknięte, wargi spierzchnięte.

- Pić...

W kuchni napełniła szklankę wodą, dorzuciła dwie kostki lodu. Wróciwszy do sypialni, usiadła na łóżku, delikatnie uniosła głowę Colby'ego i przysunęła mu szklankę do ust. Pił łapczywie, po czym opadł na poduszkę.

Poduszka zsuwała się z materaca. Sarina wyciągnęła rękę, by ją poprawić i nagle zamarła. Po chwili wydobyła pistolet, przypuszczalnie ten sam, który Colby nosił w pracy. Był nabity, na szczęście również zabezpieczony. Schowała go do szafki nocnej.

Właściwie nie powinna się dziwić, że Colby śpi z bronią pod poduszką - tak robi wielu byłych wojskowych i policjantów.

Udała się do łazienki po miskę z wodą i ręcznik. Przecierała zimną myjką rozpalone ciało, kiedy Colby przeciągnął się zmysłowo. Wstrzymała oddech. Przez chwilę nic nie robiła, potem skupiła się na myciu ramion i szyi Colby'ego.

- Nie wiedziałem - szepnął, zaciskając zęby. - Nic nie wiedziałem!

Mokłą ściereczką starła mu pot z czoła.

- Ciii, już dobrze. Śpij...

- Przeklęty Ramirez! On nie może... nie ma prawa... ona należy do mnie!

- Colby - szepnęła zszokowana. Otworzył oczy. Spojrzenie miał otepiałe.

- Nie odejdę! Już nigdy jej nie zostawię. Moje dziecko... moja córeczka... powinna mnie nienawidzić... - Głos mu się załamał. - Cholera jasna!

- Colby, przestań - poprosiła Sarina, gładząc go po policzku.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, Colby poderwał się, chwycił ją i cisnął na łóżko, po czym przygniótł jej biodra swoją nogą.

- Sarina? - spytał oszołomiony, mrugając oczami.

- Masz malarię - szepnęła.

- Malarię? - Wciągnąwszy głęboko powietrze, zacisnął powieki. - Boże, czuję się taki słaby...

- Wyzdrowiejesz. Był lekarz, zrobił ci zastrzyk. Wkrótce temperatura ci spadnie i odzyskasz siły.

- Gorąco... - Przetoczył się ponownie na wznak. - Pić...

Wyskoczyła z łóżka i obeszła je pośpiesznie. Szklanka z wodą stała na szafce nocnej.

- Masz... - Podtrzymując Colby'emu głowę, podsunęła mu szklanekę do ust.

Pił wolno, małymi łykami. Nagle zadrżał.

- Zimno - jęknął. - Bardzo zimno. - Powieki mu opadły. - Ogrzej mnie - poprosił. - Połóż się obok...

Zawahała się, ale wyciągnął do niej ramiona, po czym przytulił się mocno. Znów zadrżał.

- Obejmij mnie...

To nie było mądre. Ale czy kiedykolwiek w życiu kierowała się rozumem? Obróciła się na bok; miała nadzieję, że haft na jej dzinsach nie podrażni Colby'emu skóry. Po chwili rozległo się błogie westchnienie. Colby oddychał równo i miarowo. Uświadomiła sobie, że zasnął. Wiedziała, że powinna wstać, ale tak bardzo podobał się jej uścisk jego ramion i ciepło, które od niego biło, że opóźniła ten moment. Aż wreszcie sama też zasnęła.

Obudził ją przytłumiony śmiech. Otworzywszy oczy, ujrzała przed sobą szeroki, owłosiony tors, a za nim ścianę. Hm, to nie jest jej dom ani jej łóżko. W takim razie co, do licha...

Uniosła głowę i nagle zobaczyła lśniąca od gorączki oczy Colby'ego.

- Jeśli chcesz mnie zgwałcić, wolałbym, abyś poczekała, aż będę całkiem zdrów - powiedział.

- Pewnie się zastanawiasz, co ja tu robię...

- Tu, to znaczy w moim mieszkaniu czy w moim łóżku? - usiłował żartować.

- I tu, i tu.

- Opiekujesz się mną, tak? - zaczął zgadywać. - Znów mam malarię?

- Tak. Opiekujemy się tobą na zmianę z Hunterem. Zmieniłam się z nim nad ranem.

Powiódł spojrzeniem po ich splecionych w uścisku ciałach.

- On też ze mną spał?

- Przestań. Uśmiechnął się łobuzersko.

- . Wiesz, nigdy nie lubiłem komarów - rzekł, wodząc palcem po jej wargach. - Ale teraz widzę, że z malarii jest jeden nieoczekiwany pożytek.

- Było ci zimno - zaczęła się tłumaczyć. Uniósł powątpiewająco brwi.

- Nie patrz tak na mnie! - zaprotestowała.

- Pociągnąłeś mnie za rękę i nie chciałeś puścić.

- Czy ja narzekam? - Pocałował ją w nos, po czym jęknął. Najmniejszy ruch powodował ból.

- Boże, przez moment czułem się lepiej. Uwolniła się z ramion Colby'ego i wstała.

- Dasz radę coś przelknąć?

- Nie wiem. Gorączka chyba mi spadła, ale ból mięśni i nudności wróciły. - Zamknął oczy i zadrżał.

- Może napijesz się mleka?

- Nie mogę. Mam skazę białkową.

- Bernardette też - powiedziała odruchowo.

- Moja dziewczynka. Moja córeczka. - Jęknął ponownie, przypomniawszy sobie swoją przeszłość.

Sarina milczała, podczas gdy Colby otworzył oczy i zaczął się jej uważnie przyglądać.

- Dlaczego mieszkasz na osiedlu komunalnym? - spytał. - Tylko nie wciskaj mi ciemnoty o dyskryminacji.

- Bernardette ma astmę - odparła. - Do niedawna każde silniejsze przeżycie emocjonalne powodowało nowy atak. Ciągle jeździliśmy na ostry dyżur. Teraz dostaje nowe leki, które... odpukać... działają cudownie. W każdym razie koszty leczenia mocno nadwerżyły mój budżet.

- W dzieciństwie też chorowałem na astmę - wyznał Colby. - Potem objawy ustąpiły. Może z Bernardette będzie tak samo. - Nagle umilkł.

- Przeżycie emocjonalne powoduje atak? Takie jak to, na które ja ją naraziłem?

Sarina zaczerwieniła się.

- Chryste! Lista moich grzechów stale się wydłuża!

- Colby, przeżyłeś szok - rzekła łagodnie, siadając na brzegu łóżka. - Musisz przestać myśleć o przeszłości i robić sobie wyrzuty.

**Było, minęło. Myśl o tym, co będzie. Bernardette przepada za tobą. Marzy o tym, żeby mieć ojca.**

**Milczał. Klatka piersiowa unosiła mu się i opadała.**

**- Nie jesteś złym człowiekiem - kontynuowała Sarina. - Nie wiedziałeś o mojej ciąży...**

**- Powinienem był cię odszukać, upewnić się, jak sobie radzisz. Ale Afryka mnie zmieniła. A potem zacząłem pić...**

**- I przestałeś. Nikt by się nie zdziwił, gdybyś wczoraj sięgnął po butelkę...**

**- Teraz to tym bardziej nie wchodzi w grę - przerwał jej. - Mam wiele do zrobienia. Popatrzyła na niego pytająco.**

**- Najpierw wyprowadzisz się z tej koszmarnej okolicy, w której mieszkasz. Potem zabieram was obie na zakupy.**

**Przyłożyła mu palce do ust.**

**- Najpierw masz wyzdrowieć. Dopiero potem możemy się kłócić o to, kto gdzie będzie mieszkał i co robił.**

**Oczy lśniły mu wesoło.**

**- Uwielbiam się z tobą sprzeczać.**

**- Tak? Nie wiesz, jaka potrafię być uparta - zażartowała.**

**- Mylisz się. - Mdłości znów podeszły mu do gardła, wstrząsnął nim dreszcz. - Przeklęta malaria. Zachorowałem mniej więcej wtedy, kiedy byłaś w ciąży. - Na moment zamilkł. - Istnieje kilka typów malarii, niektóre można wyleczyć, innych nie. Ja zapadłem na odmianę nieuleczalną, więc kiedy wychodzę w koszuli na deszcz czy mróz, muszę liczyć się z możliwością**

nawrotu.

- Nie będzie żadnych więcej nawrotów - oznajmiła.

Podobał mu się jej zdecydowany ton. Uśmiechnął się pod nosem.

- Siedem lat temu zawładnąłbym tobą. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Pokiwała głową. Tak, zawsze był silny i władczy, a ona, zwłaszcza wtedy, była uległa i patrzyła w niego jak w obrazek.

Nagle zmarszczył czoło.

- Skąd wiedziałaś, że jestem chory?

- O trzeciej w nocy obudziła mnie Bernardette i powiedziała, że musimy koniecznie do ciebie jechać. Ublągała strażnika przy bramie, żeby nas wpuścił, a potem niczym gołąb, który leci prosto do swojego gołębnika, przybiegła pod twoje drzwi. Strażnik wpuścił nas do środka, a ja zadzwoniłam po Huntera. Przez kilka dni Bernardette będzie mieszkała z Nikki.

- Na twoim miejscu pozwoliłbym mi zdechnąć.

- No wiesz... - Poglądziła go po ramieniu. - Bernardette zapłakałaby się na śmierć. Kiedy dzwoniliśmy z Hunterem po lekarza, siedziała przy tobie i intonowała jakieś zaklęcia.

- Zaklęcia?

- Nie dziw się. Jej dziadek był szamanem. Nauczył ją uzdrawiać chorych. Chyba nie myślisz, że pomogła ci sama chinina?

Roześmiał się cicho.

- A wiesz, po kim odziedziczyła głos? Po mojej matce, która śpiewała jak anioł. Kiedy byłem chory, siadywała przy moim łóżeczku i nuciła pieśni o kojącej mocy. Zmarła, kiedy miałem sześć lat. - Przymknął oczy, wracając pamięcią do czasów dzieciństwa. - Ojciec ciągle chodził pijany. Nie zdawał sobie sprawy, że mama ma zapalenie płuc. Umarła, kiedy spał po trzydniowej popijawie. Po pogrzebie matki razem z kuzynami spaliliśmy jej rzeczy. Ojciec znów się przyssał do butelki, a mnie zabrała do siebie ciotka. Od tamtej pory nie chciałem znać ojca.

- Wiem, mówił nam o tym. Wiedział, dlaczego przestałeś się do niego odzywać. Twierdził, że miałeś rację, że na to zasłużył. Pozwolił żonie umrzeć, a ciebie opuścił. Miał nadzieję, że pomagając mnie i Bernardette, choć trochę odkupi swoje winy.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Leżał z zamkniętymi oczami, znów dygocząc z zimna.

Nie odzywał się. Starał się nie pokazać, jak bardzo zaboląły go słowa Sariny. Nie zdążył pogodzić się z ojcem, zanim ten umarł. Teraz tego żałował, ale było już za późno.

Pozwoliła mu zasnąć. Kiedy przed południem zjawił się Hunter, pojechała do siebie. Wykąpała się, przebrała, spakowała ubranie na zmianę i wróciła do Colby'ego.

Przedwcześnie cieszyła się z oznak zdrowienia. Po południu gorączka wróciła; Colby znów dygotał z zimna i z bólu. Sarina na zmianę z Hunterem dyżurowała przy łóżku chorego. Hunter wyskoczył na krótko do pracy, by sprawdzić, czy człowiek, którego wyznaczył na swojego zastępcę, daje sobie radę. Potem próbował namówić Sarinę, żeby wróciła do domu i odpoczęła, ale odmówiła. Drzemała w nogach łóżka, podawała Colby'emu lekarstwa, poila go sokiem pomarańczowym, obmywała rozgrzane ciało i ciągle się martwiła.

Colby jęczał i mówił przez sen. Często o Afryce i jakiejś strzelaninie. Jeszcze częściej o Bernardette. Dużo przeklinał, przeżywając na nowo przesłuchanie człowieka, który chyba był terrorystą. Wszystko to nie trzymało się kupy...

W ciągu dnia Sarina rozmawiała przez telefon z córką. Zapewniała ją, że wszystko będzie dobrze. Gdyby tylko sama mogła w to uwierzyć! Nigdy dotąd nie widziała chorego na malarię podczas ataku gorączki. I wiedziała, że nigdy nie zapomni

tego widoku.

Czwartego dnia Colby poczuł się lepiej. Gorączka ustąpiła. Jak z ulgą oznajmił Hunter: kryzys minął. Teraz Colby powinien się dobrze odżywiać i dużo spać, żeby odzyskać siły.

Colby'emu zaczęły przeszkadzać brudne włosy i spocone ciało. Za bardzo mu to przypominało tamten okres, kiedy upijał się do nieprzytomności. Wtedy było mu wszystko jedno, co się z nim stanie: czy będzie żył, czy zginie. Teraz chciał się wykapać. Chciał żyć. Miał dla kogo.

Przeturlał się na brzeg łóżka i wstał. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jest słaby, dopóki nogi nie zaczęły mu się trząść. Dotarł do łazienki i przytrzymując się ściany, by nie stracić równowagi, odkręcił wodę w kabynie prysznicowej. Stał, oddychając głęboko i przeklinając swoją niedyspozycję fizyczną.

- Rany boskie, co ty najlepszego wyprawiasz? - zawołała Sarina, przystając w drzwiach z filiżanką kawy oraz talerzykiem, na którym leżało kilka posmarowanych masłem grzanek. - Przygotowałam ci śniadanie.

- Później zjem. Najpierw muszę się umyć... Słuchaj, czy możesz mi zmienić pościel? Czysta leży w szafie.

Wsunęła rękę do kabiny i bez słowa zakręciła wodę, po czym opuściła deskę sedesową.

- Usiądź i odpocznij, a ja zaraz wrócę.

Usiadł posłusznie, rozbawiony jej stanowczością. Po chwili w jego głowie zrodził się chytry plan.

- No dobrze, łóżko już gotowe - oznajmiła Sarina, zjawiając się ponownie w łazience. - Możesz się umyć. Na wszelki wypadek poczekam za drzwiami...

Wskazał na kikut lewej ręki.

- Nie zdołam sam ustać pod prysznicem i jeszcze się porządnie wyszorować - skłamał.

- Ale... - zawahała się.

- Wejdz ze mną - poprosił. - Oczywiście jeśli to nie jest zbyt wielki problem. - Spuścił skromnie wzrok. - Zdaję sobie sprawę, że mogę budzić w tobie obrzydzenie...

- Ależ co ty mówisz! - oburzyła się. Serce zabiło mu mocniej.

- To co? Pomożesz mi? Wciąż stała niezdecydowana.

- Powiedz: o co chodzi? - spytał łagodnie. Z trudem przełknęła ślinę.

- Nie licząc lekarza, żaden mężczyzna nigdy nie oglądał mnie nagiej. Nawet ty... Tamtej nocy nie zapalaliśmy światła.

- Rozumiem twoje skrępowanie. Jesteśmy do siebie podobni. Apacze to ludzie z natury wstydlivi. Nawet kiedy jako paroletni brzdąc bawiłem się w rzeczce z innymi chłopcami, zawsze miałem na sobie kąpielówki.

Uśmiechnęła się, ale nie wykonała żadnego ruchu, aby pozbyć się ubrania. Postąpił krok bliżej.

- Czuję się taki lepki, nieświeży... A na łóżku leży czysta pościel. Nie szkoda byłoby jej zabrudzić?

- Może szkoda - szepnęła. Serce waliło jej jak oszałałe.

Ciekawa była, czy Colby słyszy jego łomot.

Opuszką palca pogładził ją po policzku.

- Kiedyś byliśmy małżeństwem. Urodziłaś moje dziecko...

- Dobrze - westchnęła. - Udawaj, że nie widzisz moich rumieńców.

Odkręcił kran, sprawdził, czy woda nie jest zbyt gorąca, po czym ściągnął szybko bokserki i wszedł pod prysznic. Stał zwrócony do niej tyłem, z ręką przytkniętą do ściany.

- Pośpiesz się. Trochę mi się nogi trzęsą - rzekł zgodnie z prawdą.

Zdjęła bluzkę, buty, spodnie. Ciągle się wahała. Kiedy jednak zobaczyła, z jakim trudem Colby utrzymuje równowagę, przestała się wstydzić swej nagości. Czym prędzej ściągnęła bieliznę, z wieszaka wzięła dwie granatowe myjki i wsunęła się do kabiny.

Powiódł wzrokiem po jej ciele, zafascynowany jego idealnymi proporcjami: piersi miała jędrne, brzuch płaski, talię osy. Przymknął oczy i zaczął modlić się o to, aby osłabiony chorobą zdołał nad sobą zapanować.

Płonne marzenia. Zbyt długo nie miał kobiety.

Sarina opuściła wzrok, po czym czerwona jak piwonia, utkwiała oczy w jego owłosionym torsie.

- Ej, chyba musiałaś widzieć gołego mężczyznę choćby na zdjęciu w jakimś piśmie.

Podala Colby'emu myjkę.

- Golego tak, ale... nie tak podnieconego. Roześmiał się zadowolony. Położył myjkę na ramieniu, żeby mieć wolną rękę, po czym otworzył butelkę z płynem do kąpieli.

- Pewnie ma bardziej męski zapach niż te, których ty używasz - rzekł - ale jakoś sobie poradzimy. Możesz wyszorować mi plecy?

- Oczywiście. - Skrzywiła się z bólu na widok szerokich, pokrytych bliznami pleców. - Boże, masz na nich wypisaną całą historię swojego życia - szepnęła.

**Psiakrew! Zapomniał o bliznach!**

- Jeśli to jest dla ciebie nieprzyjemny widok...

- Nie wyglupiaj się - skarciła go. Odprężył się. Trochę był przewrażliwiony na punkcie swojego pokiereszowanego ciała.

Wzruszyła ją jego niepewność. Musiał ją głęboko skrywać, bo zawsze sprawiał wrażenie człowieka nieustraszonego, uparcie dążącego do celu. Uśmiechając się pod nosem, wolno przesunęła myjkę w dół. Tuż nad pośladkami ręka jej znieruchomiała.

- Tchórz - zażartował Colby. Zebrawszy się na odwagę, zaczęła szorować mu uda. Były twarde jak ze stali.

- Chyba codziennie się gimnastykujesz.

- Muszę. W moim zawodzie wiele zależy od sprawności fizycznej. Kiedy pracowałem u Huttona, bez przerwy ganiałem złodziei; parę razy miałem do czynienia z terrorystami. Zaledwie trzy lata temu, tuż za Waszyngtonem, doszło do wymiany ognia z grupą zamachowców.

**Przygryzła wargę.**

**- Nie zdawałam sobie sprawy, że twoja praca jest tak niebezpieczna.**

**- Jest niebezpieczna, jeżeli przestaje się być czujnym - stwierdził. - A ja za dużo piłem. Dlatego zapadłem na malarię. I dlatego straciłem rękę.**

**- Ale kiedy odkryłeś, że Bernardette jest twoim dzieckiem, nie wypileś nawet łyka.**

**Westchnął ciężko.**

**- Nie mógłbym jej tego zrobić - powiedział ochryple. - Ani jej, ani tobie. Już nigdy więcej nie sięgnę po alkohol. - Obróciwszy się, napotkał jej spojrzenie. Po chwili wyjął jej z dłoni myjkę. - Moja kolej.**

**Zaczerwieniła się. Sutki natychmiast jej stwardniały.**

**- Nie jesteś przyzwyczajona do dotyku - szepnął.**

**- To prawda - przyznała drżącym głosem.**

**- Biedny Rodrigo. Nic dziwnego, że ma taki wyglądniący wyraz twarzy. - Przesunął myjkę niżej.**

**- On... on mnie nie pociąga.**

**- A ja tak.**

**- Jesteś bardzo pewny siebie - rzekła, siląc się na lekki ton.**

**- To źle? - Odwrócił ją i zaczął myć jej plecy. Ledwo mogła wytrzymać. Ciepła woda, ręka ślizgająca się po mokrej skórze, fizyczna bliskość, przyśpieszony oddech... Z całej siły pragnęła przytulić się do Colby'ego. A on o tym wiedział. Był na tyle**

doświadczony, że wyczuwał jej pożądanie. Ale nie chciał jej wystraszyć; niech wszystko dzieje się w swoim tempie. Podał Sarinie myjkę, by ją wyplukala i powiesila, a sam sięgnął po szampon.

Przytrzymując zakrętkę w zębach, nacisnął butelkę nad głową Sariny, po czym jedną ręką rozprowadził szampon po jej długich jasnych włosach.

- Nieźle ci to idzie - pochwalila.

- Z czasem człowiek nabiera wprawy. Ustawił ją pod prysznicem, tak by strumień wody wyplukał z włosów pianę, następnie zamienili się miejscami.

- Twoja kolej - powiedział.

Wlala odrobinę szamponu we wgłębienie dłoni, odstawila butelkę i nagle uświadomila sobie, że musi wspiąć się na palce, by dosięgnąć głowy Colby'ego. Jakoś wcześniej nie zauwazyła, że dzieli ich tak duża różnica wzrostu. Przysunęła się bliżej. W momencie gdy uniosła ręce, niechcący dotykając piersiami jego torsu, Colby zeszywniał. Z jego gardła wydobyło się westchnienie.

- Strasznie dawno nie byłem z kobietą...

- Czy... - zawahała się, nie wiedząc, co ma zrobić. - Czy powinnam cię zostawić...?

- Nie. - Przytulil ją do siebie. Jego nabrzmiały członek wbijał się w jej brzuch. - Normalnie urodziłaś Bernardette? Nie przez cesarskie cięcie?

- Normalnie - szepnęła.

- Może... - Tym razem to on się zaczerwienił. - Może teraz bym się zmieścił?

Zadrżała z podniecenia. Przed oczami stanął jej obraz kochającej się pary. Colby wyplukał pianę z włosów, po czym schyliwszy głowę, przywarł ustami do rozchylonych warg Sariny. Po chwili wsunął lekko nogę pomiędzy jej uda. Niewątpliwie go pragnęła.

Niewiele się namyślając, zakręcił wodę. Osuszyli się nawzajem ręcznikami. Bez słowa podał Sarinie suszarkę do włosów. Nie musiał nic mówić, jego spojrzenie mówiło aż za wiele. Z trudem oddychała. Wciąż pamiętała ból sprzed siedmiu lat, ale jej ciało nic sobie z tego nie robiło. Marzyła, by leżeć naga na łóżku, poddawać się pieszczotom... Niczego by Colby'emu nie zabraniała.

Wyjął z kontaktu sznur suszarki. Sarina sięgnęła nieśmiało po ubranie. Nie pozwolił jej go podnieść, tylko zgarnął ją w ramiona.

- Nie będzie bolało - szepnął. - Przysięgam.

Ponownie zbliżył usta do jej ust, potem powędrował niżej, wzdłuż szyi i dekoltu do piersi. Drgnęła, wygięła plecy w łuk. To było jak narkotyk, któremu nie potrafiła się oprzeć. Pragnęła więcej i więcej. Pożądanie przepelniało każdą komórkę jej ciała.

Chwilę później Colby ujął ją za rękę i pociągnął w stronę łóżka, zamykając po drodze drzwi do sypialni.

- Colby... może nie powinniśmy - szepnęła, kiedy położył ją



na czystej pościeli.

- Nie wytrzymam, Sarino...

Wiła się z rozkoszy, delectowała dotykiem jego palców, języka, ust. Nigdy w życiu nie czuła takiego podniecenia, nawet w ciągu pierwszych minut nocy poślubnej, zanim zaczął się ból.

- Nie bój się - powtarzał cicho. - Zaufaj mi. Wchodził w nią powoli, tak by nie wyrządzić jej krzywdy. Wbiła paznokcie w jego ramiona, uniosła biodra. Pragnęła się z nim zespolić, czuć go całą sobą. Wbrew swoim oczekiwaniom - a zgodnie z tym, co Colby mówił - nie czuła najmniejszego bólu. Jedynie przyjemność.

- W porządku? - spytał, ciesząc się z jej reakcji.

- Och, tak. Jest wspaniale...

- A to dopiero początek.

Dopiero początek? Zdumiona otworzyła oczy. To co będzie później, skoro teraz ledwo mogła wytrzymać? Czuła, jak się unosi, jak z każdym pocałunkiem, z każdym oddechem, z każdym pchnięciem bioder zbliża się do kulminacji.

- Wolniej - szepnął Colby. - Przecież nigdzie nam się nie spieszy.

- Umieram... - załkała. - Błagam...

Uśmiechnął się, gotów spełnić każdą jej prośbę. Raz po raz doprowadzał ją do orgazmu. Drżała, wiła się, jęczała i błagała o więcej. Wciąż był słaby po chorobie, ale za nic w świecie nie chciał przestać. Wsunął poduszkę pod jej pupę. Sarina z całej siły oplótła go nogami w pasie. Tym razem oboje szczytowali; seria silnych

**dreszczy wstrząsnęła najpierw nią, potem nim.**

**Z trudem łapiąc oddech, opadł bezwładnie na jej wilgotne ciało. Objęła go za szyję, szczęśliwa i zaspokojona. Czegoś tak fantastycznego nie przeżyła nigdy w życiu. Nie sądziła, że tak wielka ekstaza jest w ogóle możliwa.**

**- Hej tam, wszystko dobrze? - usłyszała nad uchem.**

**- Cudownie.**

**Uniósł głowę. Włosy miał mokre tak jak ona, twarz odprężoną, spojrzenie czule. Szukał słów, aby wyrazić swe emocje. Nie mogąc znaleźć właściwych, zaczął obsypywać Sarinę pocałunkami.**

**Zadrżała z rozkoszy. Każdy jego ruch sprawiał jej przyjemność, wzmagał podniecenie. Przysunęła bliżej biodra. Powstrzymał ją.**

**- Nie - szepnął. - Będiesz obolała. Na razie starczy.**

**- Przepraszam - spieszyła się.**

**- Mógłbym kochać się z tobą godzinami.**

**- Jego ciemne oczy płonęły żarem. - Uwielbiam cię dotykać, całować, patrzeć, jak przeżywasz rozkosz. Ale później byś cierpiała.**

**Uśmiechnęła się nieśmiało. Pocałował ją w powieki, po czym powoli zaczął się z niej wysuwać. Wreszcie przewrócił się na wznak.**

**- Jeszcze godzinę temu uważałem się za kalekę.**

**Wsparta na łokciu, przyjrzała mu się uważnie.**

**- Dlaczego?**

**- Od czasu amputacji nie spałem z kobietą - wyjaśnił. - Bałem się. Nie byłem pewien, czy brak ręki nie będzie mi przeszkadzał.**

**- Nie przeszkadza...**

**- Niestety, nie jestem jeszcze w formie. Opuszką palca przeciągnęła delikatnie po jego wargach.**

**- Mam nadzieję, że seks ze mną ci nie zaszkodzi.**

**- Jeśli nawet, to co? Warto było. Utkwiła spojrzenie w jego twarzy.**

**- Poprzednim razem było... inaczej.**

**- Poprzednim razem byłaś dziewicą - powiedział cicho. - I to wystraszoną. A ja byłem po kilku drinkach. - Pokręcił głową. - Niedobrze mi na samą myśl o tym, ile bólu ci wtedy sprawiłem.**

**- To był trudny okres dla nas obojga. - Poglądziła go po ramieniu. - Czy... czy to normalne czuć tak wielką przyjemność?**

**- Raz czuje się większą, raz mniejszą. - Patrzył na nią z powagą w oczach. - Ale ja czegoś tak silnego jak dziś nie czułem nigdy. - Przewróciwszy się na bok, przyciągnął ją do siebie.**

**- Sen dobrze nam robi - dodał, gasząc lampkę nocną.**

**- Ale...**

**- Wiem, wiem, nie mamy na sobie piżamek.**

**- Roześmiał się cicho. - Nie klóć się z chorym. Wzdychając błogo, potarła nogą o jego nogę.**

**- Nie kuś - mruknął. - Jestem wycieńczony. Wtuliwszy nos w**

jego ramię, zamknęła oczy.

Po chwili spała kamiennym snem.

Kilka godzin później, kiedy siedzieli ubrani przy stole w kuchni, jedząc ciepłą zupę, Sarinę ogarnęły wyrzuty sumienia. Rumieńce wstydu wystąpiły jej na twarz. Co z tego, że kiedyś byli małżeństwem? Teraz byli rozwiedzeni.

Zauważył jej posępną minę. Zastanawiał się, co ją mogło spowodować, i nagle jęknął: psiakrew, jak mogli być tak nieostrożni!

- Co ci jest? - zapytała.

- Nie pomyślałem o zabezpieczeniu. Faktycznie; zachowali się jak para nieroztropnych dzieciaków.

- Boże! - szepnęła. Zacisnął rękę na jej dłoni.

- Nie martwmy się na zapas, dobrze? Cokolwiek się stanie, będziemy razem.

Skinęła wolno głową.

- Dopiero teraz odkrywamy siebie - ciągnął Colby. - Musimy sobie zaufać, nie mieć przed sobą tajemnic.

Nie mieć tajemnic? Łatwo powiedzieć. Podejrzewała, że gdyby znał prawdę, całkiem inaczej by na nią patrzył. Chciała mu się do wszystkiego przyznać, ale nie mogła. Zresztą bała się, że prawda może zburzyć tę cudowną i tak nieoczekiwaną bliskość, jaka się między nimi wytworzyła.

Kiedy o tym wszystkim rozmyślała, nie zdawała sobie sprawy, że Colby gani się w duchu za własne kłamstwa i

**niedopowiedzenia.**

**- Zgoda - rzekła po chwili, uśmiechając się czule.**

**Odwzajemnił uśmiech. Wkrótce będzie musiał wyjawić Sannie swoją przeszłość. Nie może tego odkładać w nieskończoność. Miał jedynie nadzieję, że to, czym się zajmował, nie zniechęci jej do niego.**

**Wcale nie chciała wracać do domu, ale po pierwsze, stęskniła się za córką, a po drugie, Colby już doskonale sobie radził sam. Poza tym w pracy nagromadziło się mnóstwo zaległości. Nadrabiała je pod czujnym okiem Rodriga, który nie pochwalał jej dobrego serca. Uważał, że nie powinna tyle czasu spędzać z Colbym.**

**- Nabierze podejrzeń - ostrzegł ją.**

**- Trudno - warknęła. - Nie sposób żyć wyłącznie pracą.**

**- Kiedyś twierdziłaś co innego.**

**- Posłuchaj, Colby jest ojcem Bernardette. Nie mogę go wyrzucić ze swojego życia.**

**- Nie? - Rodrigo zmrużył oczy. - A myślałaś o tym, jak zareaguje, kiedy się dowie, czym tak naprawdę się zajmujesz?**

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Poczuła, jak krew napływa jej do twarzy. Nie, nie myślała o tym, a przynajmniej starała się nie myśleć. Colby sądził, że jest zwykłą urzędniczką, że ma spokojną, bezstresową pracę. Ogarnął ją strach. Powinna była powiedzieć mu prawdę, bez względu na konsekwencje. Cholera, będzie miał jej za złe, że mu nie zaufała. No i będzie wściekły z powodu ryzyka, na jakie się naraża. Nie powinna się narażać ze względu na dziecko.

Rodrigo widział emocje, jakie się w niej kłębiły. Wziął głęboki oddech. Sarina znów zaczęła tracić głowę dla swojego byłego męża, a on nie umiał temu przeciwdziałać. Chociaż nie; może opamiętałaby się, gdyby zdradził jej, czym Colby dawniej się zajmował. Ale nie chciał łamać jej serca.

- Wkrótce będziesz musiała z nim szczerze pogadać - zauważył.

Popatrzyła na niego ze smutkiem w oczach.

- Przepraszam - szepnęła. - Wiem, że liczyłeś na to, że ty i ja...

Wzruszył ramionami.

- Pamiętaj, gdybyś kiedykolwiek potrzebowała pomocy, wystarczy jedno słowo...

- Żałuję, że nie byłam z nim szczerą od samego początku - powiedziała po chwili. - Nie mam pojęcia, jak zareaguje.

W głębi duszy Rodrigo wciąż się ludził, że może jeszcze nie wszystko stracone.

- Sarino, zbyt wiele czasu i energii zainwestowaliśmy w tę sprawę, żeby teraz zaprzepaścić szansę - rzekł.

- Wiem.

- Może po pracy wybralibyśmy się na strzelnicę? - spytał, wstając. - Warto poćwiczyć.

- To prawda. Poproszę Jennifer, żeby przez godzinę lub dwie przechowała Bernardette.

- A więc do zobaczenia.

Na strzelnicy spędzili nieco ponad godzinę. Pokonawszy współnika, Sarina uśmiechnęła się zadowolona.

- Nieładnie się tak cieszyć ze zwycięstwa - mruknął.

- Wiesz co? - Rozładowała broń. - Dobrze mi się z tobą współpracuje.

- Mnie z tobą też.

- Szkoda, że... Uniósł rękę.

- Przestań. Serce nie sługa.

- Fakt. - Ścisnęła go za ramię. - Dzięki za zrozumienie.

- Od czego w końcu są przyjaciele?

Colby nie zjawił się w pracy. Przez cały dzień nie kontaktował się też z Hunterem, o czym dowiedziała się, kiedy pojechała odebrać Bernardette. Chciała do niego zadzwonić, ale trochę się wstydziła. Nie była pewna, czy wypada. Może Colby żałował tego, co między nimi zaszło? Może dlatego się nie odzywał? To dziwne, pomyślała, że intymność stwarza tyle problemów. A może gorzej się poczuł i nie chce jej niepokoić?

**Może leży w łóżku i nie ma siły wstać?**

**Podniósłszy słuchawkę, wykręciła numer. Rozłączyła się jednak, kiedy na drugim końcu linii usłyszała sekretarkę automatyczną. Huntera też nie mogła złapać. Więcej nie próbowała dzwonić. Nie chciała martwić Bernardette, która wodziła za nią zalęknionym wzrokiem.**

**Ale nie mogła przestać myśleć o Colbym. Wieczorem upiekła dwa placki bananowe. Jeden włożyła do plastikowego pojemnika, który schowała pod gazetą w samochodzie, żeby Bernardette nie zadawała zbyt wielu pytań. Rano złapała telefonicznie Huntera. Dowiedziała się, że Colby czuje się dobrze i w poniedziałek wróci do pracy. Ale dlaczego sam do niej nie zadzwonił?**

**Była sobota. Bernardette miała spędzić cały dzień i noc z Nikki. Odwiózłszy córkę do Hunterów, Sarina postanowiła wstąpić do Colby' ego.**

**Ściskając w ręku pojemnik z ciastem bananowym, zapukała cicho do drzwi. Miała na sobie dżinsy i bluzkę, włosy zostawiła rozpuszczone, tak jak Colby lubił. Modliła się w duchu, żeby nie był zły z powodu jej niezapowiedzianej wizyty.**

**Kiedy drzwi się otworzyły, przeżyła szok. Jej oczom bowiem ukazała się śliczna młoda blondynka ubrana jedynie w szlafrok.**

**- Słucham? - spytała, uśmiechając się uprzejmie.**

**Sarina otworzyła usta, ale nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Czyli dlatego Colby nie dawał znaku życia! Prosto od niej udał się do innej, do blondynki w szlafroku, tak jak siedem lat**



temu zostawił ją dla Maureen. Dlaczego uważała, że się zmienił? Mężczyzna, który zdradza, nigdy się nie zmieni. Powinna o tym wiedzieć.

Dostrzegłszy speszzenie oraz złość w oczach Sariny, nieznajoma zawahała się. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, w drzwiach pojawił się Colby. Miał mokre włosy, owinięty był w pasie niebieskim ręcznikiem.

- Cecily, zamierzałem ci powie... - Urwał, otworzył usta i poczerwieniał. Tu on z Cecily, świeżo wykąpani, a naprzeciw ona, przybita i załamana. - Sarina...?

Przełknęła ślinę i z trudem wzięła się w garść.

- Upiekłyśmy z Bernardette dwa placki bananowe. Prosiła, żebym ci jeden podrzuciła. - Kłamała jak z nut. - Wyglądasz już znacznie lepiej.

Milczał. Wyraźnie brakowało mu słów. Zresztą domyślał się, o co Sarina go podejrzewa, i wiedział, że w tym momencie na pewno nie będzie słuchać żadnych wyjaśnień. Przecież stał owinięty ręcznikiem, a obok kobieta ubrana jedynie w szlafrok...

- Smacznego. - - Wcisnąwszy pojemnik do rąk Cecily, Sarina odwróciła się i wybiegła na ulicę.

Cecily zamknęła drzwi. Przyjaźniła się z Colbym od dawna, widziała jego zrozpaczoną minę. Wzięła głęboki oddech. Chciała, by jej mąż Tate wyszedł wreszcie spod prysznica.

- Colby, kto to był? - spytała cicho.

- Moja była żona - odparł, nie patrząc na nią. Była żona? -

**Zmarszczyła czoło.**

**- Dwa razy brałem ślub. Pierwszy raz z Sarina - wyjaśnił ponurym tonem. - Mam siedmioletnią córeczkę, Bernardette.**

**Cecily wysunęła od stołu krzesło i usiadła. Tate Winthrop wszedł do pokoju, wycierając ręcznikiem swoje długie włosy. Był Siuksem i znacznie bardziej przypominał z wyglądu rdzennego mieszkańca kontynentu północnoamerykańskiego niż Colby.**

**- Co się dzieje? - spytał, przenosząc spojrzenie z żony na przyjaciela.**

**- Przed chwilą wpadła tu była żona Colby'ego - odparła Cecily. - Zobaczyła nas nieubranych i...**

**- Maureen? Niemożliwe. Przecież razem z mężem jest w drodze do Nassau. Dlatego prosiła, żebym przekazał Colby'emu...**

**- To nie była Maureen - sprostował Colby.**

**- Otóż twój przyjaciel był dwukrotnie żonaty - wyjaśniła Cecily. - Z pierwszą żoną, która jest blondynką, ma córkę.**

**- Córkę? - zdziwił się Tate. - Chyba mam gorączkę. - Przytknął rękę do czoła.**

**- Jedno drugiego nie wyklucza - stwierdziła jego żona. - Colby, wiedziałeś o córce?**

**Potrząsnął głową.**

**- Nie. Odkryłem to parę dni temu. Przeżyłem szok.**

**- Psiakrew... No, nie stój tak. Jedź do niej. Możesz zrobić nam zdjęcie i wszystko jej wytłumaczyć.**

**Znów potrząsnął głową.**

- Niech ochłonie. Wzburzona nie będzie chciała mnie słuchać.
- Zmuś ją - wtrącił Tate.
- Łatwo ci mówić. - Colby zawahał się.
- Dam jej kilka minut. Niech wróci do domu i się trochę uspokoi. Potem do niej zadzwonię.

Miał jedynie nadzieję, że słysząc jego głos, Sarina nie rzuci słuchawki. Bo na widok Cecily na pewno przypomniała sobie, jak siedem lat temu prosto od niej pojechał do Maureen. Uzna, że historia się powtarza. Zwłaszcza że nie zadzwonił do niej, odkąd spędzili razem noc. A on po prostu się bał. Wstydził się, że tak bezczelnie ją uwiódł. Zamierzał odezwać się dziś, ale teraz było już za późno. Spojrzenie, jakie mu posłała, było aż nadto wymowne. Nie uwierzy mu, że nic go nie łączy z Cecily.

Cecily obserwowała go spod oka; widziała, jak Colby się waha, jak walczy sam ze sobą. Chciała mu powiedzieć, że popełnia błąd, że nie powinien zwlekać ani minuty. Ale było za późno: odwrócił się i znikł za drzwiami sypialni. Popatrzyła na męża. Oboje zdawali sobie sprawę, że w Colbym nadal tkwią silne skłonności do autodestrukcji. Wprawdzie odstawił alkohol, ale jeszcze nie pokonał swych demonów.

Parę minut później wykręcił numer Sariny. Tak jak się spodziewał, odłożyła słuchawkę. Spróbował zadzwonić na jej komórkę, ale nie uzyskał połączenia. Wysłał SMS - a, licząc na to, że go przeczyta.

Przyjaciele mieli wyjechać nazajutrz z samego rana.

Postanowił, że wtedy wybierze się do Sariny i spróbuje przemówić jej do rozsądku. Wciąż był osłabiony, kręciło mu się w głowie, ale uznał, że zdoła wsunąć nogę w drzwi i nie da się wyrzucić. Nie wierzył, by Sarina zapomniała, jak cudownie im było razem. Wprawdzie nie mówił, co do niej czuje, ale musiała się domyślać. Tak, wszystko będzie dobrze.

Niestety los zdecydował inaczej. Około południa zadzwonił Hunter.

- Jesteś na tyle zdrowy, żeby wziąć udział w akcji?

- Jasne - skłamał Colby, któremu znudziła się bezczynność. -

O co chodzi?

- Dostaliśmy cynk. Wieczorem coś się ma wydarzyć w magazynie. Chłopaki z brygady antynarkotykowej zastawiają pułapkę. Przydałbyś się do pomocy.

- W porządku. Gdzie mam się stawić i o której? - Wysłuchawszy odpowiedzi, zapewnił Huntera, że może na niego liczyć, po czym odłożył słuchawkę. - Muszę iść - zwrócił się do Cecyli i Tate'a. - Chodzi o sprawę, która ciągnie się od dawna. Może dziś uda się ją pomyślnie zakończyć.

- Nie daj się zastrzelić, póki nie pogodzisz się z Sariną - rzekła Cecyli. Wyjęła z torebki zdjęcie, na którym ona z Tate'em tuli swojego synka. - Trzymaj. Może to ją przekona.

- Dzięki. - Schował fotografię do portfela.

- Będzie dobrze. Zobaczysz.

- Jeszcze nie straciłem nadziei. - Colby uściskał przyjaciół. -

Wicie, nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo pragnę mieć dziecko, dopóki nie okazało się, że jestem ojcem Bernardette. Chciałbym, żebyście ją poznali...

- Następnym razem - odrzekł Tate. - Wkrótce znów cię odwiedzimy.

- Trzymam cię za słowo. No dobra, muszę się zbierać. - Skierował się do sypialni.

- Jeszcze jedno... - Tate podszedł za przyjacielem. - Przed wyjazdem z Waszyngtonu rozmawiałem z Maureen.

- Ona mnie już nie interesuje.

- Wiem, ale muszę ci o czymś powiedzieć. - Zamknąwszy drzwi, Tate wyjął z kieszeni grubą kopertę i położył ją na komodzie. - To dla ciebie. Od niej.

Colby sięgnął po kopertę lekko zirytowany.

- Co to? Dokument stwierdzający unieważnienie małżeństwa? Podpisany przez Sarinę, ale...

- Nagle wytrzeszczył oczy. - Ale brakuje mojego podpisu! - zawołał, patrząc na puste miejsce.

- Myślałem, że stary Carrington wszystko załatwił. Nie było mnie wtedy w kraju, a Maureen powiedziała, że podpisała się za mnie... Skłamała...

- Nie zastanawiałeś się nigdy nad swoim drugim ślubem? Z tego, co wiem, nie musiałeś pokazywać żadnego dowodu tożsamości, a potem nie dostałeś do ręki aktu małżeństwa...

Colby poczuł dziwne ukłucie w sercu.

- Wyrzucić to wreszcie z siebie.

- Maureen przyznała, że wasz ślub był nielegalny. Fikcyjny. Testament jej pierwszego męża zawierał klauzulę stwierdzającą, że w wypadku powtórnego zamążpójścia Maureen niczego nie dziedziczy.

- Firma ubezpieczeniowa nigdy nie wypłaca pieniędzy, jeśli delikwent popełnia samobójstwo - zauważył przytomnie Colby.

- Zgoda. Ale ja mówię o testamencie. Facet zostawił trochę forsy na koncie, miał też papiery wartościowe. Maureen nie zamierzała z nich zrezygnować.

Colby zamyślił się.

- To znaczy... że nadal jestem mężem Sariny?

- Tak. Maureen nie miała odwagi powiedzieć ci tego osobiście. Zresztą, jak to ujęła, nie planowała spędzić z tobą reszty życia.

- Wiem. Niedługo później spodobał jej się pewien bankier, syn milionera, który w przyszłości odziedziczy po ojcu fortunę.

- Wyszła za niego i urodziła mu dziecko.

Colby pokiwał głową. A jemu Maureen wmawiała, że jest bezpłodny. Psiakrew! Popatrzył na plik kartek, które trzymał w dłoni. Hm, jak ma powiedzieć Sannie, że wciąż są małżeństwem, skoro ona znów czuje się przez niego zdradzona?

Jego rozmyślenia przerwał Tate.

- Ciekawe, dlaczego ojciec Sariny nie dopilnował unieważnienia małżeństwa córki?

- Pewnie sądził, że adwokat się wszystkim zajmie. On zawsze wszystko zlecał innym. Dla niego ważne było to, że zniknąłem z życia jego kochanej jedynaczki. Kochanej, dopóki nie okazało się, że jest w ciąży. Wtedy wyrzucił ją z domu. O mało nie straciła dziecka. Była chora, nie miała grosza przy duszy. A ja o niczym nie wiedziałam. Zadzwoiła do mnie, kiedy byłem w Afryce. Rozmawiała z Maureen, która w niedwuznacznych słowach oświadczyła jej, żeby nigdy więcej nie próbowała się ze mną kontaktować.

Tate westchnął ciężko.

- Maureen wykazała się inteligencją, przekazując te papiery przez ciebie - stwierdził ponuro Colby.

- Gdyby wiedziała, że widzisz się z Sariną, pewnie w ogóle by ci ich nie dała... Los potrafi płatać figle.

- To prawda.

- Jaka jest twoja córka?

Twarz Colby'ego rozpromieniła się.

- Podobna do mnie. Uparta, dumna, nieustraszona. I mądra, jak jej mama.

- A jeśli chodzi o mamę, to czym się zajmuje?

- Pracuje jako urzędniczka w przedsiębiorstwie naftowym.

- Czyli nie należy do kobiet robiących karierę?

- Dzięki Bogu. - Colby sięgnął do szafy po ubranie. - Nie mógłbym być z kimś, kto pracę stawia na pierwszym miejscu.

Zanim Colby skończył się ubierać, Tate wiedział prawie

wszystko o Bernardette. Zawsze uważał, że Colby byłby świetnym ojcem. Przed laty bał się, czy przyjaciel nie podbije serca jego ukochanej, ale na szczęście tak się nie stało. Cecily darzyła Colby'ego sympatią, ale kochała jego, Tate'a. Od kilku lat tworzyli udany związek małżeński.

- A Sarina? Jak wygląda? Colby rozciągnął usta w uśmiechu.

- Jest śliczną drobną blondynką o ciemnych oczach. I wspaniałą matką.

- Szkoda, że nie mogliśmy jej poznać.

- Przykro mi, że tak głupio wyszło. - Na moment Colby zamilkł. - Chciałem do niej pojechać, ale nie mogę zawieść Huntera. Jest szansa, że rozbijemy gang.

- Uważaj na siebie.

- Jasne. - Colby poklepał przyjaciela po ramieniu. - Wrócę późnym wieczorem.

- W razie czego zatrzaśniemy za sobą drzwi - powiedział Tate. - Ale o wszystkim będę chciał usłyszeć: i o tym, jak ci poszło z Sanną, i o tym, jak porachowaliście kości gangsterom.

- Masz to jak w banku. Jeśli was nie zastanę, to pogadamy przez telefon.

Podjechał do *firmy* i zaparkował wóz przy samochodzie Huntera. Sprawdził, czy ma broń, ze schowka wyciągnął zapasowy magazynek, po czym wysiadł i zatrzasnąwszy drzwi, wszedł do budynku.

W gabinecie Rittera zebrali się: szef we własnej osobie,



Hunter, dwóch agentów DEA, w tym Alexander Cobb, oraz pięciu facetów z brygady specjalnej SWAT. Hunter przedstawił zebranym Colby'ego, po czym odciągnął go na stronę.

- Jesteś blady - zauważył cicho. - Jeśli nie czujesz się na siłach, powiedz wprost.

- Gdybym się nie czuł na siłach, tobym nie przyjechał. Nie narażałbym innych na niebezpieczeństwo. Chyba o tym wiesz.

Hunter poklepał go po plecach.

- W porządku. - Wyciągnął zza pasa używany przez jednostki specjalne pistolet maszynowy HK MP - 5 i podał go Colby'emu.

- Nikt się do nas za to nie przyczepi?

- Spokojna głowa. W końcu mamy osłaniać agentów rządowych. - Hunter uśmiechnął się.

- Jasne. - Colby schował do kabury swojego glocka, potem sprawdził magazynek w MP - 5 i zabezpieczył broń.

Alexander Cobb poprosił o ciszę.

- Dwoje naszych ludzi przebywa w magazynie. Teoretycznie sprawdzają coś dla Rittera. Jeżeli zauważą coś podejrzanego...

W tym momencie zadzwoniła jego komórka. Cobb przytknął ją do ucha.

- W porządku, jedziemy. - Rozłączywszy się, zwrócił się do zgromadzonych w pokoju mężczyzn. - Zaczęło się. Ruszamy. Tylko nie pozabijajcie się nawzajem.

Mężczyźni pośpiesznie włożyli kurtki z charakterystycznym

białym napisem. Colby z Hunterem wymienili spojrzenia. Spośród całej grupy tylko oni dwaj niczym się nie wyróżniali.

Wsiadli do kilku samochodów - Colby zabrał się z Hunterem - i z piskiem opon ruszyli na koniec ulicy, gdzie znajdował się główny magazyn Rittera.

Na oświetlonym parkingu, przy rampie dostawczej, stała furgonetka. Nikogo przy niej nie było. Agenci wyciągnęli broń. Zbliźali się do wejścia, kiedy w magazynie ponownie rozległy się strzały.

Zwolniwszy na moment, Colby wydobył pistolet.

- Proszę stać! - usłyszał za plecami głos policjanta. - Kim pan jest i co tu robi? Kazano nam czekać na rozkazy.

- Jestem zastępcą szefa ochrony w Ritter Oil.

- W porządku - mruknął pogardliwie policjant. - Tylko niech pan nie płącze się nam pod nogami.

Colby zmierzył faceta lodowatym spojrzeniem.

- Pan, kolego, niech sobie czeka na rozkazy. Ja wchodzę.

Zanim policjant zdążył zaprotestować, Colby wbiegł do środka, trzymając broń gotową do strzału. Zza pudeł ustawionych na wysokich drewnianych regałach natychmiast otworzono ogień.

Colby przetoczył się po podłodze, oddając dwa strzały. Jeden z bandytów upadł na ziemię. Colby poderwał się i pognął przed siebie. Czuł się w swoim żywiole. Jak przez mgłę słyszał za sobą kroki policjanta, pod ścianą zaś widział pochylone sylwetki facetów z brygady antyterrorystycznej.

Zastanawiał się, gdzie się podziwają dwoje tajniaków Cobba, ale nie miał czasu ich szukać.

Przytknął palec do słuchawki w uchu, ale urządzenie umożliwiające mu kontakt z Hunterem i z grupą DEA nie działało. Sięgnąwszy za siebie, wyczuł na szyi zwisający drut. Psiakrew! Połączenie było zerwane.

Kolejny przemytnik otworzył ogień.

Colby czmychnął za stertę pudeł i zamknął oczy. Nasłuchiwał. Z góry dobiegło go skrzypienie, z tyłu zaś czyjś głośny oddech. Obrócił się błyskawicznie i wcelował lufę prosto w nos policjanta. Ten odskoczył, a Colby zaklął siarczyście. Następnie skierował broń do góry i oddał serię w kierunku przemykającego cienia. Rozległ się krzyk bólu, a potem głuchy łoskot.

Ignorując zdziwione spojrzenie policjanta, Colby ruszył przejściem między pudłami. Dawno temu przekonał się, że rytmiczne kroki zdradzają obecność człowieka, dlatego mimo gumowych podeszew biegi zygzakiem. Policjant biegł w ślad za nim.

Co msz padały pojedyncze strzały. Oby tylko żaden nie trafił Huntera. Przeklęta słuchawka! Gdyby działała, miałby łączność z innymi. A tak nie wiedział, gdzie się znajduje brygada SWAT ani jak wyglądają pracujący w cywilu agenci Cobba. To będzie cud, jeśli cała akcja zakończy się sukcesem.

Pomyślał o Sarinie i Bernardette; o tym, jak smutne będzie

jego życie, jeśli nie pogodzi się z Sariną. Ale szybko odsunął te myśli od siebie. Teraz musi skupić się na tym, co się dzieje tu i teraz.

W przejściu pojawiło się dwóch mężczyzn. Jednego Colby postrzelił w nogę.

- Złatw drugiego! - polecił policjantowi.

Rozległ się huk. Potem dwa kolejne - każdy z innej broni. Colby dawno nauczył się rozpoznawać, skąd dany dźwięk pochodzi. Za zakrętem dostrzegł ubranego na czarno faceta znikającego za stertą pudeł oraz drugiego w czapce baseballowej i kurtce DEA, który leżał na podłodze, zgięty z bólu.

Rozglądając się wkoło, Colby podbiegł do rannego i kucnął obok.

- Jesteś ranny?

- To niegroźne draśnięcie - odparł znajomo brzmiący żeński głos. - Nie siedź tu, tylko łap tego skurwiela!

Colby spojrzał na czerwoną z wściekłości twarz. Spod czapki baseballowej wysuwały się kosmyki długich blond włosów.

- Sarina? - zdumiał się. - Do jasnej cholery, co ty tu robisz?

- Nieważne - warknęła. - Brody Vance do mnie strzelał. Współpracuje z tą bandą. Goń go!

- Jesteś ranna... - Patrząc na rozdarty rękaw kurtki, usiłował dopasować obraz kobiety agentki do obrazu kobiety urzędniczki.

- Mówię ci, tylko mnie drasnęli! Nic mi nie jest. Nie pozwól Vance'owi uciec. I przypadkiem nie strzelaj do Rodriga, on jest z

**nami.**

**Dołączył do nich policjant.**

**- Ja się nią zajmę - obiecał, ściągając krawat. - A ty leć!  
Jesteś lepiej uzbrojony... - Wskazał na MP - 5.**

**Posyłając Sarinie zdesperowane spojrzenie, Colby poderwał się na nogi i pognął za Brodym Vance'em.**

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z trudem skupił się na zadaniu. Widok rannej Sariny, a także odkrycie, iż na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pracuje ona w agencji do walki z narkotykami, wstrząsnęły nim do głębi. Trzymała w ręce pistolet, czyli najwyraźniej potrafi się nim posługiwać.

Cholera! Okłamała go. Słowem nie zdradziła mu, kim jest. Udawała, że wykonuje jakąś nudną, urzędniczą pracę, podczas gdy w rzeczywistości jako agentka DEA brata udział w niebezpiecznych akcjach. Rany boskie, przecież ma dziecko! Co by było, gdyby...?

Im dłużej o tym rozmyślał, tym większa ogarniała go złość. Nagle na drugim końcu magazynu usłyszał przytłumione strzały. Ruszył w ich kierunku. Gdyby w tym momencie w jego polu widzenia pojawił się któryś z bandziorów, nie miałby szansy.

Przywierając plecami do zastawionych pudłami regałów, ostrożnie wychylił się, żeby sprawdzić kolejne przejście. Jego oczom ukazał się Ramirez z uniesionymi do góry rękami. Miał na sobie czarną kurtkę, taką samą, jakie nosiła reszta agentów. Raptem wszystko stało się jasne. Rodrigo i Sarina nie byli kochankami, tylko partnerami. Przypuszczalnie to o nich mówił rano Cobb. Ciekawe, czy Hunter wiedział...?

Colby zacisnął zęby. Nie ma czasu na rozważania. Musi działać, i to szybko. Rodrigowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Jeden ze zbirów trzymał go na muszce i

perorował po hiszpańsku do telefonu.

Kiedy mężczyzna na moment spuścił wzrok, Colby wyskoczył na środek przejścia i powalił go strzałem z nad biodra. Następnie z wycelowaną bronią, nie zwracając uwagi na Ramireza, podszedł do leżącego.

- Gadaj! - rozkazał po hiszpańsku. - Gdzie Vance?

Bandzior skrzywił się. Jedną ręką usiłował zatamować krew, w drugiej ścisnął komórkę. Sprawnym kopniakiem Colby pozbawił go komórki, po czym kucnął obok i przytknął kciuk do jego tętnicy szyjnej.

- Albo mi powiesz, albo zaraz wyzioniesz ducha.

Handlarz widział po oczach Colby'ego, że ten nie żartuje. Przełknąwszy ślinę, wydusił z siebie, że Vance zamierza wsiąść na barkę zacumowaną w kanale tuż za magazynem. W tym samym momencie Rodrigo wyciągnął bandziorowi z za pasa pistolet, który mu tamten odebrał.

- To znaczy, że musimy przedrzeć się przez grupę cywilów - rzekł do Colby'ego.

Colby wstał.

- Jesteś z DEA - oznajmił chłodno. - Tak jak Sarina.

- Owszem - odparł Latynos, z trudem hamując gniew. - A ty nie masz nic wspólnego z żadnym wywiadem wojskowym. Twoja twarz wydawała mi się znajoma, ale dopiero teraz, kiedy przemawiałeś do tego *pendejo* - wskazał na leżącego - przypomniało mi się, gdzie cię wcześniej widziałem. To było sześć

lat temu w Afryce. Cy Parks sprowadził cię, żebyś przesłuchał więźnia. Nigdy tego nie zapomnę. Zastosowałeś dość... hm, niekonwencjonalną metodę, ale informacje, które zdobyłeś, uratowały nam życie.

Colby'emu stanął przed oczami obraz mężczyzny w mundurze polowym i ciemnych okularach, który wchodził w skład innej paramilitarnej grupy dowodzonej przez Dutcha, Archera i Laremosa.

- Byłeś w grupie Archera? Rodrigo skinął głową.

- A ty w grupie Parksa. Obaj byliśmy najemnikami.

- Sarina wie?

- Nie. - W oczach Latynosa pojawił się błysk niechęci. - Ani o tobie, ani o mnie.

Colby milczał zdziwiony, że Ramirez go nie wydał.

- Nawet jak jej powiesz, niczego nie osiągniesz. „Od trzech lat tworzymy z Sariną zgrany zespół.

- Pracujecie w DEA - rzekł lodowatym tonem Colby. - Chryste! Przecież ona ma małe dziecko!

Rodrigo podejrzewał, że Colby będzie zły, kiedy odkryje prawdę, ale nie spodziewał się aż takiej wściekłości.

- Dobra, nie mamy czasu na pogaduszki. Musimy złapać Vance'a.

- Gdzie jest Sarina? - spytał Latynos.

- Ranna, na szczęście niegroźnie. Został z nią miejscowy gliniarz.



Rodrigo koczyło, by zawrócić, sprawdzić, czy Colby nie kłamie, ale pohamował się. Znał swoje obowiązki.

- Dlaczego ja mam zwykły pistolet, a ty maszynowy? - spytał nagle.

- Hunter mi go dał - odparł z wyższością Colby. - Widocznie mnie lubi.

- Mnie też lubi.

- Tak? Ale mnie bardziej. Dobra, ruszajmy... Po paru krokach coś sobie przypomniał. - Jeśli twój nadajnik działa, uprzedź innych, dokąd idziemy.

Rodrigo spełnił jego polecenie.

W kanale stało mnóstwo statków, kutrów, barek, a wokół kręciły się chmary cywili.

- Cholera jasna! - prychnął Colby. - Która to?

Rodrigo milczał. Porównywał nazwy zacumowanych jednostek z nazwami figurującymi na listach przewozowych.

- Ta czarna - powiedział w końcu. - „Bogota”.

- Jesteś pewien?

- Głowy nie dam... - Skreślił pośpiesznie w jej kierunku. - Ale Cara Dominguez pochodzi z Kolumbii.

- Słusznie - przyznał Colby. Rodrigo wetknął broń do kabury.

- Schowaj gnata - poradził Colby'emu. - Jeśli domyśla się, że szukamy Vance'a, nie wpuszczą nas na pokład.

- Sani im to powie. Żeby nas nie wpuszczali. Rodrigo zdjął

**firmową kurtkę i położył ją na skrzyni.**

**- Niekoniecznie. Pewnie się ukrywa w ładowni; nawet nas nie zauważy.**

**- Cholera! Jak my się tam dostaniemy? Masz pomysł?**

**Latynos wyszczerzył zęby w uśmiechu.**

**- Owszem, mam. - Nie zwracając uwagi na zaciekawione spojrzenie Colby'ego, podszedł do kapitana, który z dwoma mężczyznami sprawdzał listę przewozową. - Dzień dobry - powiedział po hiszpańsku. - Rozumiem, że skończyście załadunek i wkrótce wypływacie?**

**- Zgadza się. - Kapitan łypnął na niego podejrzliwie. - A panom co do tego?**

**Rodrigo wyciągnął portfel i machnął kapitanowi przed nosem odznaką - machnął na tyle szybko, by ten nie mógł nic przeczytać.**

**- Jesteśmy z urzędu celnego i imigracyjnego. Mamy powody przypuszczać, że na waszym statku przebywa dwóch nielegalnych imigrantów.**

**Kapitan wyraźnie się odprężył.**

**- Imigrantów? Może. - Wzruszył ramionami.**

**- Zatrudniając ludzi, nie przeprowadzam dochodzenia. Jak się nazywają ci, których szukacie?**

**- Nie znamy nazwisk. Mamy jedynie rysopisy i zdjęcia.**

**Kapitan spojrział na zegarek.**

**- Jestem już spóźniony...**

- Proszę wpuścić nas na pokład. Mój asystent - Rodrigo wskazał na Colby'ego - i ja uporamy się z tym w kwadrans. A wszystko potrwa znacznie dłużej - dodał, widząc wahanie na twarzy kapitana - jeżeli będę musiał zadzwonić do swoich przełożonych i poprosić ich o pomoc.

- W porządku - zgodził się kapitan, świadom, że odmowa może wzbudzić podejrzenia. - Daję panom kwadrans.

- Oczywiście.

- Nieźle sobie poradziłeś - pochwalił Colby, kiedy weszli na pokład.

- Kwestia doświadczenia. Parę lat temu rozpracowywałem od środka organizację Lopeza. Sporo się nauczyłem o handlu narkotykami.

Jego słowa wywarły na Colbym wrażenie.

- Cy Parks wspomniał o jakimś tajnym agencie. Pewnie chodziło mu o ciebie...

- Tak. Mój kuzyn pracował dla Lopeza. Zginął tuż po ataku w Jacobsville. - Rodrigo westchnął. - Lopez zabił również moją siostrę. Była kelnerką w nocnym klubie. Zaczął się do niej zalecać, ona stawiała opór, więc ją załatwił.

Przykro mi - mruknął Colby.

- Mogło trafić na mnie, ale miałem szczęście.

- Rodrigo wzruszył ramionami. Nie wspomniał, że Alexander Cobb wpadł w furję, kiedy dowiedział się, że on, Ramirez, jest jednym z dwóch tajnych agentów DEA. Mieli z sobą na pieńku,

**odkąd po śmierci siostry Rodrigo przetrząsnął cały jego gabinet.**

**Krażyli wśród marynarzy, którzy nie wiedzieli, co myśleć o dwóch obcych facetach przechadzających się po pokładzie.**

**- Jeśli Vance nas zobaczy, rzuci się do ucieczki. To on strzelał do Sariny, a napaść na urzędnika federalnego...**

**- Jest przestępstwem - dokończył Rodrigo.**

**- Musimy go złapać żywego.**

**- Żywego, ale...**

**- Żadne ale. Potrzebujemy go, żeby dorwać jego współników, choćby Carę Dominguez. Vance nas do niej doprowadzi.**

**- Masz rację - przyznał niepocieszony Colby.**

**- Myślisz, że nie chciałbym drania ukatrupić? Bardzo bym chciał, ale teraz nie możemy.**

**Colby'emu poprawił się humor.**

**- Później moglibyśmy udać szeryfów federalnych i zaproponować, że przetransportujemy Vance'a z więzienia do budynku sądu...**

**Rodrigo zdusił śmiech.**

**- Ciągłe masz mentalność najemnika, Lane. Tu, w Stanach, trzeba przestrzegać prawa.**

**- Prawo można lekko nagiąć.**

**- Nie dlatego odesłano cię z Afryki? Za naginanie prawa podczas przesłuchań więźniów?**

**- Przecież nikogo nie obdarłem ze skóry.**

**- To prawda, ale... Uważaj. - Przystanęli obok drabiny**

**prowadzącej do ładowni. - Vance wciąż jest uzbrojony.**

**Colby wsunął rękę pod kurtkę, gdzie trzymał pistolet maszynowy.**

**- Powinni mi byli dać taki sam - mruknął niezadowolony Rodrigo.**

**Zeszli do ładowni. Colby dał na migi znać, by Rodrigo przesunął się w prawo. Stali bez ruchu, niemal nie oddychając. Na szczęście mieli podobną przeszłość; potrafili wtopić się w tłum. Gdyby któryś z nich był mniej doświadczony, odrobinę bardziej nieostrożny, zginęliby. Nieopodal bowiem dwóch uzbrojonych zbirów rozmawiało z Brodym Vance'em, który drżąc ze strachu, nerwowo przeczesywał ręką włosy.**

**- Rozpoznali cię? - spytał wyższy z mężczyzn. Mówił po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem.**

**- Nie! Na pewno nie. To znaczy agent DEA, którego postrzeliłem, taki chudy blondyn o znajomej twarzy, widział mnie, ale z daleka. Nie mógł mnie rozpoznać. Zresztą... - Nagle Vance jęknął. - Psiakrew! A jeśli gość nie żyje?**

**- To nie nasz problem - oznajmił niższy zbir głosem pozbawionym akcentu. - Jeśli cię jednak nie rozpoznano, to możesz spokojnie wrócić do Ritter Oil.**

**- Nie! Domyśla się! Trafię za kratki! Wyższy facet wycelował w Vance'a.**

**- Wolisz umrzeć?**

**- Błagam! Nie zabijajcie mnie!**

Colby intensywnie myślał, co robić. Mogą z Rodrigiem otworzyć ogień, wykosić wszystkich trzech... Ale jeżeli Vance sądzi, że go nie rozpoznano, to faktycznie przyda im się żywy. Facet jest tchórzem; należy to umiejętnie wykorzystać.

Zerknął przez ramię: spojrzenie Rodriga utwierdziło go w tym przekonaniu. Czyli zgadzają się. Wskazał brodą drabinę. Ramirez bez słowa cofnął się kilka kroków i zaczął bezgłośnie wspinać. Colby ruszył za nim.

Zeszli po trapie na nabrzeże.

- W porządku. - Rodrigo uśmiechnął się do kapitana. - Na pokładzie nie ma żadnych nielegalnych imigrantów.

Kapitan odetchnął z ulgą, a Rodrigo z Colbym skierowali się do magazynu.

- Wykazałeś się sporym rozsądkiem. - Colby zwolnił przed magazynem, wokół którego kręcili się ludzie z DEA, brygada antyterrorystyczna i policja. - Miałem nadzieję, że dojdiesz do tego samego wniosku co ja: że Vance jest cenniejszy na wolności niż w pierdłu.

- O wiele cenniejszy - przyznał Rodrigo.

- Zaraz pogadam z Cobbem, należą mu się ode mnie przeprosiny. Ale najpierw chcę sprawdzić, co z Sariną.

Weszli razem do hali. Colby wiedział, że Sarinie nic nie grozi; ma lekką, powierzchowną ranę i to wszystko. Ale kotłowały się w nim różne emocje: wyrzuty sumienia, niepokój, wściekłość.

Lekarz opatrywał jej ramię. Podniosła głowę, wyraźnie

**jednak unikała spojrzenia Colby'ego.**

**- Wszystko w porządku? - spytał z zatroskaniem Rodrigo, kucając obok niej.**

**Na widok uśmiechu, jakim obdzieliła Latynosa, Colby zacisnął pięści.**

**- Tak, nic mi nie będzie. - Położyła rękę na jego ramieniu. - A ty?**

**- Cały i zdrów.**

**- Złapałeś Vance'a? - zwróciła się do Colby'ego, po raz pierwszy, odkąd wrócił z nabrzeża, patrząc mu w oczy.**

**- Nie. Nie rozpoznał cię. Będziemy udawać, że nie wiemy o jego roli i liczyć na to, że doprowadzi nas do Dominguez.**

**Zacząła gniewnie protestować, ale Rodrigo przerwał jej w pół słowa.**

**- Colby ma rację - rzekł stanowczym tonem.**

**- Vance'a trzeba zostawić na wolności.**

**- Facet do mnie strzelał! - W jej oczach była furia. - Napaść na funkcjonariusza jest przestępstwem! - Nagle utkwiała wzrok w swoim współniku. - Dlaczego bierzesz jego stronę? - spytała, wskazując Colby'ego.**

**- Uratował mi życie - przyznał z ociąganiem Rodrigo. - Jeden z gangsterów trzymał mnie na muszce. Colby postrzelił go, a potem wypytał o Vance'a.**

**- O cholera! - zaklął Colby.**

**- Co? Żałujesz, że mnie uratowałeś?**

- Nie. Ale nie powinienem był wymieniać nazwiska Vance'a. Trzeba poprosić miejscowych stróżów prawa, żeby wsadzili tego postrzelonego bandziora do izolatki. I trzymali w niej, dopóki nie zakończymy sprawy. Pójdę z nimi pogadać.

Sarina odprowadziła go posępnym wzrokiem.

- Weź się w garść - rzekł Rodrigo, kiedy Colby był poza zasięgiem słuchu. - Ze złości aż się trzęsiesz.

- Au! - krzyknęła, kiedy lekarz założył jej prowizoryczny opatrunek.

- Przepraszam. Ale musimy przewieźć panią do szpitala.

- Przecież to zwykle draśnięcie - zirytowała się. - Nie chcę do żadnego szpitala!

- A kiedy ostatni raz miała pani robiony zastrzyk przeciwężcowy?

Zamrugła oczami. Ostatni raz? Nie miała zielonego pojęcia. Może w dzieciństwie.

- Jeśli pani nie pamięta, to kolejny powód, żeby wsadzić panią do karetki - oznajmił ze śmiechem lekarz.

- W ranę postrzałową łatwo może się wdać infekcja - poparł go Rodrigo. - Przed laty też byłem takim chojrakiem jak ty, a potem spędziłem tydzień w szpitalu.

Westchnęła ciężko.

- No dobra, dobra - powiedziała, wsiadając do karetki. - Ale na pewno tam nie zostanę.

Rodrigo nie sprzeciwił się, ale wymienił z lekarzem



porozumiewawcze spojrzenie.

Tymczasem Colby odszukał policjanta, któremu wcześniej zlecił opiekę nad ranną Sariną.

- Mógłby mi pan wyświadczyć przysługę?

- Jaka?

Colby sięgał do kieszeni, kiedy nagle spostrzegł, że któryś z mechanizmów sterowniczych w protezie nie działa. Przeklinając głośno, zdjął kurtkę, rzucił na stojące nieopodal pudło i podciągnął rękaw. W protezie tkwiła kula.

- Cholera jasna! Więcej z tym kłopotów, niż to jest warte!

- Jak pan stracił rękę? - spytał z zaciekawieniem policjant.

- W Afryce, podczas tajnej misji... Całe szczęście, że mam w domu drugą. A wracając do przysługi... Spytałem tego bandziora, którego postrzeliłem, dokąd się udał Vance. Postanowiliśmy jednak puścić Vance'a wolno, udawać, że nic nie wiemy o jego roli w całej aferze. I teraz chodzi o to, żeby ten bandzior nie przekazał nic swoim kumplom.

- To pan nie wie?

- O czym?

- Ten idiota usiłował odebrać broń gliniarzowi, kiedy ten mu skuwał rękę. Przez chwilę się szamotali i nagle pistolet wystrzelił. Gość nie żyje.

Colby zagwizdał cicho.

- Czyli problem z głowy, choć wołałbym nieco inne zakończenie.

- Nie dziwię się. Lepiej niech pan się zajmie protezą...

Urządzenie sterujące ręką przy każdym ruchu wydawało głośnie dźwięki.

- Słusznie. Dzięki za pomoc.

- Nie ma o czym mówić. Zresztą lubię pracować z chłopakami z DEA. Zawsze uznają cudze zasługi.

Colby wrócił do Huntera i położył swój MP - 5 obok innych pistoletów.

- Do diabła, Hunter, kiedy wreszcie ty i twoi ludzie przestaniecie nam podbierać broń? - mruknął gniewnie sierżant z brygady SWAT.

- Ten gnat sam wsunął mi się za pasek - oznajmił Colby, przykładając rękę do serca.

- Jak Boga kocham!

Hunter czym prędzej odciągnął go na bok. Chwilę później Colby'ego opuścił dobry humor. Parę dni temu prosił Sarinę, by nigdy więcej nie mieli przed sobą tajemnic. Zgodziła się. A jednak cały czas go okłamywała. Nie rozumiał, jak można się z kimś kochać, a zarazem mu nie ufać. Czuł się zawiedziony.

No dobrze, ale to Sarina go zawiodła, nie Bernardette. Niezależnie od tego, jak postąpiła matka, nie może odwrócić się od córki. Potarł ręką brodę. Był kompletnie skolowany.

Mimo zepsutej protezy i mętlika w głowie prosto z magazynu pojechał do szpitala. Niby wiedział, że rana, którą Sarina odniosła, nie zagraża jej życiu, ale i tak się denerwował.

Wprawdzie przy boku Sariny był Rodrigo, lecz chciał się przekonać na własne oczy, że wszystko jest w porządku.

Zastał Sarinę na ostrym dyżurze. Lekarz zlecił prześwietlenie ramienia. Czekala teraz na radiologa, który miał obejrzeć zdjęcie.

- Tłumaczyłam mu, że to tylko draśnięcie - - mówiła do stojącego obok Rodriga - ale nie chciał słuchać.

- Powinnaś była pomachać mu przed nosem swoim dyplomem medycznym.

- Co powiedział lekarz? - spytał Colby, pilnując się, by zachować neutralny wyraz twarzy.

- Nie lekarz, tylko stażysta. Powiedział, że to wygląda na ranę postrzałową.

Colby'emu zadrżały kąciki warg.

- Poszedł zgłosić to policji - kontynuowała Sarina.

- Nie pokazałaś mu swojej legitymacji?

- Nie dał mi szansy! Przypuszczalnie uważa, że jestem jakimś zbiegłym przestępcą. Chryste, co za bęcwał!

Rodrigo popatrzył na Colby'ego tak, jakby mówił: ty jej przemów do rozsądku. Colby otworzył usta, ale w tym momencie pojawił się stażysta, młody poważny blondyn w grubych okularach, w towarzystwie policjanta.

Rodrigo, Colby i Sarina wyciągnęli legitymacje. Policjant spojrzal na dokument Colby'ego, lypnął gniewnie wzrokiem na stażystę, po czym przeprosiwszy Sarinę za kłopot, jaki jej sprawił,

**szybko opuścił salę.**

**Colby nie mógł oprzeć się pokusie, by nie pokazać legitymacji stażyście. Oczywiście była to stara legitymacja, wystawiona przez CIA.**

**- Prze... przepisy szpitalne na... nakazują - dukał młodzieniec - aby zgłaszać policji każdy przypadek rany postrzałowej.**

**Colby schował portfel do kieszeni.**

**- Ręczę panu, że ta młoda kobieta nie jest żadnym zbiegłym przestępcą. I jeżeli natychmiast nie opatrzy jej pan rany, wybiorę się na rozmowę do dyrektora szpitala.**

**Stażysta błyskawicznie przystąpił do pracy.**

**Lekarz, opiekun stażysty, zajrzał, by sprawdzić trafność diagnozy swego podopiecznego. Nie zgodził się jednak wypuścić Sariny ze szpitala.**

**- Musi pani zostać - oznajmił, kiedy zaczęła protestować. - Lepiej być przezornym, niż żałować. Kula przeszła tuż koło kości. Jeżeli jutro wszystko będzie dobrze, puszczę panią do domu w poniedziałek rano.**

**- Dopiero w poniedziałek?! - oburzyła się Sarina.**

**- Widzisz, jak to jest, kiedy inni każą ci leżeć w łóżku? - spytał żartobliwie Colby.**

**- Ty miałeś malarię! Leciałeś przez ręce!**

**- Pan doktor ma rację - wtrącił Rodrigo. - Nie powinnaś być teraz sama w domu. Bernardette nie wiedziałaby, co zrobić, gdybyś się gorzej poczuła.**

Sarina obrzuciła obu mężczyzn złym spojrzeniem. Po chwili zrozumiała, że jest na przegranej pozycji i że wyklócaniem się nie nie wskóra.

- Bernardette jest u Hunterów - rzekła cicho. - Poproszę Jennifer, aby zatrzymali ją do poniedziałku. Rano podrzuca dziewczynki do szkoły, a po lekcjach ja ją odbiorę. Boże, co mam jej powiedzieć?

- Wpadnę tam jutro - obiecał Colby. - Wspomnę, że musiałaś pojechać za miasto na ważne zebranie.

- Dobrze - odparła z lekkim wahaniem.

- Mógłbym zabrać małą do zoo...

- Razem ze swoją nową kochanką? - spytała uszczypliwie.

Rodrigo przeniósł spojrzenie z Sariny na Colby'ego, którego twarz pociemniała. Ignorując Meksykanina, Colby zacisnął gniewnie zęby.

Nie zamierzał niczego wyjaśniać. Niech sobie Sarina myśli, co chce.

- Tak się składa, że Cecyli wylatuje o świcie - oznajmił. - Będę sam.

- Szkoda. Lubisz mieć tajemnice, prawda?

- Przyganiał kociol garnkowi! - zezłościł się.

- Co z ciebie za matka? Jakim prawem narażasz życie, kiedy masz dziecko na wychowaniu?

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Zbladła. Spodziewała się takiego pytania, odkąd Colby znalazł ją ranną w magazynie, ale wciąż nie umiała na nie odpowiedzieć. Zresztą nie chciała. Wcześniej zachowywał się tak, jakby mu na niej zależało, jakby pragnął spędzić z nią resztę życia. A potem przestał się odzywać. Kiedy zaniepokojona wybrała się do niego, zastała go w towarzystwie roznegliżowanej kobiety. Natychmiast przypomniała sobie przeszłość, kiedy udawał zainteresowanie nią, a cały czas spotykał się na boku z Maureen. Już raz ją zdradził. Dlaczego miałby tego znów nie zrobić? Nigdy nie będzie wiernym mężem. A ona... wierzyła w bajki, w szczęśliwe zakończenia. Rzeczywistość jednak okazała się brutalna.

- Jestem dobrą agentką - oznajmiła butnie. - I rzadko zdarzają mi się tak niebezpieczne sytuacje. Rodrigo może to potwierdzić.

- Nie obchodzi mnie świadectwo Rodriga - powiedział Colby, zanim Latynos zdołał zabrać głos. - Wiem jedno: kula trafiła cię w ramię. Gdyby poleciała kilka centymetrów w lewo, już byś nie żyła.

- Ale żyję. A ty - dodała po chwili - wykonujesz znacznie bardziej niebezpieczną pracę niż ja. I co? Zrezygnujesz z niej dla Bernardette i zajmiesz się jakąś nudną papierkową robotą?

- Tu nie chodzi o mnie.

- Jesteś jej ojcem!

- A ty matką. Zamierzasz ją wychowywać między jednym pościgiem za bandziorami a drugim?

- Strzelałeś do człowieka!

- A ty próbowałaś strzelać.

- Przestańcie! - zdenerwował się Rodrigo. - Ona jest ranna, a tobie odpada proteza. Oboje potrzebujecie pomocy. Wstrzymajcie się z trzecią wojną światową, dopóki nie nabierzecie sił.

Colby łypnął gniewnie na Meksykanina, po czym wzruszył ramionami.

- Może masz rację - przyznał. - Powinienem jechać do domu i zmienić protezę.

- A mnie przydałby się jakiś środek przeciwbólowy.

Rodrigo pokiwał głową.

- Grzeczna dziewczynka.

- Dlaczego bierzesz jego stronę? - spytała oskarżycielskim tonem.

- Bo zawdzięczam mu życie.

- Może kiedyś uratujesz moje i będziemy kwita - rzekł z uśmiechem Colby.

- Jestem ci jeszcze winien za poprzedni raz oznajmił Rodrigo, mając na myśli incydent w Afryce. Nagle ugryzł się w język.

- Jaki poprzedni raz? - zdziwiła się Sarina.

- W magazynie było dwóch zbirów - odparł wymijająco Colby. - Dobra, spadam. A ty - zwrócił się do Rodriga - pilnuj,

żeby ta mała złoźnica nie rzuciła się na biednego stażystę.

- Nie jest w moim typie - warknęła. - Nie lubię blondynów.

- Zauważyliśmy - mruknął Latynos.

Do pokoju wrócił stażysta. Przeniósł spojrzenie z dwóch śniadych mężczyzn na kobietę, która mierząc go zimnym wzrokiem, kierowała rękę w stronę pistoletu.

- Ja naprawdę musiałem... - powiedział szybko blondyn. -  
Takie mamy przepisy.

Wyciągnęła pistolet i podała go Rodrigowi.

- Zaopiekuj się tym.

- Niech się pan nie boi. - Rodrigo uśmiechnął się do stażysty.

- Ostatnim razem spudłowała.

Colby coraz silniej odczuwał skutki niedawnej choroby, starał się jednak niczego po sobie nie okazać.

- Więc jak? - Przyjrzał się uważnie Sarinie. Na pewno się dobrze czujesz?

- Jasne. Przecież to zwykle...

- ...draśnięcie?

- Zgadza się.

- Zabieram panią teraz na oddział - rzekł stażysta, zerkając niepewnie na towarzyszących pacjentce agentów. - Potem ktoś do pani zajrzy z formularzem, który trzeba wypełnić. To co, możemy...?

- Muszę iść. - Rodrigo pogładził Sarinę po dłoni. - Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń.



**- Dzięki.**

**- Ja też ruszam - oznajmił Colby. - Niczego Bernardette nie będę mówił. A po ciebie przyjadę w poniedziałek rano.**

**- Rodrigo może mnie odwiedzić do domu.**

**- Może, ale nie odwiedzie. Jeśli będziesz czuła się na siłach, to w poniedziałek po południu razem pojedziemy po Bernardette do szkoły.**

**Chciała się sprzeciwić, ale za bardzo bolała ją ręka. Trzymając się za ramię, bez słowa wstała z kozetki.**

**- Miałem w życiu kilka ran postrzałowych - dodał Colby, widząc grymas na twarzy Sariny.**

**- I wierz mi, jutro będziesz dziękować lekarzom, że nie puścili cię do domu.**

**Stażysta pokiwał głową.**

**- Może pani mieć nudności i odczuwać znacznie większy ból niż dziś. Przepiszę leki...**

**- Dobranoc. - Colby odwrócił się i ruszył do drzwi.**

**Wciąż był zły o to, że go okłamała. Mógł jej pokazać zdjęcie Tate'a i Cecily, ale specjalnie tego nie zrobił. Niech myśli, że ma kochankę. Co go to obchodzi?**

**Wracał do domu, kiedy nagle ujrzał przed oczami małą wykrzywioną twarzyczkę. Bernardette. Dziewczynka płakała. Zacisnął powieki. Nie pomogło. Nie potrafił pozbyć się obrazu szlochającego dziecka. Nic z tego nie rozumiał. Dochodziła północ. O tej porze wszyscy spali. Nie może zajechać pod dom Hunterów i**

**wszystkich obudzić...**

**Nie może? Może! Wsiadł z samochodu i zastukał do drzwi. Po chwili otworzył mu Hunter.**

**- Dzięki Bogu, że jesteś - oznajmił z ulgą, wpuszczając go do środka.**

**Z salonu wybiegła ubrana w piżamę Bernardette. Buzię miała mokrą od łez, oczy zaczerwienione, powieki spuchnięte. Rzuciła się ojcu w ramiona.**

**- Mamusię jest ranna, prawda? Tak jak w moim śnie? Czy ona żyje?**

**Dopiero w tym momencie przypomniał sobie jej ni to sen, ni to przepowiednię: że w jakiejś dużej hali pełnej pudeł ktoś strzela do Sariny. Obiecał dziewczynce, że będzie strzegł jej mamy. Ale wtedy nie wiedział, że Sarina pracuje w agencji DEA. Przytuliwszy córkę, zaczął ją pocieszać:**

**- Nie bój się, aniolku. Mamusia dobrze się czuje. Naprawdę.**

**- Ale leciała jej krew! Widziałam to! Jeszcze mocniej przytulił małą. Uszkodzona proteza głośno piszczała, ale nie zwracał na to uwagi. Usiadł na kanapie, wziął Bernardette na kolana i wyciągnąwszy chustkę, otarł jej łzy.**

**- Nie płacz, kochanie. Twoja mamusia jest bardzo dzielna. Musiała zostać w szpitalu, ale w poniedziałek po południu oboje przyjedziemy odebrać cię ze szkoły. Przyrzekam.**

**Bernardette zaczęła się uspokajać. Pochlipując cichutko, popatrzyła ojcu w oczy, ale nie dostrzegła w nich kłamstwa.**

- Dobrze, tatusiu - szepnęła.

Za każdym razem, gdy słyszał to słowo, przepelniało go szczęście. Uśmiechając się czule, odgarnął córce włosy z twarzy. Łzy wciąż wisiały jej na rzęsach, lecz już nie ciekły po policzkach.

- Zawsze będę mówił ci prawdę - obiecał. Skinęła z powagą głową.

- Tak bardzo się bałam... Dlaczego ja widzę, kiedy dzieje się coś złego?

- Nie wiem, aniołku. Twój dziadek też widział. Kiedyś przyjechał konno do mojej szkoły. Nikt do niego nie zadzwonił z informacją, że miałem groźny upadek i złamałem nogę. On to po prostu wiedział. Zjawił się równo z karetką.

- Wiem. - Dziewczynka uśmiechnęła się. - Mówił mi.

Troje Hunterów, Nikki w piżamie, a Phillip z Jennifer w szlafrokach, stało obok, przysłuchując się rozmowie.

- Późno już - stwierdził Colby, spoglądając na przyjaciela. - Powinienem wracać do domu...

Hunter wskazał na burczącą protezę.

- Ty na szczęście nie oberwałeś?

- Na szczęście.

Zsuwając córkę z kolan, Colby podniósł się z kanapy.

- Zatrzymacie Bernardette przez weekend? W poniedziałek mogę ją podrzucić do szkoły...

- Nie ma potrzeby - sprzeciwiła się Jennifer, tuląc się do męża. - Zawiozę obie dziewczynki.

- Dzięki. Sarina i ja odbierzemy ją sami. Aha, przypomniało mi się. - Popatrzył na córkę. - Masz ochotę wybrać się jutro do zoo?

- Tak! - zapiszczała. - A Nikki może z nami pójść?

- Oczywiście.

- W takim razie pójdziemy wszyscy - zdecydował Hunter. - Zrobimy sobie całodzienną wycieczkę. Uwielbiam ogrody zoologiczne.

- Pewnie dlatego, że w dzieciństwie tyle czasu spędzałeś wśród zwierząt.

- A ty nie?

- Ja też - przyznał Colby, przytrzymując protezę. - No dobra, ruszam, zanim toto się sfajczy. Czyli o której się jutro umawiamy?

- Wpół do pierwszej?

- Świetnie. Przynajmniej się wyśpię. Jeszcze nie doszedłem do formy po ataku malarii, a dzisiejszy dzień trochę nadwerężył moje siły. - Pochyliwszy się, zdrową ręką podniósł Bernardette i cmoknął w wilgotny policzek. - Marsz do łóżka.

- Dobranoc, tatusiu.

- Dobranoc, aniołku.

Niedzielna wycieczka sprawiła Colby'emu ogromną przyjemność, tym bardziej że ostatni raz był w zoo w dzieciństwie. Tamto zoo było raczej farmą, na której trzymano w klatkach egzotyczne zwierzęta, obecne zaś przypominało ogromny park. Zwierzęta krążyły po dużych wybiegach, zupełnie jakby żyły na

wolności. Najbardziej podobał mu się pawilon z gadami; Bernardette również.

Po godzinie zatrzymali się przy stoisku z hot dogami, posilili się, a potem jeszcze długo spacerowali alejkami. W końcu, nie czując nóg ze zmęczenia, postanowili odpocząć. Dorośli usiedli na ławce, a Nikki z Bernardette pobiegły na huśtawki. Wycieczka należała do wyjątkowo udanych. Colby nawet nie przypuszczał, że bycie ojcem może okazać się czymś tak satysfakcjonującym.

Wieczorem Jennifer spytała go, czy nie chce zadzwonić do szpitala. Odmówił, ale nie wyjaśnił dlaczego. Jennifer sama więc zadzwoniła do Sariny. Dowiedziała się, że chociaż odwiedził ją Rodrigo, przyjaciółka czuje się samotna i opuszczona.

- A my wybraliśmy się do zoo. Żebyś widziała Bernardette w pawilonie gadów! Twoja córka jest nieustraszona, zupełnie jak jej ojciec. Opiekun zwierząt pozwolił jej potrzymać pytona albinosa. W ogóle się nie bała.

- Tak, ona lubi węże. - Zmieniając pozycję, Sarina skrzywiła się z bólu. Nie dość, że bolało ją ramię, to miała jeszcze gorączkę i dokuczały jej mdłości. - Czy... czy Colby mówił coś o mnie?

- Nie - odparła Jennifer. - Chyba wciąż jest w szoku. Nie domyślał się, na czym naprawdę polega twoja praca. Nie może się z tym pogodzić.

- Trudno - oznajmiła gniewnie Sarina. - Nie zamierzam z niej rezygnować.

- Prędzej czy później oboje będziecie musieli pójść na

**kompromis. Dziecko potrzebuje obojga rodziców.**

**- Wiem. Ja... po prostu jestem trochę zła...**

**- Z powodu strzelaniny w magazynie? Nie, nie z powodu strzelaniny, tylko z powodu roznegliżowanej blondynki z mieszkaniu Colby'ego. Nie chciała jednak opowiadać o tym przyjaciółce.**

**- Tak, z powodu strzelaniny - skłamała. - Ramię mnie boli, dostałam gorączki. Lekarz miał rację, zatrzymując mnie w szpitalu.**

**- Szkoda, że nie było cię dziś z nami. Bernardette bawiła się znakomicie.**

**- Cieszę się. Tak dużo pracuję... Za mało poświęcam jej czasu.**

**- Teraz Colby będzie mógł cię wyręczać. Nikki uwielbia chodzić wszędzie ze swoim tatą.**

**- Phillip jest świetnym ojcem.**

**- Colby też nim będzie. - Przez moment Jennifer milczała. - Pewnie nie wiesz, że wczoraj Colby wpadł do nas tuż po północy?**

**- Co? Dlaczego? - zdumiała się Sarina.**

**- W drodze do domu nagle zobaczył obraz płaczącej córki. Miał, jak to Phillip nazywa, wizję. Kiedy do nas przyjechał, wszyscy byliśmy w salonie. Ja z Phillipem próbowaliśmy pocieszyć Bernie, ale bez powodzenia. Colby natomiast w paru słowach opowiedział jej, co się stało i zapewnił ją, że jesteś cała i zdrowa. Uwierzyła. Kiedy odjeżdżał, już się nie bała. Sarina westchnęła**

**głośno.**

**- Podejrzewałam, że istnieje między nimi identyczna więź jak między Colbym a jego ojcem. Bernardette widziała wypadek Colby'ego w Afryce. Powiedziała mi o tym pierwszego dnia, jak przyszedł do pracy w Ritter Oil. A on się wściekł.**

**- Wiem, Phillip mi mówił. To niesamowite, prawda?**

**- Jej dziadek też czuł, kiedy jakaś krzywda działa się Colby'emu.**

**- To musi być dziedziczne. - Jennifer zamyśliła się. - Znałam kobietę pochodzenia szkocko - irlandzkiego, którą łączyła telepatyczna więź z matką. Pewnego dnia kobieta wsiadła do samolotu i przeleciała cztery tysiące kilometrów, bo dzień wcześniej matka miała zawał. Nikt jej o tym nie zawiadomił. Ona po prostu to wiedziała.**

**- Dziadek Bernardette uważał to za dar, natomiast ją te obrazy przerażają. Zwłaszcza że widzi jedynie złe rzeczy.**

**- - Każdy kij ma dwa końce. Widząc, że dzieje się coś złego, czasem można komuś pomóc...**

**- Pewnie tak. - Sarina westchnęła. - Szkoda tylko, że wizje Bernardette tak bardzo wytrącają ją z równowagi. - Nagle zawahała się. - Czy Colby wspominał jakąś kobietę?**

**- Nie. - Jennifer roześmiała się cicho. - Co ci odbiło?**

**- Nic. Po prostu mam majaki i tyle. Dzięki za telefon, Jenny. Ucałuj ode mnie Bernie i powiedz, że jutro osobiście dam jej całusa. Lekarz obiecał, że jeśli mój stan się nie pogorszy, a na**

**pewno się nie pogorszy, to jutro będę mogła wyjść ze szpitala.**

**- W porządku. Śpij dobrze.**

**- Ty też.**

**Colby zjawił się w pracy z zastępczą protezą. Zepsutą wysłał do laboratorium z prośbą o jak najszybszą naprawę. To była druga naprawa w ciągu zaledwie paru dni. Zastanawiał się, ile jeszcze razy zepsuje mu się ten cud techniki.**

**Sarina kiepsko spała w nocy z soboty na niedzielę, a w niedzielę czuła się paskudnie. Cały dzień dostawała antybiotyki i środki przeciwbólowe, które ją otępiały. Na chwilę zasypiała, a potem budziła się i znów przeklinała w duchu Colby'ego. Spędziła z nim cudowną noc, sądziła, że pierwszą z wielu. Ale on ją zdradził. Och, jakże brutalna bywa rzeczywistość!**

**Ciekawa była, co sobie pomyślała ta nowa flama Colby'ego, kiedy otworzywszy drzwi, zobaczyła obcą kobietę z ciastem bananowym w ręce. Czy urządziła mu dziką awanturę? Oby tak. Jak to jest, że zaledwie parę dni po upojnej nocy facet zmienia kochankę? Sarinie się to w głowie nie mieściło. No ale w sprawach męsko - damskich nie miała wielkiego doświadczenia.**

**Przed oczami stanął jej miły, pocziwy Rodrigo, na którym zawsze mogły z Bernardette polegać. Dlaczego nie wzbudzał w niej takich emocji jak Colby? Kiedy pierwszy raz zobaczyła Colby'ego, serce od razu zabiło jej mocniej. Wciąż biło szybciej, gdy pojawiał się na horyzoncie. Była zła na siebie. Powinna go nienawidzić, zwłaszcza teraz.**



Oczywiście miał rację: nie powinna wykonywać niebezpiecznej pracy. Została ranna w trakcie pełnienia obowiązków służbowych. Równie dobrze kula mogła trafić ją w serce. I co by się wtedy stało z Bernardette? Może Colby by się nią zaopiekował, ale czy poradziłby sobie z siedmioletnią dziewczynką? Jako zastępca szefa ochrony pracował od miesiąca, a widać było, że marzy mu się poprzednia praca. Niewykluczone, że umieściłby dziecko w internacie, a sam wrócił do swych dawnych zajęć.

Pamiętała, jak umiejętnie obezwładnił naćpanego chłopaka, który chciał zastrzelić swoją ciotkę. Pamiętała, z jaką radością galopował na koniu. Miał w sobie nieposkromioną siłę i energię. Był człowiekiem czynu, który nie potrafi długo usiedzieć w miejscu. Większość ludzi związanych z wojskiem cechuje spokój, opanowanie, zachowawczość. Colby stanowił ich przeciwieństwo, a jednak dobrze się czuł wśród wojskowych, choć jeszcze lepiej wśród członków brygad antyterrorystycznych. Kiedyś przeczytała, że ktoś, kto podaje prawidłowe odpowiedzi podczas testu psychologicznego, nigdy nie trafi do jednostek specjalnych.

Zastanawiała się, dlaczego Colby zmienił pracę. Może przeszkadzała mu surowa dyscyplina w wojsku i wolał przejść na wcześniejszą emeryturę. Nigdy nie pytała, czym dokładnie się zajmował...

Oparta o poduszki, usiłowała skupić się na oglądaniu telewizji. Tęskniła za córką i swym mieszkaniem. Psiakość, nie jest

przyzwyczajona do takiej beczynności.

W poniedziałek w południe Colby wszedł do pokoju w towarzystwie lekarza.

- Puszczam panią do domu - oznajmił lekarz. - Wypisałem dwie recepty, proszę je odebrać od pielęgniarki. - Popatrzył na Sarinę znad oprawki okularów. - A idąc na akcję, proszę nie łykać żadnych środków przeciwbólowych.

- Idąc na akcję, nigdy niczego nie łykam - rzekła zaskoczona.

- To dobrze, bardzo dobrze. Cóż, życzę szybkiego powrotu do zdrowia - dodał, spoglądając z uśmiechem na Colby'ego, który z trudem zachowywał powagę. - W razie czego proszę do mnie dzwonić.

Po jego wyjściu Sarina wstała z łóżka. Miała na sobie to samo ubranie, w którym przywieziono ją do szpitala. Na rozdartym rękawie, przez który przeszła kula, widniała plama krwi.

- Przepraszam. Powinienem był ci przywieźć coś na zmianę - zauważył Colby, zerkając na dziurawą kurtkę.

- Bez przesady. Przebiorę się w domu, zanim ruszymy po Bernardette.

- Moglibyśmy kupić po drodze coś do zjedzenia...

Sarina wzruszyła ramionami.

- Dobra.

- Chińszczyzna ci odpowiada?

Zaskoczona podniosła wzrok. Przed laty, kiedy się w sobie

zakochiwali, często zaglądali do knajpek prowadzonych przez Chińczyków. Oboje lubili chińską kuchnię.

- Chętnie. - Roześmiała się speszona. - Dawno nie jadłam chińszczyzny na wynos.

- Ja też nie.

Podniósłszy torbę, Colby rozejrzał się po pokoju, sprawdzając, czy Sarina niczego nie zapomniała, po czym skierowali się w stronę dyżurki pielęgniarek. Pięć minut czekali, dopóki nie znaleziono recept, następne pięć minut czekali w aptece nieopodal parkingu. Kiedy w końcu ruszyli w drogę, było już wczesne popołudnie.

Stanęli przy niedużej chińskiej knajpce. Colby sam wszedł do środka. Dla Sariny kupił wieprzowinę w sosie słodko - kwaśnym, dla siebie kurczaka w sosie sezamowym.

Kiedy usiadł z powrotem za kierownicą, zauważył, że Sarina przygląda się jego protezie.

- Jest brzydsza od tamtej - powiedział - ale mniej się psuje. Najlepiej sprawdza się zwykły hak, ale ludzie się go boją.

- Colby, czym się w wojsku zajmowałeś? W jakiej byłeś formacji? - zapytała nagle.

Zesztywniał. Nie chciał odpowiadać na takie pytania. Nie teraz.

- Dlaczego milczysz? Pracowałeś w jakiejś tajnej komórce?

- Można tak powiedzieć - mruknął. - Nie zmarłaś? Mogę zwiększyć ogrzewanie. Rano było koszmarnie zimno.

- Nie, jest w sam raz.

- Ledwo zdążymy zjeść lunch, a trzeba będzie jechać po Bernardette.

Umiejętnie odwrócił jej uwagę od swojej pracy. Resztę drogi rozmawiali o nieistotnych sprawach.

Wyjął z torby tekturowe pojemniki z jedzeniem, Sarina zaś przygotowała talerze i chłodne napoje. Prawie się nie odzywali. Ona rozmyślała o blondynce, którą zastała u niego w mieszkaniu, on natomiast o jej niebezpiecznej pracy, a także o tym, że prędzej czy później będzie musiał wyjawić jej prawdę o swojej przeszłości.

- Dzięki, że po mnie przyjechałeś.

- Drobiazg.

- Co z Vance'em? - spytała, nabierając trochę ryżu na widelec.

- Za wcześnie, żeby cokolwiek wiedzieć. Jeśli pojawił się w pracy, to znaczy, że jesteśmy na dobrym tropie. Ale nie rozmawiałem dziś z Hunterem.

- Ja też nie. Może powinniśmy zadzwonić do biura?

Colby wydobył komórkę i wcisnął pojedynczy przycisk.

- Tak, to ja. Odebrałem Sarinę ze szpitala... Jesteśmy teraz u niej... Tak, pojedziemy po Bernardette, a potem wpadnę do biura.

- Na moment zamilkł. - Świetnie. Na to liczyłem. Czyli nie pomyliliśmy się... Wiem. W końcu tych drani dopadniemy. - Spojrzał na Sarinę. - Lepiej, ale jeszcze nie jest całkiem zdrowa... Dobrze, powtórzę. Dzięki. Do zobaczenia.

**Rozłączywszy się, schował telefon do kieszeni.**

**- Ritter z Cobbem powiedzieli, że dziś masz odpoczywać. Wystarczy, jak jutro przyjdiesz do pracy. Oczywiście jeśli się upierasz, żeby kontynuować swoją tajną misję.**

**- Muszę. Nie mogę zawieść Rodriga - rzekła, unikając jego wzroku.**

**- Cobb długo główkował, usiłując odkryć, którzy pracownicy Ritter Oil to działający w ukryciu agenci DEA. Podobno wpadł w szal, kiedy dowiedział się, że jednym z nich jest Ramirez. Mają jakieś dawne zatargi... Swoją drogą wszystkich nabraliście, ty i Ramirez.**

**- To nie pierwsza robota, którą wykonujemy razem. A u Rittera pracowałam wcześniej, w początkowym okresie ciąży. Potem też, kiedy byłam na studiach. Nic dziwnego, że kiedy wypłynęła sprawa z przemytem narkotyków, pomyślał o mnie.**

**- Wybrałaś sobie niebezpieczny zawód.**

**- Ty też - zauważyła. - Bo chyba mi nie powiesz, że wykonujesz w wojsku robotę papierkową? Czy... - Wbiła wzrok w talerz z rozgrzebanym ryżem. - Czy tam ją poznałeś?**

**- Kogo?**

**- Tę blondynkę.**

**Wziął głęboki oddech. Zamierzał odpowiedzieć na to pytanie, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.**

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Popatrzyli na siebie zdziwieni. Wsuwając rękę pod marynarkę, Colby skierował się do przedpokoju. Uchylił żaluzję i zerknął ostrożnie na zewnątrz.

Sarina również miała ochotę sięgnąć po broń, ale nie było takiej potrzeby. Widziała Colby'ego w akcji. Nie miała cienia wątpliwości, że doskonale sobie ze wszystkim poradzi.

Colby wyciągnął rękę spod marynarki i nie zapalając światła na werandzie, otworzył drzwi.

W progu stał Raoul, wnuk sąsiadki, pani Martinez. Wszedł do środka i pośpiesznie zamknął za sobą drzwi.

- Chciałem powiedzieć - zawrócił się do Colby'ego - że mój kuzyn przeszedł pomyślnie kurację i znów jest sobą. Wszystko dzięki pańskiemu *amigo*. Ksiądz sporo opowiadał o waszych przygodach w Afryce.

Colby uśmiechnął się szeroko.

- Zanim włożył koloratkę, był jednym z naszych najlepszych ludzi.

- Wciąż jest najlepszy - oznajmił Raoul, po czym spoglądając na Sarinę, dodał: - Nie zdążyłem pani ostrzec przed atakiem w magazynie. Przykro mi, że panią postrzelono.

- Na szczęście niegroźnie.

- Ale teraz przyszedłem to wynagrodzić. Ta kobieta, Cara Dominguez, ona nas wszystkich wykończy. Obchodzą ją tylko pieniądze. Gotowa jest każdego poświęcić, byleby powiększyć stan

swojego konta. Mój kuzyn, który miał zaledwie piętnaście lat, zginął podczas strzelaniny, a ona nawet słowem nie odezwała się do jego matki. Stwierdziła, że stracił życie z powodu własnej głupoty.

- Chryste! - zdenerwował się Colby. - To nawet ten parszywiec Lopez nie zabijał dzieci!

Chłopak uniósł brwi.

- Podobno pańska grupa miała coś wspólnego z jego zniknięciem.

- Nie grupa, lecz były członek grupy - sprecyzował Colby, świadom, że Sarina uważnie przysłuchuje się rozmowie.

- Tak czy inaczej, z jednej strony mamy Dominguez, z drugiej jej rodaka, który jest tylko trochę mniej krwiożerczy. Postanowiliśmy pozbyć się Dominguez. Za bardzo kocha forszę, a życia w ogóle nie szanuje.

- Mów dalej.

- Nie może wyjść na jaw, że maczałem w tym palce - oznajmił stanowczo Raoul, zerkając na Sarinę.

- I nie wyjdzie - obiecał Colby. Sarina skinęła potwierdzająco głową.

- Wkrótce mają zamiar przerzucić towar do Jacobsville, takiej małej miejsciny na południe stąd. Lopez miał tam kiedyś swoją bazę...

- A Dominguez nie wie, że w Jacobsville roi się od byłych najemników? - zdziwił się Colby.

- Jest święcie przekonana, że to plotki. - Chłopak wyszczerzył zęby. - Które miały na celu wystraszenie Lopeza.

- Ciekawe...

- No właśnie. Nic więcej nie wiem, ale jeśli coś mi jeszcze wpadnie w ucho, dam panu znać. Jestem waszym dłużnikiem. Uratowaliście moją babcię i kuzyna....

Colby uściskał chłopakowi dłoń.

- Daję ci słowo. Nikt się nie dowie o twojej roli.

- Wiem. - Raoul uśmiechnął się. - Ksiądz sporo o panu opowiadał. No dobra, muszę iść.

- Powiedz, jak się babcia czuje? - spytała Sarina.

- Świetnie, dziękuję. Na polecenie księdza dwa razy w tygodniu odwiedza ją dwóch facetów. Jeden robi jej zakupy, drugi sprząta. - Pokręcił głową. - Okazuje się, że najemnicy mają mnóstwo ukrytych talentów. *Adios.*

Kiedy chłopak znikł za drzwiami, Sarina wbiła w Colby'ego zaciekawione spojrzenie.

- Jak to jest, że przyjaźnisz się z księdzem, który był najemnikiem w Afryce?

Wziął głęboki oddech.

- Widzisz, ja... tylko przez chwilę pracowałem w wywiadzie wojskowym.

- Przez chwilę?

- Nie czułem się dobrze w regularnym wojsku. W CIA też nie. Zostałem... hm, wolnym strzelcem, człowiekiem do wynajęcia.



**Twarz jej sposepniała.**

**- Dlatego byłeś w Afryce... Dlatego... - Nagle doznała olśnienia. - Brałeś udział w przewrocie wojskowym! Prawda?**

**- Owszem. Pomogliśmy obalić dyktatora, który codziennie zabijał setki niewinnych ludzi. A potem pomogliśmy ustanowić rząd mniej brutalny wobec miejscowej ludności i bardziej przyjazny Ameryce.**

**- My? To znaczy? - Sarina nie dawała za wygraną.**

**Westchnął ciężko.**

**- Ja, Eb Scott, Cy Parks i Micah Steele. Rozdziawiła usta.**

**- Cy był najemnikiem?**

**Oho, pomyślał; czeka cię jeszcze wiele niespodzianek! Ciekaw był, jak Sarina zareaguje na wieść o tym, że jej przyjaciel i wspólnik Rodrigo Ramirez zajmował się tym samym.**

**- I Micah Steele? - Zmarszczyła w zadumie czoło. - To dlatego Phillip go ściągnął, kiedy dostałeś ataku malarii. - Na moment zamilkła.**

**- Chyba nawet wspomniał, że Micah był z wami w Afryce.**

**- Tak. - Colby skinął głową. - Uratował mi życie. Dokonał amputacji w warunkach polowych, mając do pomocy jedynie miejscowego internistę.**

**Zdenerwowana, odwróciła się do ściany.**

**- Teraz wiesz, co poczułem, kiedy dowiedziałem się, że jako agentka DEA bierzesz udział w strzelaninach!**

**Zacisnęła zęby, powstrzymując wybuch. Colby ma rację,**

oboje ukrywali przed sobą ważne rzeczy. Ale ona przynajmniej jest usprawiedliwiona, podczas gdy on...

- Słuchaj, musiałam zarabiać na życie - oznajmiła, wzdychając ciężko. - Moja córka była ciężko chora. W każdej chwili mogła się udusić. Musiałam znaleźć dobrze płatną pracę, żeby mieć pieniądze na leczenie. Urzędnicza pensja by nie wystarczyła.

- Ale może byś awansowała? Może...

- Akurat! - Przysiadła na brzegu kanapy.

- Nie umiem innym wydawać poleceń. Dlatego jestem agentką, która bierze udział w akcjach, a nie taką, która koordynuje działania innych agentów. Ale szefowie mnie cenią, uważają, że dobrze wypełniam swoje obowiązki...

- Słusznie. Jesteś odważna i inteligentna. Idealnie nadawałabyś się do pracy w ochronie.

- Lubię to, co robię - zaproponowała.

- A ja nie. Jeśli cokolwiek ci się przydarzy, Bernardette będzie zdana wyłącznie na mnie. Nie wiem, czy się nadaję...

Przez moment zastanawiała się, co Colby chce przez to powiedzieć. Że nie wyobraża sobie, aby mogli spędzić razem resztę życia? Oczy pociemniały jej z bólu.

Choć próbowała ukryć swoje uczucia, dostrzegł zawód malujący się na jej twarzy. Podeszedł krok bliżej i delikatnie pogładził ją po policzku.

- Za wiele popełniłem błędów, prawda?

- spytał cicho. - Tak dużo mam do nadrobienia. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

- Może od szczerości? Zmrużył oczy.

- I kto to mówi?

- Taki miałam rozkaz. Żeby nikomu nie zdradzać, czym się zajmuję.

- Hunterowi zdradziłaś - zauważył z przekąsem.

- Na polecenie regionalnego szefa DEA, wyższego rangą od Cobba, który wiedział, że w grupie Cobba jest przynajmniej jeden szpicel. Sprawa była zbyt ważna, nie można było ryzykować. Dlatego Huntera należało wtajemniczyć. Ty byłeś nowy, dopiero zacząłeś pracę w Ritter Oil. Nikt cię nie znał.

- To prawda - przyznał smętnie.

- Nie chciałam mieć przed tobą sekretów - ciągnęła. - Ale po niedzielnym poranku u ciebie... - Urwała. - Napijesz się kawy?

- Chętnie.

Wstawszy z kanapy, przeszła do kuchni i zaparzyła dzbanek kawy.

- Mniej więcej za... - spojrzała na zegarek - - za dwadzieścia minut musimy ruszać po Bernardette. Zrobić ci kanapkę?

- Dzięki, jestem najedzony.

- Ja też.

- Ale... - zawahał się. - Wracając ze szkoły, moglibyśmy wstąpić po pizzę z dużą ilością grzybów i kielbasy pepperoni.

Sarina wybuchnęła śmiechem.

- Skąd wiesz, że Bernardette akurat taką uwielbia?

- Bo od czasu do czasu nachodzą mnie dziwne zachcianki - odparł. - A ponieważ nie jestem kobietą w ciąży, uznałem, że telepatycznie odbieram myśli mojej córki.

- Nie rozumiem, jak to działa. Twój ojciec też miał ten dar.

Ma go również mój wuj z plemienia Komanczów. Jego syn, a mój kuzyn, Jeremiah Cortez, pracuje w FBI.

- Wyobrażam sobie, że w mig rozwiązuje wszystkie zagadki - powiedziała Sarina, nalewając kawę.

- Jeremiah odziedziczył ten dar po ojcu tylko w niewielkim stopniu. Ja zresztą też. Bernardette bije nas na głowę. - Usiadł przy kuchennym stole i sięgnął po kawę. Pił czarną, niesłodzoną. - Bardzo jej z tego powodu dokuczają w szkole?

- Ona... ukrywa to. Te wizje ją przerażają.

- Nie dziwię się. Jeśli widziała, jak mi kula rozszarpuje rękę... Jeden z żołnierzy z wymiotował.

Sarina popatrzyła na protezę. To musiało być straszne. W dodatku Maureen nie kojarzyła jej się z osobą, która cierpliwie opiekowałaby się rannym mężem.

- Colby... - zaczęła niepewnie. - Ta blondynka, która otworzyła mi drzwi...

Przekrzywił na bok głowę.

- Słuchaj, może odkrywasz o mnie nowe rzeczy, ale przysięgam, że w głębi duszy pozostałem takim samym człowiekiem, jakim byłem. Nie jestem typem, który przeskakuje z

**kwiatka na kwiatek.**

**- Wtedy, przed laty, skoczyłeś prosto w ramiona Maureen - zauważyła gorzko.**

**Pociągnął łyk kawy.**

**- Byłem nią opętany - rzekł po dłuższej chwili. - Zanim cię jeszcze poznałem, miałem obsesję na jej punkcie. Ty mnie pociągalaś, pragnąłem być z tobą, ale Maureen... po prostu nie umiałem się od niej wyzwolić. Szybko się jednak przekonałem, że nie wszystko złoto, co się świeci. Maureen kochała wyłącznie siebie, nikim i niczym się nie przejmowała. Kiedy straciłem rękę... brzydziła się mnie dotknąć. Odwracała wzrok, kiedy zdejmowałem koszulę. A ty... - uśmiechnął się łagodnie - nawet tego nie zauważasz.**

**- Bo to szczególnie bez znaczenia. - Napotkała jego wzrok, serce podskoczyło jej do gardła.**

**- Wciąż mi nie odpowiedziałeś, kim była tamta blondynka...**

**Bez słowa wyjął z portfela zdjęcie, które Cecily mu dała, i położył je na stole. Sarina popatrzyła na nie zdziwiona.**

**- Kim jest mężczyzna stojący koło niej?**

**- To mąż Cecily, Tate Winthrop. Z plemienia Oglala Lakota. Mają wspaniałego rocznego synka, a teraz spodziewają się drugiego dziecka. Kiedy wpadłaś, Tate akurat brał prysznic.**

**Jęknęła w duchu. Co za idiotka! Na widok Cecily natychmiast nabrała podejrzeń, że Colby ją zdradza. Nawet nie dała mu szansy się wytłumaczyć.**

- Przepraszam. Byłam pewna, że...

- Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha.

Umówmy się, że odtąd nie będziemy mieć przed sobą tajemnic.

Podniosła wzrok znad kubka.

- To może być trudne.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Ja też... - Na moment zamilkł. -

Po prostu zacznijmy od nowa.

- Zacznijmy? Co?

- Bernardette potrzebuje obojga rodziców - odparł cicho. -

Matki i ojca. Nie zniknę z jej życia.

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- A Ramirez? - spytał nagle Colby. - Co...?

- To mój partner. Od trzech lat stanowimy zespół. Sam wiesz, jak silna więź tworzy się między ludźmi, którzy razem walczą. Zmrużył oczy.

- Poza tym jestem mu potrzebna. Potrzebna? Dobrze sobie! - pomyślał Colby.

Ramirez był jeszcze większym samotnikiem niż on. A jego przeszłość... No ale o przeszłości rywala nie zamierzał nic mówić, bo wyglądałoby to tak, jakby kierowała nim zazdrość. Oczywiście był zazdrosny, ale nie chciał, by Sarina o tym wiedziała.

- Może nic na razie nie planujemy - rzeki. Dopóki nie rozwikłamy sprawy z narkotykami.

A potem zobaczymy, jak się wszystko potoczy.

- W porządku.

- Teraz, kiedy handlarze chcą przerzucić towar do Jacobsville, nie ma sensu tkwić w Houston. Musimy pojechać na południe, omówić strategię z Ebem i Cyrusem.

- Ale praca...

- Jakoś to załatwimy. Zresztą dla nikogo nie jest tajemnicą, że ty i ja się spotykamy i że między mną a Bernardette coraz lepiej się układa. Nikt się więc nie zdziwi, jeżeli wyskoczymy razem do Jacobsville.

- Hm, może masz rację... - Była do tego pomysłu średnio przekonana. - Szkoda, że nie wiemy, gdzie bandyci ukryli narkotyki.

- Szkoda. Ale przynajmniej wiemy, dokąd zamierzają je przewieźć. To znaczy, jeśli nasz zaprzyjaźniony młody gangster nie robi nas w balona. - Zamyślił się. - Cy dobrze zna tereny wokół Jacobsville. To on i jego kumple wykurzyli Lopeza. Skoro raz im się udało, może znów się uda.

- Może. Oby.

- Wiesz, podoba mi się Jacobsville. Życie w takiej małej miejscinie ma wiele plusów. Pamiętam z dzieciństwa, że kiedy ktoś chorował, wszyscy pomagali rodzinie. Nie tak jak w dużych miastach, gdzie nikt nikogo nie zna.

- Nie bardzo mogę zabierać głos na ten temat. Zawsze żyłam w luksusie. Miałam wszystko, o czym tylko mogłam zamarzyć. Oprócz miłości. - Roześmiała się gorzko. - Pieniądze szczęścia nie dają.

- Teraz masz Bernardette, a ona bardzo cię kocha - zauważył cicho Colby.

- To prawda - przyznała Sarina. - Ja też ją Kocham. Skoczyłabym za nią w ogień.

- Wcale ci się nie dziwię. Wiesz, chciałbym być częścią jej życia. Chronić ją, doradzać jej...

Poczuła, że serce wali jej jak młotem. Colby chce być częścią życia Bernie. Co przez to rozumie? Systematyczne odwiedziny? Czy wspólny dom?

- To znaczy, że gotów jesteś zrezygnować z wyjazdów do buszu? - zapytała. - Odkąd cię zobaczyłam w Ritter Oil, wydajesz mi się niespokojny. Jakby ciągnęło cię do Afryki...

Kubek zniknął w jego dużej dłoni.

Nie przeczę, uwielbiam adrenalinę i na pewno trudno mi będzie bez niej żyć. Ale lat mi przybywa, staję się coraz wolniejszy, coraz mniej skłonny do ryzyka. Nie chcę zginąć. Chcę dożyć późnej starości, cieszyć się wnukami.

Uśmiechnęła się, wciąż unikając jego wzroku.

- Naprawdę mógłbyś mieszkać w małej sennej miejscinie?

- Czemu nie? Byłoby całkiem miło. Wyobrażam sobie pogawędki z sąsiadami i przyjaciółmi, a jak wiesz, w okolicy mieszka sporo moich kumpli z Afryki - dodał ze śmiechem. - A ty? Nie myślałaś o tym, żeby przenieść się z Bernardette na prowincję? Żeby zrezygnować z pracy agentki i wieść spokojne życie?



- Myślałam, ale... Ale nawet gdyby czekała tam na mnie nowa praca i nowy dom, to nie wiem, jak bym miała wytłumaczyć swoją decyzję Rodrigowi.

- Mógłbym zrobić to za ciebie - zaoferował Colby ze złośliwym błyskiem w oku. - Zostało mi jeszcze kilka naboii...

- Przestań - skarciła go. - Bernardette go uwielbia.

- Wiem, zauważyłem jej miłość do węży. Najbardziej w całym zoo podobał się jej pawilon z gadami. Znała wszystkie łacińskie nazwy...

- Nauczyłam ją. - Sarina uśmiechnęła się pod nosem. - Też lubię węże.

- No proszę! Szczęściarz z tego Ramireza.

- Colby! Spojrzał na zegarek.

- Powinniśmy ruszać. - Dopił kawę. - Bo chyba nie chcesz się spóźnić?

Poddała się. Nie było sensu drażnić tematu. Colby nigdy nie zapala sympatią do Rodriga. Ciekawa jednak była, czy mówił serio o ustatkowaniu się...

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Colby dojechał do pracy dwie minuty po Sarinie i natychmiast udał się do Huntera, by powiedzieć mu, czego się dowiedział od młodocianego lidera gangu. Warto, dodał, powęszyć po okolicy. Mógłby się tam wybrać z Sariną...

- Ale trzeba by wytłumaczyć w pracy naszą nieobecność. Znaleźć jakiś dobry pretekst, dlaczego tam jedziemy. Chodzi o to, żeby nasz wyjazd nie wzbudził niczyich podejrzeń. A poza tym ty z Jennifer musielibyście znów przez trzy lub cztery dni zająć się Bernie.

Hunter podrapał się po brodzie.

- Można by odegrać jakąś małą scenkę na użytek Vance'a...

- Niezły pomysł. A ja poproszę Cyrusa, aby rozgłosił po Jacobsville, że chcę kupić w okolicy posiadłość. Dla siebie, Sariny i Bernardette. W takich miejscinach plotki szybko się rozchodzą. Pamiętam to z czasów dzieciństwa - dodał ze śmiechem.

- Cyrus na pewno chętnie ci pomoże. Micah również.

- Powiniennem mu się odwdziaczyć za to, że jechał taki kawał, aby mnie wyciągnąć z malarii.

- Na jego miejscu postąpiłbyś identycznie.

- Fakt.

- Ciekawe, na co Vance czeka? Od czasu strzelaniny w magazynie siedzi cicho jak mysz pod miotłą...

- Pewnie myśli, że go podejrzewamy - powiedział Colby. - I oczywiście ma rację. - Zmrużył gniewnie oczy. - Drań o mało nie

zabił Sariny. Najchętniej posłałbym mu kulkę prosto między oczy...

- Wiem, co czujesz - przerwał mu Hunter - ale musimy uzbroić się w cierpliwość. Potrzebujemy niezbitych dowodów. - Westchnął.

- Dopóki nie przyłapiemy bandziorów na gorącym uczynku, jak przewożą towar z jednego miejsca na drugie, niczego im nie udowodnimy. A jeśli Sarina wskaże Vance'a jako tego, który do niej strzelał, wtedy nigdy nie złapiemy Cary Dominguez i jej ludzi.

- Masz rację - przyznał smętnie Colby.

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Dopadniemy wszystkich: Vance'a, Dominguez i całą resztę. Przypomnij sobie, ile trwało, zanim Cy z chłopakami rozprawili się z Lopezem.

- Wiem. Krok po kroczku...

- No właśnie, nic na siłę. Kiedy ty z Sarina będziecie w Jacobsville, my tu zaczniemy lekko naciskać na Vance'a. Zobaczymy, jak się zachowa. Aha, każę jednemu z chłopaków monitorować podsłuch, który założyłeś Vance'owi w samochodzie. Póki co niewiele się dzieje.

- Prędzej czy później czymś się zdradzi - oznajmił pewnym siebie tonem Colby. - Zawsze się zapominają.

- Pozdrów ode mnie Cyrusa. Może kiedyś urządzimy zjazd koleżeński i pogadamy o dawnych dobrych czasach.

- Masz to jak w banku.

Dwa dni później Colby z Sarina zajęli dwa pokoje w hotelu w

Jacobsville. Jako małżeństwo mogliby zamieszkać we wspólnym, ale Colby jeszcze nie wyjawiał Sarinie rewelacji Tate'a. Mimo spędzonej razem nocy Sarina wciąż traktowała go chłodno i nieufnie. Nie chciał na nią naciskać. Niech spokojnie sobie wszystko przemyśli.

Wybrali się do prowadzonego przez Eba Scotta obozu treningowo - szkoleniowego. Wśród dawnych kumpli Colby z miejsca poczuł się jak w domu. Cieszył się, że Sarina zna jego przeszłość, że już nie musi jej okłamywać. Spodziewał się, że zareaguje zupełnie inaczej. Była uczciwa, przestrzegała prawa, wyznawała tradycyjne wartości. Sądził, że nie będzie chciała mieć z nim do czynienia, kiedy dotrze do niej, czym się zajmował. A ona wcale się od niego nie odwróciła.

Oczywiście nadal trzymała go na dystans. Zachowywała się uprzejmie, ale była zimna jak lód.

- Niewiele się odzywasz - rzekł, kiedy dojechali na ranczo Eba.

- Bo niewiele mam do powiedzenia.

- Wciąż jesteś zła z powodu Vance'a? Chciałem położyć tego drania trupem - dodał sfrustrowany, widząc jej zdumioną minę - ale Rodrigo mnie powstrzymał. Powiedział, że większe korzyści będą z żywego Vance'a niż z martwego.

Zdziwił ją jego gniewny ton.

- Myślałam, że ci wszystko jedno, czy Vance żyje, czy nie...

- Przecież do ciebie strzelał.

**Zauważył cień uśmiechu, jaki przemknął po jej wargach.**

**Eb Scott, chudy, wysoki blondyn o zielonych oczach, wyszedł im na powitanie.**

**- Kopę lat! - powiedział, ściskając dłoń Colby'ego. - Dobrze wyglądasz, stary.**

**- Ty też. - Colby rozejrzał się wkoło. Eb miał najlepiej urządzony obóz na świecie. Kiedy tylko pojawiał się nowy sprzęt do prowadzenia podsłuchu lub monitoringu, Eb natychmiast był jego dumnym posiadaczem. - Zmieniło się tu od ostatniego razu.**

**- Ostatni raz to ty byłeś tu wiele lat temu - przypomniał mu z uśmiechem blondyn.**

**- Racja. - Colby popatrzył na Sarinę. - Znasz Eba?**

**Potrząsnęła głową.**

**- Nie, natomiast dużo o nim słyszałam. Cyrus zamierzał nas sobie przedstawić, ale jakoś nigdy się nie złożyło. - Wyciągnęła rękę. - Sarina Carrington, agentka DEA.**

**- Byliśmy kiedyś małżeństwem - dodał Colby, widząc pytające spojrzenie Eba. - Mamy córkę, która parę dni temu skończyła siedem lat.**

**Eb wiedział, że Colby był żonaty, ale chyba z brunetką, a nie z blondynką.**

**- Proszę mnie nie mylić z jego drugą żoną - wtrąciła Sarina. - Ja jestem pierwszą. Jednodniową. Tyle trwało nasze małżeństwo.**

**Eb uniósł brwi.**

**- No proszę. Tak szybko się zorientowałaś, że kiepski z niego**

**będzie mąż?**

**Colby wybuchnął śmiechem. Zdumiało to Sarinę, sądziła bowiem, że poczuje się urażony. Najwyraźniej łączyła ich serdeczna więź.**

**- Co tu robicie? - spytał Eb. - Słyszałem, stary, że pracujesz u Rittera w Houston.**

**- Owszem. I mamy pewien kłopot... chodzi o przemyt narkotyków - wyjaśnił Colby. - Dowiedzieliśmy się, że do Jacobsville ma trafić spory transport kokainy. Chcemy go przechwycić.**

**- Brawo. Ci handlarze rozmnażają się w zastraszającym tempie. Jakiś czas temu Micah, Cy i ja, z drobną pomocą Harleya Fowlera, rozprawiliśmy się z Lopezem, a to znaczy, że wielu jego ludzi szuka teraz nowego zajęcia.**

**- Ważne, że Lopez poszedł na dno. Dobra robota.**

**- To nie było trudne. Facet po prostu nas nie docenił.**

**- Jego następczyni ma ten sam problem - stwierdził Colby. - Nie wierzy w wasze istnienie. Myśli, że to plotki wyssane z palca.**

**- Widać baba nie czyta gazet - mruknął Eb, o którego obozie kształcącym najlepszych żołnierzy na świecie pojawił się w prasie spory artykuł. Było to mniej więcej w tym czasie, gdy zginął Lopez.**

**- Cara Dominguez jest bardzo pewna siebie - wtrąciła Sarina. - Ale źle sobie dobiera pracowników. Jeden z jej zaufanych ludzi rozmawiał przez telefon o przerzucie towaru z**

magazynu w Houston. Facet uznał, że poza nim nikt w firmie nie zna hiszpańskiego. - Uśmiechnęła się. - No i się pomylił.

- Skoro wiecie, że towar jest u was, dlaczego nie przeprowadzicie kontroli? - spytał Eb. - Jakiejś inwentaryzacji?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielki mamy magazyn - odparł Colby. - Ani ile kartonów trzeba by otworzyć. Zresztą nie wydaje mi się, żeby narkotyki były w kartonach. Myślę, że ukryto je gdzie indziej.

- Gdzie? - zaciekawiała się Sarina.

- Nie jestem pewien. Po prostu mam takie przeczucie.

- Dawniej twoje przeczucia się sprawdzały - zauważył Eb.

- I to się nie zmieniło - mruknęła Sarina, nie patrząc na Colby'ego.

- Dobra, trzeba wezwać Micaha i Cyrusa na naradę wojenną. Cy zna faceta, który dokładnie spenetrował organizację Lopeza...

- Też go znam - przerwał mu Colby, spojrzeniem dając przyjacielowi znać, aby nie rozwijał wątku.

- Dobrze, później pogadamy - rzekł Eb, niedbale wzruszając ramionami. - A na razie oprowadzę was po moim królestwie. Sally wróci do domu koło czwartej. Po drodze odbierze z przedszkola naszego syna...

- Niesamowite. Jeszcze sześć lat temu kto by pomyślał, że Eb Scott będzie miał żonę i dziecko? - Colby pokręcił z uśmiechem głową.

- To samo mógłbym powiedzieć o tobie. Zmieniliśmy się,

stary, no nie?

- Owszem, owszem. - Colby zerknął na Sarinę, której policzki przybrały delikatny odcień różu.

Królestwo Eba zapierało dech. W jego skład wchodziły dwa wielkie baraki pełne sprzętu elektronicznego i najróżniejszych gadżetów; ogromny budynek, w którym prowadzono naukę wschodnich sztuk walki; strzelnica; leśne szlaki, na których odbywały się biegi; atrapa miasta, na ulicach którego toczono pozorowane walki; specjalny tor, na którym zatrudniony przez Eba instruktor pokazywał, jak w rejonie objętym działaniami wojennymi prowadzi się samochód. Takiej szkoły, czy też obozu dla antyterrorystów, mógłby Ebowi pozazdrościć rząd niejednego państwa.

- Dostajemy mnóstwo zleceń, szkolimy ludzi różnych narodowości, ciągle się rozwijamy i rozrastamy. Instruktor jazdy w niebezpiecznych warunkach pracuje tu od niedawna. „Miasto” kazałem wybudować parę miesięcy temu. Obserwujemy działania terrorystów i staramy się być na bieżąco. Walki uliczne to nowość; zaczęło się od Iraku. Mamy nauczycieli arabskiego, perskiego i kilku dialektów beduińskich. Planowałem wprowadzić dodatkowe zajęcia z materiałów wybuchowych, eksplozje, rozbijanie min, takie rzeczy, ale Sally stanowczo się sprzeciwiła.

- Wzruszył ramionami. - Nie dała się przekonać...

- Bała się, że wylecisz w powietrze - rzekł Colby.

Eb roześmiał się.



- Zresztą i tak by nic z tego nie wyszło. Cord Romero, któremu chciałem zlecić kurs, ożenił się i teraz czeka na potomka. Zamierza wycofać się z roboty i zająć hodowlą byków.

- Parę miesięcy temu czytałem o nim i Maggie w gazecie - przypomniał sobie Colby. - Rozbili gang zmuszający dzieci do niewolniczej pracy, a szefa gangu zastrzelili w Amsterdamie.

- To prawda. I pomyśleć, że kiedyś Maggie pracowała jako doradca inwestycyjny.

- A ona - Colby wskazał kciukiem na Sarinę - jako urzędniczka w przedsiębiorstwie naftowym. W rzeczywistości jest jedną z najlepszych agentek wywiadowczych, jaką udało mi się spotkać.

- Bez przesady. - Sarina spuściła skromnie oczy, choć w głębi duszy rozpierała ją duma.

Podczas ostatniej akcji zostałam ranna.

Każdemu się zdarza - stwierdził Eb. - Ja też parę razy byłem podziurawiony. Ale rany się goją.

Prędzej czy później - dodał Colby.

Sally wróciła do domu z synkiem, uroczym, trochę nieśmiałym chłopczykiem, który z wyglądu był dokładną kopią swojego ojca. Żona Eba, szczupła blondynka, po uszy zakochana w mężu, uczyła w miejscowej szkole podstawowej. Zabawiała Sarinę rozmową, podczas gdy panowie wspominali dawne dzieje.

Następny dzień Colby z Sariną spędzili z Cyrusem i Lisa. Cyrus poprosił paru swoich zaufanych ludzi, by mieli oczy i uszy

otwarte. Niech zaglądną do ulubionych barów świętej pamięci Lopeza, wypatrują obcych, patrolują teren.

- A wiesz, że niedaleko stąd jest ranczo na sprzedaż? - Cyrus zwrócił się do Colby'ego.

Serio?

Tak. Dość małe jak na tutejsze standardy, ale ma dobre pastwiska, a środkiem przepływa rzeczka. Świetnie by się nadawało na hodowlę koni...

Colby zerknął na Sarinę, która uważnie przysłuchiwała się rozmowie.

- W którym dokładnie miejscu?

- Pokażę wam.

Lisa, która była w zaawansowanej ciąży, woląca zostać w domu. Jazda po wertepach, powiedziała, przyprawia ją o mdłości. Cyrus załadował więc gości do dużej czerwonej terenówki i ruszyli w trójkę.

Posiadłość starego Hoba Downeya znajdowała się tuż za świetnie prosperującym ranczem Judda i Christabel Dunnów.

- Hoba zabił jeden z tych parszywych braci Clarków - wyjaśnił Cyrus. - To był uczciwy, porządny człowiek, którego wszyscy w okolicy kochali. Od tamtej pory nikt tu nie mieszka. - Zaparkował wóz przed starą, rozpadającą się chałupą. - Ależ macie miny! - zauważył, widząc przerażenie malujące się na twarzach swoich gości. - Dom jest do rozbiórki; liczy się ziemia.

- Dom faktycznie nadaje się tylko do rozbiórki - przyznał

**Colby. - Nowy można by zbudować w stylu hiszpańskim. Pasowałby do tych agaw i kaktusów.**

**- To prawda. - Sarina uśmiechnęła się ciepło. - Można by go pomalować na jasnożółty kolor...**

**- Bernardette byłaby zachwycona. Mogłaby codziennie jeździć konno.**

**- Nie posiadałaby się ze szczęścia. Wpatrywali się w siebie tak, jakby byli na pustyni. Jakby nikogo poza nimi nie było na przestrzeni wielu kilometrów. Cyrus chrząknął.**

**- Może wyśiadziemy? - spytał, uśmiechając się pod nosem.**

**Na końcu podjazdu stała wbita w ziemię tablica z napisem „Na sprzedaż”. Przybrudzony napis świadczył o tym, że tkwiła tu od dłuższego czasu.**

**- Sprzedażą zajmuje się pośrednik z Jacobsville, Andy Webb. Stary Hob nie miał żadnych krewnych ani rodziny, toteż nikt po nim nie dziedziczy. Część pieniędzy ze sprzedaży rancza pójdzie na zwrot kosztów pogrzebu, a reszta zostanie zainwestowana. Zyski z inwestycji będą systematycznie przekazywane na miejscowy fundusz pomocy biednym. Hob zawsze twierdził, że państwo za mało pomaga ubogim, a w ten sposób sam po śmierci będzie mógł przyczynić się do poprawienia ich losu.**

**- Musiał być z niego bardzo miły człowiek - powiedziała cicho Sarina.**

**- Owszem... Przejdźcie się kawalek, rozejrzycie, a ja zadzwonię do Lisy. - Uśmiechnął się speszony. - Często z sobą**

**gadamy. Im bliżej rozwiązania, tym częściej.**

**Colby odciągnął Sarinę na bok.**

**- Gdybyś go znała sześć lat temu, nie uwierzyłabyś, że to ten sam facet. Małżeństwo strasznie go zmieniło.**

**- Sprawia wrażenie bardzo zakochanego. Ujął jej dłoń.**

**- Świata poza Lisą nie widzi. - Poprowadził ją za dom. Podwórze porośnięte było ogołoconymi z kwiatów krzakami róż. Dalej za ogrodzeniem, aż po horyzont, ciągnęło się pastwisko.**

**- Mnóstwo tu przestrzeni. Tak jak na terenie rezerwatu...**

**- Twój ojciec dużo mi o nim opowiadał. O twoim dzieciństwie w rezerwacie. Zdawał sobie sprawę, że popełnił wiele błędów. Ogromnie ich żałował.**

**Colby zacisnął mocniej rękę na jej dłoni.**

**- Winilem go za każdą krzywdę, jaka mnie w życiu spotkała - oznajmił. - Nawet kiedy już byłem dorosły. - Wziął głęboki oddech. - Dopiero teraz zaczynam rozumieć, co czuł. Kochał moją matkę, ale nie potrafił odstawić alkoholu. Po jej śmierci musiał siebie znienawidzić. A to sprawiło, że jeszcze częściej zaglądał do kieliszka. Błędne koło.**

**- Faktycznie przez długi czas nienawidził samego siebie. Ale kiedy się dowiedział, że noszę twoje dziecko... że on będzie dziadkiem, wytrzeźwiał i już nigdy więcej nie wypił kropli alkoholu. Nawet piwa. Opiekował się Bernardette, kiedy chodziłam do pracy. W ten sposób chciał odpokutować za swoje winy. Bardzo kochał wnuczkę.**

- Ja też ją kocham - rzekł z powagą Colby.

- Każdego dnia coraz mocniej.

Przez moment wpatrywała się uważnie w jego śniadą, ogorzałą twarz o ciemnych oczach.

Prawie połowę swojego życia kochała tego mężczyznę. Jak zdołała wytrzymać bez niego przez ostatnie siedem lat? Miłość to uczucie głębokie, silne, trwałe. I przerażające. Opuszkami palców potarł jej usta.

- Kochałaś mnie - powiedział cicho - a ja zamieniłem twoje życie w piekło. Zasłużyłem na Maureen. Nie da się budować szczęścia na cudzym nieszczęściu.

Serce jej zabiło szybciej.

- Darzyłeś Maureen miłością... - zaczęła.

- Nie! - przerwał ostro. - Nie lubiłem jej jako człowieka. Wzbudzała we mnie pożądanie, ale nie sympatię. Była egoistką, myślała wyłącznie o sobie. Współczuję jej dziecku; pewnie wyląduje w poprawczaku. Ta kobieta nie nadaje się na matkę. - Potrząsnął gniewnie głową. - Chciałem mieć z nią dzieci. Całe szczęście, że nie zaszła ze mną w ciążę.

- A nie przyszło ci do głowy, że ja mogłam? - spytała Sarina. - Wtedy, w noc poślubną?

Roześmiał się gorzko.

- Nie, nie przyszło. Sądziłem, że jesteś starsza. Bardziej doświadczona. I że się zabezpieczasz. - Popatrzył jej w oczy. - Zastanawiałaś się kiedykolwiek, co by było, gdyby Maureen po-

wiedziała mi o twoim telefonie? Gdyby nie zignorowała twojego wołania o pomoc?

Westchnęła ciężko.

- Czasem się zastanawiałam. Ciekawa byłam, jak byś się zachował.

- Natychmiast bym do ciebie wrócił. Marzyłem o dzieciach, niczego tak bardzo w życiu nie pragnąłem. Ale byłem pewien, że to marzenie nigdy się nie spełni. Że jestem bezpłodny.

- Może więc byś nie uwierzył, że to ty... Przyłożył palec do jej ust.

- Są badania DNA. Wątpliwości szybko by się rozwiały. Zresztą wystarczyłby mi rzut oka na małą - dodał. - Poza tym nie wyobrażam sobie, abyś zaraz po moim odejściu wskoczyła do łóżka z drugim facetem. Nie po tym, co ci zrobiłem - powiedział zawstydzony.

Podeszła bliżej i naturalnym gestem objęła go w pasie. Zachwycony, przytulił ją do siebie.

- Nie myślę o tym, co zrobiłeś siedem lat temu - szepnęła. - Myślę o tym, co było teraz niedawno, kiedy osłabiony malarią prosiłeś, abym razem z tobą weszła pod prysznic.

Zadrżał, po czym delikatnie ją pocałował. Nogi się pod nim ugięły, gdy Sarina odwzajemniła pocałunek.

- Hm, to było niesamowite przeżycie - rzekł cicho. - Jeszcze nigdy się tak nie czułem...

O Boże! - wyszeptał.

**- Co się stało?**

**- Sarino, zapomnieliśmy się wtedy zabezpieczyć. Może znów zaszłaś w ciążę...?**

**Błogi uśmiech przemknął po jej wargach.**

**- Może - rzekła, zdumiona nutą nadziei w jego głosie i błyskiem podniecenia w oczach.**

**- Mówisz to tak spokojnie?**

**Wzruszyła ramionami.**

**- Tak, przecież kocham dzieci. Tylko że...**

**- Nagle spoważniała.**

**- Tylko że nie jesteśmy małżeństwem - dokończył za nią. - Posłuchaj. Kiedy uporamy się ze sprawą przerzutu kokainy, usiądziemy i pogadamy, dobrze?**

**- Dobrze. - Miała ochotę tańczyć, śpiewać, fruwać.**

**Leciutko musnął wargami jej usta, po czym wypuścił ją z objęć.**

**Zrobili sobie krótki spacer po posiadłości starego Hoba, omawiając jej zalety i wady. Cały czas trzymali się za ręce. Colby czuł, jak przepelnia go pożądanie. Spojrzał na Sarinę: jej oczy płonęły. Ścisnął ją mocniej za rękę. Niemal syknęła z bólu. Byli przy głównej bramie, kiedy Cy do nich dołączył.**

**- Jaką powierzchnię zajmują pastwiska?**

**- spytał Colby, starając się nadać swemu głosowi normalne brzmienie.**

**- Mniej więcej dwie trzecie. Reszta to lasy. No i przez środek**

przepływa rzeczka. Mielibyście zdrową, czystą wodę. To co o tym myślicie? Bo jeśli...

- Gdzie urzęduje ten Andy Webb? - przerwał mu Colby i uśmiechnął się, widząc uradowaną minę Sariny.

Cy uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak się składa, że znam jego adres. Wsiadajcie!

Colby błyskawicznie podjął decyzję o kupnie rancza. Nie wiedział, czy Sarina zechce z nim tam zamieszkać. Jeżeli tak, wówczas oboje będą musieli pójść na pewne ustępstwa. Ale najważniejsza była Bernardette. Chciał, by dziewczynka miała oboje rodziców, żeby zawsze towarzyszyło jej poczucie bezpieczeństwa. Może te argumenty trafią Sarinie do przekonania? Nie wyobrażał sobie życia bez niej. Obie dziewczyny, i duża, i mała, ulokowały się na zawsze w jego sercu.

Cy zawiózł ich z powrotem na własne ranczo, gdzie Lisa czekała na nich z kanapkami i kawą. Potem wrócili do hotelu.

Colby przystanął niepewnie przy drzwiach pokoju Sariny. Nigdy wcześniej, kiedy nocował w hotelu, nie miał tego typu skrupułów. Jeżeli kobieta była wolna i chętna, to nie zastanawiał się, czy wypada. Ale tu, w tym małym miasteczku, w którym wszyscy się znali i w którym sam pragnął osiąść, nie chciał, by cokolwiek mogło popsuć opinię Sariny.

Przytulił ją do siebie, wdychając świeży zapach jej ciała i włosów, dziś uczesanych w koński ogon.

- Jak twoje ramię? - spytał. Uśmiechnęła się. Starala się



zachować spokój, choć jego dotyk przyprawiał ją o drzenie. Marzyła o jednym: by wciągnąć Colby'ego do pokoju i pchnąć go na łóżko. Wiedziała, że nie będzie stawiał oporu.

- Dobrze. Już w ogóle nie boli.

Uniósł brwi i przytulił ją mocniej.

- Chyba nie próbujesz mnie uwieść, co? - spytał z figlarnym błyskiem w oku.

- A jeśli tak, to co?

- To masz pecha, moja śliczna - szepnął jej do ucha. - Bo ja mam inne plany, bardziej dalekosiężne. W dodatku bez widowni...

- Widowni?

Dyskretnie wskazał głową w lewo, gdzie właściciel hotelu pracowicie wymachiwał miotłą, choć wcale nie było brudno.

- Urok małych miasteczek. - Roześmiała się cicho.

- Wiesz - rzekł po chwili - chyba chciałbym tu zamieszkać. Nigdy nigdzie nie miałem domu, nie licząc rezerwatu. A dziś już mnie tam nie ciągnie. W Jacobsville byłbym wśród starych kumpli, ludzi, których znam od lat i z którymi wiele mnie łączy.

- Zrezygnowałbyś z pracy u Rittera? - spytała lekko zaniepokojona.

- Tak.

- Aha.

Ujmując ją za brodę, zmusił, aby popatrzyła mu w oczy.

- Co jest? Dlaczego masz tak smutną minę?

- Bo... bo ja do Houston zostałam oddelegowana. Będę

**musiała wrócić do Tucson.**

**- Dlaczego?**

**- Jak to dlaczego? - zachnęła się. - Tam pracuję, w tamtejszej filii DEA.**

**Pogładził ją po policzku.**

**- Może jesteś w ciąży - przypomniał jej. - Chcesz znów sama wychowywać dziecko?**

**Z jej oczu wyzierał smutek.**

**- Nie, skądże. Po prostu...**

**- To dlaczego nie możesz pracować w Jacobsville?**

**- Bo... - Zamrugła. - Bo DEA nie ma tu biura.**

**- Ale nie tylko DEA walczy z narkotykami. Policja również, a każdym mieście jest komenda. Cash Grier, miejscowy szef policji, nienawidzi handlarzy narkotyków. Podobnie szeryf Hayes Carson. Cyrus twierdzi, że obaj ciągle narzekają na brak ludzi do pracy.**

**- Miałabym odejść z DEA i szukać pracy w Jacobsville?**

**Skinął głową.**

**- A dla mnie na pewno znalazłoby się coś u Eba. Umiem prowadzić przesłuchania. Używam własnych metod, które przynoszą pożądane rezultaty. Jestem świetnym wywiadowcą i mistrzem wschodnich sztuk walki. Przydałbym się Ebowi.**

**Sarina nie wierzyła własnym uszom. W pierwszej chwili myślała, że Colby żartuje, ale on mówił serio.**

**- Mogłybyśmy z Bernardette odwiedzać cię na ranchu...**

- Mogłybyście tu zamieszkać - oznajmił z naciskiem. - Popelnilem w życiu mnóstwo błędów. Przez niektóre z nich... przez większość z nich - poprawił się - cierpiałś. Dlatego decyzja należy do ciebie. To ty musisz zdecydować, czy możesz mi zaufać i czy chcesz spędzić ze mną resztę życia. Tu, w Jacobsville.

Rozdziawiła usta. To było jej marzenie. Oczywiście istniało wiele przeszkód. Bernardette musiałaby zmienić szkołę, zostawić koleżanki i kolegów, nawiązać nowe przyjaźnie, ale... Ale pomysł był kuszący.

- Zastanów się. Nie musisz podejmować dziś żadnych wiążących decyzji. Tak jak powiedziałem, pogadamy o wszystkim po zakończeniu sprawy z przemysłem. Dobrze?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Dobrze. - Uniosła rękę do twarzy Colby'ego i pogładziła go po policzku. - Nie przypuszczałam, że możesz chcieć się ustakować...

Objął ją w pasie.

- Nie? Nawet nie wiesz, jak bardzo cieszy mnie myśl, że możesz być w ciąży - szepnął.

- Chciałbym mieć więcej dzieci, póki jeszcze jestem w sile wieku.

Zarumieniła się po cebulki włosów.

- Ja też.

- A teraz chciałbym cię rozebrać, popieścić...

- Pochyliwszy się, zmiażdżył jej usta w pocałunku.

Dreszcz przebiegł ją od stóp do głów. Zarzuciła mu ręce na szyję i nie przerywając pocałunku, westchnęła z rozkoszy. Z trudem panował nad podnieceniem. Najwyższym wysiłkiem woli oswobodził się i cofnął.

- Musimy się wstrzymać... - szepnął.

- E tam!

- E tam? - Wybuchnął śmiechem. - Próbuję z ciebie zrobić uczciwą kobietę.

- Ależ jestem nią. I jako uczciwa kobieta proponuję ci dziki seks.

Jak on wytrzymał bez niej tyle lat? Kręcąc ze śmiechem głową, ponownie zgarnął ją w ramiona.

- Ty moja tygrysico.

- Lubisz tygrysice?

- Uwielbiam. - Westchnąwszy cicho, opuścił rękę. - A teraz dobranoc. Muszę się wyspać. Ty też. Jutro pojeździmy po okolicy, powęszymy. Może uda nam się coś wypatrzeć. Nie mogę się doczekać końca tej afery.

- Ja również - szepnęła.

Wierzchem dłoni przejechał lekko po jej policzku.

- Miłych snów, maleńka.

- Dobranoc, Colby.

- Śniadanie skoro świt, o siódmej - przypomniał jej. - Chcę jak najwcześniej wziąć się do roboty.

- W porządku. Śpij dobrze.

**Nie mógł zasnąć. Wciąż nie mógł uwierzyć we własne szczęście: Sarina wyraziła gotowość zamieszkania z nim na ranczu. Nie wspominał o małżeństwie, ale pewnie zakładała, że się pobiorą. A przecież są małżeństwem, ich związek nie został anulowany.**

**Musi jej to w końcu powiedzieć. Jest jednak mnóstwo czasu, nie ma powodu do pośpiechu.**

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Podsluch zamontowany w samochodzie Brody'ego Vance'a spełnił swoje zadanie. Nazajutrz Hunter zadzwonił na komórkę Colby'ego, by przekazać mu najnowsze wiadomości.

- Potwierdziło się to, co nam przekazałeś - powiedział, mając na myśli informację podaną przez Colby'ego po rozmowie z młodym przywódcą gangu. - Dominguez najwyraźniej czuje się bardzo pewna siebie. Rozważa przewóz narkotyków do Jacobsville dziś, ewentualnie jutro wieczorem. Nie wiemy, gdzie dokładnie trzyma towar, ale chyba się domyślamy, dokąd ten towar ma trafić. Do dawnego zakładu pszczelarskiego.

- Czyli tam, gdzie kiedyś Lopez miał bazę. Przy granicy z posiadłością Cyrusa.

- Świetnie! - ucieszył się Hunter.

- Słuchaj, pogadaj z Cobbem. Powiedz mu, żeby na dzień lub dwa jego ludzie przestali obserwować magazyn. Postaraj się, żeby Vance usłyszał waszą rozmowę.

- Stary, czyś ty oszalał?

- Nieważne, gdzie ukryli towar. Ważne, dokąd zamierzają go przerzucić. Nie rozumiesz?

Hunter zamyślił się.

- Hm, masz rację. Ale to ryzykowne.

- Niekoniecznie. Ja, Sarina, Cy i Eb będziemy pilnować obiektu - oznajmił Colby. - Cobb może przysłać nam wsparcie. Nawet Ramireza. Nie pałam sympatią do faceta, ale Cy twierdzi,

że to jeden z najlepszych ludzi w branży.

- Cy wie, o czym mówi. - Hunter westchnął. - W porządku. Każę Ramirezowi natychmiast ruszać w drogę. Niech sobie wynajmie pokój w hotelu i czeka razem z wami.

- Opiekuj się dobrze Bernardette - poprosił przyjaciela Colby. - Nie spuszczaaj jej z oka. Vance nie zawahałby się porwać dziecka. Byłaby dla niego niezłą kartą przetargową. Dranie na pewno już wiedzą, że Sarina jest agentką DEA.

- Nie martw się. Kilka lat pracowałem dla CIA.

- Ja też. Ale lepiej dziesięć razy coś powtórzyć, niż później pluć sobie w brodę.

- To prawda - przyznał Hunter. - Dobra, będziemy uważać na Bernardette. A ty z Sarina uważajcie na siebie. Z tą bandą nie ma żartów.

- Ze mną też nie - burknął Colby. - Miej oczy otwarte.

- Jasne.

Colby wahał się, czy powiedzieć Sarinie, że prosił Huntera o przysłanie do Jacobsville Meksykanina. Wciąż był zazdrosny o uczucie, jakim tego typu darzyły Sarina z Bernardette. W końcu uznał, że nic nie będzie mówił. Niech ma niespodziankę.

Później w ciągu dnia, kiedy siedzieli w czwórce przy stole na ranczu u Cyrusa, Colby opowiedział im o telefonie od Huntera.

- Rozmawiałem też z paroma innymi ludźmi - rzekł, pijąc kawę. - Otrzymamy pomoc od miejscowej policji. Będą nas również wspierać federalni. Wygląda na to, że w ciągu najbliż-

**szych czterdziestu ośmiu godzin rozprawimy się z największym gangiem narkotykowym w południowym Teksasie. O ile oczywiście Dominguez nie stchórzy.**

**- Obyś miał rację - powiedział Eb. - Narkotyki to brudny interes. Nie chcę ich w naszym okręgu, w naszym stanie, w naszym kraju.**

**- Słusznie - poparł go Cyrus. - Hej, Eb, wiesz, że Colby zamierza kupić ranczo starego Hoba Downeya?**

**- Poważnie? To może przyszedłbyś do mnie do roboty? Potrzebuję kogoś, kto by uczył wschodnich sztuk walki.**

**- A sam nie możesz, leniu? - spytał ze śmiechem Colby.**

**- Nie mam czasu na sprawy administracyjne, prowadzenie zajęć i wychowywanie dzieciaka jednocześnie. Zapłacę ci dwa razy tyle co Ritter i do niczego nie będę się wtrącał.**

**Colby zmarszczył czoło. W najśmielszych marzeniach nie liczył na tak korzystną ofertę.**

**- Czyli byłbym w pełni niezależny?**

**- Tak. Tylko jednego nie byłoby ci wolno: uczyć swoich metod prowadzenia przesłuchań.**

**- Psiakość. - Colby przybrał zasmuconą minę. - A są takie skuteczne.**

**- Dobra, dobra. Zastępca szefa FBI musiał się gęsto tłumaczyć z twojej obecności w Afryce.**

**- Wysłali mnie do domu. - Colby wzruszył ramionami. - Diabli wiedzą dlaczego. Zadawałem jedynie proste pytania.**



- Chodziło o sposób, w jaki je zadawałeś...

- Sposób okazał się nader owocny.

- Może i owocny, ale potem FBI zostało zalane pozwami. A więc umawiamy się: żadnych instruktaży na temat prowadzenia przesłuchań.

- Jak chcesz - zgodził się Colby. - Ale jeśli kiedykolwiek będziemy chcieli wydobyć informacje od wroga...

- Wtedy na pewno zgłoszę się do ciebie - obiecał Eb. - To co?

- Możesz wpisać mnie na listę płac. - Colby uścisnął wyciągniętą dłoń przyjaciela. - Jutro lub pojutrze złożę wypowiedzenie u Rittera.

Na widok uśmiechu, który rozjaśnił twarz Sariny, serce zabiło mu mocniej. Nie musiał się zastanawiać, czy Sarina popiera jego decyzję. Jej radosne spojrzenie mówiło samo za siebie.

Zanim zdołał cokolwiek więcej powiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili Lisa wprowadziła do środka wysokiego przystojnego Latynosa o czarnych jak węgiel, roześmianych oczach.

- Nie spodziewaliście się mnie? - spytał, napotykając chmurny wzrok Colby'ego.

- Chodź, *chodź*, spodziewaliśmy się - powiedział Cy. - Colby prosił Huntera, żeby nam ciebie podesłał.

Na twarzy Sariny odmalowało się zdumienie. Rodrigo uniósł ze zdziwieniem brwi.

- Colby o mnie poprosił?

- Zgadza się. - Colby odchrząknął. Z powodu Sariny musiał ważyć słowa. Nie chciał zdradzić, że podobnie jak on sam, Rodrigo był najemnikiem. - Cy wspominał, że brałeś udział w wielu... tajnych akcjach.

- No i?

- No i masz nad nami pewną przewagę. Głupotą byłoby nie skorzystać z twojego doświadczenia. Zwłaszcza teraz.

Rodrigo starał się zachować neutralny wyraz twarzy, ale nie bardzo mu to wychodziło.

Popatrzył na Sarinę, która siedziała z wzrokiem wbitym w Colby'ego. Domyślił się, co się dzieje.

- Dobra. Bierzmy się do roboty - oznajmił.

Czwórkę mężczyzn łączyła przyjaźń, wspólne wspomnienia, świadomość, że zawsze i wszędzie mogą na sobie polegać. Sarina obserwowała ich z zazdrością. Mimo że była dobrą agentką, że znała się na swojej pracy i nieraz patrzyła śmierci w oczy, czuła się jak piąte koło u wozu.

Przeniosła wzrok na Casha Griera, miejscowego szefa policji, który sprawiał wrażenie, jakby też nie pasował do towarzystwa. Stał na uboczu, podczas gdy Colby omawiał taktykę z Ebem Scottem, Cyrusem Parksem i Ramirezem.

- . Czujesz się bezużyteczna, samotna i niepotrzebna? - spytał, zerkając na nią przez ramię.

- Skąd wiesz?

- Potrafię czytać w myślach.

- To przydatna umiejętność. Skinął głową.

- Owszem. Ja też się tak czuję. Ale w moim wypadku to normalne. Zawsze byłem samotnikiem.

- W dzieciństwie też?

- Zwłaszcza wtedy. Uwielbiałem rozrabiać w pojedynkę. Ale się zmieniłem. Dorosłem. Teraz jesteśmy w zaawansowanej ciąży, Tippy i ja.

- Tippy?

- Moja żona - wyjaśnił. - Ja marzę o córce, ona o synku. Ale w sumie płeć jest nieważna, byleby dziecko było zdrowe.

- Gratuluję.

Czyli nawet samotny wilk potrafi przeistoczyć się w szczęśliwego męża i ojca, pomyślała Sarina.

Do pokoju wszedł wysoki mężczyzna w stroju szeryfa. Omiótlszy wzrokiem grupkę zażarcie dyskutujących przyjaciół, skierował się prosto w stronę Sariny i Casha Griera.

- Czuję się...

- Niepotrzebny - dokończył za niego Cash. - Witaj w klubie. Przedstawiam ci Sarinę Carrington, agentkę DEA.

- Hayes Carson - rzekł niskim głosem mężczyzna, wymieniając z Sariną uścisk dłoni.

- Szeryf okręgu Jacobs.

- Hej, panowie! - zawołał do naradzającej się grupy szef policji. - Sami zamierzacie przeprowadzić całą akcję?

W odpowiedzi rozległa się salwa śmiechu. Po chwili obie

**grupki się połączyły.**

**- Przepraszam - powiedział Eb Scott, wyciągając na powitanie rękę najpierw do Casha, potem do Hayesa. - Wspominaliśmy dawne czasy.**

**- No niech zgadnę: byliście wszyscy w Afryce? - spytała żartobliwym tonem Sarina.**

**- Kto ci to powiedział? - zdziwił się Eb.**

**- Nikt. - Przyjrzała się uważnie Rodrigowi. Podeszedł bliżej i trzymając ręce w kieszeniach, łypnął okiem na Colby'ego.**

**- On mi nic nie mówił - mruknęła Sarina, zwracając się do człowieka, który od trzech lat był jej partnerem. - Tylko trudno nie zauważyć, że czujesz się wśród nich jak ryba w wodzie.**

**- No wiesz, nie zawsze pracowałem w DEA - przyznał Rodrigo.**

**- A niech mnie kule biją.**

**- Nie czepiaj się go, Sarino - poprosił stanowczym tonem Cy. - Bez niego nie rozprawilibyśmy się z Lopezem. Rodrigo wziął urlop z DEA, wkręcił się do bandy przemytników i dostarczał nam informacje. W trakcie tego mało sam nie zginął.**

**Sarinę aż zatkało.**

**- Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?**

**- A ty mi wszystko mówiłaś? - zezłościł się Latynos. - Słowem się nie zająknęłaś o tym, że byłaś kiedyś mężatką.**

**- Skoro mam dziecko, to chyba oczywiste?**

**- Wiele kobiet ma dzieci, nie wychodząc za mąż.**

**- Nie ja!**

**- Uspokójcie się - przerwał im Colby. - Przyjechaliśmy tu, żeby rozbić gang narkotykowy.**

**- Czyżby? - burknęła gniewnie Sarina.**

**- Swoją drogą ty też mi nie powiedziałaś o swojej pracy w DEA - dodał Colby. - Odkryłem prawdę podczas nalotu na magazyn.**

**- On ma rację - poparł go Rodrigo.**

**- Zamknij się!**

**- Czy to nie wasz szef? - spytał nagle Cash, wskazując na posepnego mężczyznę o ciemnych włosach i zielonych oczach, który szedł w ich kierunku.**

**Sarina i Rodrigo obejrżeli się przez ramię i natychmiast przestali sobie dogryzać.**

**- Widzę, że jesteście na miejscu. To dobrze, bardzo dobrze - rzekł Alexander Cobb. - A wy... - popatrzył na pozostałych mężczyzn - również bierzecie udział w akcji?**

**- Tak, znamy teren i przynajmniej dwóch z nas przyczyniło się do zlikwidowania organizacji Lopeza - wyjaśnił Cy.**

**Cobb zmrużył oczy.**

**- Pamiętam cię. Pojawiłeś się ni stąd, ni zowąd, kiedy...**

**- Mogę coś powiedzieć? - wtrącił się Rodrigo. W owym czasie udawałem członka bandy Lopeza. Gdyby Parks nie interweniował, pańscy ludzie by mnie zabili.**

**- Najwyraźniej spudłowali. - Cobb uśmiechnął się kwaśno. -**

**Na szczęście dla ciebie trochę złagodniałem.**

**- - Strzelanie do celu warto stale ćwiczyć - zauważył cicho**

**Cy. - Moim ludziom co miesiąc robię sprawdzian.**

**- - Ale twoi ludzie nie strzelają do ludzi - zauważył Eb.**

**- Ale gdyby kiedykolwiek musieli, lepiej, żeby nie pudłowali - stwierdził Cash.**

**- Ktoś obserwuje miejscowy magazyn? - spytał Cobb.**

**- Tak, jeden z moich chłopaków wyposażony w lornetkę i komórkę - odparł Cy.**

**- A jeśli go zauważą?**

**- Mała szansa. Ma na sobie strój kamuflujący, taki, jaki noszą snajperzy.**

**- Co takiego? A skąd...?**

**- Ja mu pożyczyłem - przyznał Cash, a widząc zdumione spojrzenie Sariny, wyjaśnił jej szeptem: - Dostałem go parę lat temu w Fort Bragg. W szkole snajperów. Ale nie martw się, mam zapasowy.**

**Nie wiedziała, czy szef policji mówi prawdę, czy żartuje.**

**Cobb puścił słowa Casha mimo uszu.**

**- W porządku. Czyli zakładamy, że gość z komórką zawiadomi nas, jak tylko coś się zacznie dziać?**

**- Absolutnie - zapewnił go Cy. - Wygląda na to, że czeka nas długa noc.**

**- Może nawet dwie lub trzy długie noce - wtrącił Colby. - Hunter ma dyskretnie dać cynk Vance'owi. Oby Dominguez**

połknęła haczyk.

- Oby.

Uzbroili się w cierpliwość. Parę godzin później Cy odebrał telefon od Harleya.

- Chyba przywieziono spory transport uli.

- Uli? - Colby podrapał się po czole. - Pustych czy z pszczołami?

Cy powtórzył pytanie Harleyowi.

- Z pszczołami - odparł po chwili. - I wokół krąży pełno typów z karabinami. Pewnie pilnują, żeby pszczołki nie wyfrunęły.

Wszyscy zebrali się w kuchni. Sprawdzili broń, amunicję, sprzęt komunikacyjny, zsynchronizowali zegarki.

- Gotowi? - spytał Cobb.

Potwierdzili. Panowało skupienie i powaga. Czas żartów się skończył.

Colby odciągnął Sarinę na bok.

- Jak twoje ramię?

- W porządku. Nie miej takiej zafrasowanej miny. - Uśmiechnęła się. - I pamiętaj, liczę, że wraz z Rodrigiem będziesz mnie osłaniał.

Puścił do niej oko. Już wiedział, że Rodrigo nie stanowi dla niego zagrożenia.

- Pocałowałbym cię - szepnął. - Ale wszyscy by nam to wypominali do końca życia.

**Zmarszczyła zabawnie nos.**

**- Boisz się plotek?**

**Zerknął na Casha Griera, który przyglądał im się z rozbawieniem.**

**- A ty? - odpowiedział pytaniem na pytanie.**

**- Może troszkę - przyznała. Zabezpieczył pistolet, po czym wsadził go do kabury.**

**- Później, maleńka... - powiedział szeptem. Skinęła głową.**

**- Dobrze. Później.**

**- Idziemy! - zawołał Cobb. Wybiegłszy z domu, wsiedli do kilku samochodów i ruszyli w kierunku magazynu.**

**Byli już prawie na miejscu, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. Colby zerknął na ekran. Zobaczywszy wyświetlone nazwisko Huntera, wyłączył dźwięk. Później oddzwoni, po zakończeniu akcji.**

**- Ty też wyłącz komórkę - poradził Sarinie. - Żeby przypadkiem nie zdradziła twojej obecności.**

**- Słusznie. - Wcisnęła odpowiedni przycisk. Zatrzymali się za wozem, którym jechał Cobb z Cyrusem, na poboczu polnej drogi, kilkaset metrów od magazynu. Wszyscy wysiedli, ponownie sprawdzili broń i zaczęli szykować się do szturmu. Zanim jednak cokolwiek więcej zdołali zrobić, Eb Scott wysunął się na czoło grupy i uniósł rękę.**

**- Poczekajcie. Są komplikacje.**

**Mówiąc to, patrzył na Colby'ego i Sarinę. Colby zaklął pod**



nosem.

- Psiakrew! Bernardette? Eb potwierdził skinieniem.

- Tak, jest w rękach Dominguez. Hunter z Jennifer zabrali dzieciaki do restauracji. Bernardette poszła do ubikacji i nie wróciła. Hunter nie może sobie tego darować, no ale za późno na wyrzuty. Dominguez mówi, że albo się wycofamy, albo... - Zawiesił głos. Nie musiał reszty dopowiadać.

Rozległy się szepty i pomruki. Colby otoczył ramieniem Sarinę i przytulił ją do siebie.

- Nie martw się.

- Nie martw? Przecież...

Przycisnął palce do jej ust, po czym dając znak Ebowi i Cyrusowi, odszedł na bok.

- Potrzebuję zakładnika - powiedział. - Kogoś wysokiego rangą. - Zerknął na stojącego nieopodal Cobba. - Przez następny kwadrans ciebie tu nie ma.

Cobb, świadom powagi sytuacji, w milczeniu skinął głową.

Po chwili trzech mężczyzn znikło w mroku.

Sarina została z resztą grupy. Przygryzając wargi, modliła się w duchu, aby wszystko się dobrze skończyło.

Dziesięć minut później wrócili. Colby szedł na czele grupy z zaciętym wyrazem twarzy i gniewnym błyskiem w oczach.

- Trzymają ją w domu starego Johnsona, niedaleko miejsca, gdzie mieszkała Sally Scott, zanim poślubiła Eba. Potrzebuję dwóch ochotników.

- Ja - zgłosiła się natychmiast Sarina.

- I ja - powiedział Cash Grier. - Mam w bagażniku karabin z noktowizorem. Pójdziemy w trójkę: ja, Sarina i Colby. Kiedy odbijemy dziecko, damy wam znać. - Skierował się pośpiesznie do swojego samochodu.

- Karabin? - Sarinę ogarnęły wątpliwości. - Jeśli przebywają w tym samym pokoju co Bernardette...

- Nie znasz Grier'a - rzekł nad jej uchem Eb Scott. - On ci się nie przyzna, ale... To jest były snajper. Najlepszy, jakiego kiedykolwiek znałem. Tylko buzia na kłódkę.

Sarina odetchnęła z ulgą.

- Dzięki.

Eb skinął głową, po czym przeszedł do auta Cyrusa po własną broń. Cash Grier wrócił w kamizelce kuloodpornej i masce na twarzy, z karabinem przerzuconym przez ramię. Wszyscy byli skupieni i poważni.

Hayes Carson podszedł krok bliżej.

- Słuchajcie, panowie, to mnie podlega ten okręg... - zaczął.

- Potrafisz po ciemku strzelić z odległości sześciuset metrów i nie chybić? - spytał Cash.

- W dodatku kiedy od tego strzału zależy los dziecka?

Carson wypuścił z płuc powietrze.

- Nie.

- A ja tak. - Cash, w którego głosie brzmiała ogromna pewność siebie, spojrzał na Sarinę i Colby'ego. - Jedziemy.

Colby prowadził. Kiedy od domu Johnsona dzieliła ich już niewielka odległość, Cash kazał zatrzymać samochód. Wsiadł i sprawdził telefon komórkowy.

- Włącz swój - zwrócił się do Colby'ego.

- I nie rób nic, dopóki nie rozwalę bandziora, który trzyma dzieciaka. Wtedy prześlę pojedynczy sygnał. Kiedy go odbierzesz, ruszaj do akcji.

- Rozumiem.

Zanim się Sarina zorientowała, szef policji pomknął bezszelestnie do lasu.

- Colby, jak się dowiedziałeś, dokąd ją przewieźli?

Nie włączając świateł, podjechali bliżej domu i zaparkowali za kępą drzew, tak by nie było ich widać z okna.

- Lepiej się nie pytaj. Zacisnęła usta.

- Jak myślisz? Chyba nie zamierzają wyrządzić jej krzywdy? Zamierzali. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Nie damy im szansy - odparł.

Zamknął oczy. Miał nadzieję, że dziwna psychiczna więź, jaka łączy go z córką, pomoże mu ją uratować. Ojciec, zwrócił się w myślach do człowieka, od którego odwrócił się w ostatnich latach jego życia, błagam, przyjdź mi z pomocą!

Niczym we śnie ujrzał Bernardette, poważną i wystraszoną. I nagle uzmysłowił sobie, że jej oczami patrzy na pokój. Widzi okno, widzi stojącego tuż obok mężczyznę z naładowaną bronią oraz ciemnowłosą kobietę, Carę Dominguez, rozmawiającą przez

telefon. W pokoju są jeszcze dwie inne osoby: kobieta uzbrojona w karabin automatyczny i mężczyzna z pistoletem.

- Chryste - szepnął drżącym głosem. - Nie podnoś głowy, aniołku! Nie podnoś głowy.

W tym samym momencie usłyszał pierwszy z trzech strzałów, potem dwa kolejne. Były szybkie i najwyraźniej celne, bo po chwili zadzwonił telefon.

- Idziemy!

Wyciągnęli broń i rzucili się biegiem w stronę domu. Colby nie tracił czasu na otwieranie drzwi - kopniakiem wywalił je z zawiasów. Celował nisko, Sarina wysoko, jakby od lat stanowili zgraną parę.

Cara Dominguez tkwiła przycupnięta, z ręką zaciśniętą wokół szyi Bernardette. W drugiej ręce trzymała przytknięty do skroni dziecka pistolet. Trzech pozostałych członków grupy leżało na podłodze. Jeden martwy, dwóch zostało ciężko rannych.

- Zabiję ją! - krzyknęła do Colby'ego. - Nie przeszkodzisz mi!

Colby wziął głęboki oddech. Nie opuścił lufy. - Aniołku, wiesz, co masz zrobić? - szepnął.

- Tak, tatusiu - odparła dziewczynka.

- *Que?* - Dominguez zwiększyła nacisk na szyję dziecka. - O co...?

Bernardette zamknęła oczy i po chwili jej ciało stało się bezwładne. Wprawdzie była drobnej budowy, ale niespodziewany ciężar jej ciała sprawił, że Cara Dominguez musiała nieznacznie

zmienić pozycję.

Colby natychmiast skorzystał z okazji i pociągnął za spust. Kobieta, trafiona w klatkę piersiową, z chrapliwym jękiem osunęła się na kolana. Resztką sił strzeliła w podłogę.

Jeden z rannych mężczyzn zacisnął palce na pistolecie. Wykazując się refleksem, Sarina natychmiast oddała strzał. Broń wypadła facetowi z ręki.

Jednocześnie Colby skoczył do przodu i chwycił w ramiona Bernardette. Dziewczynka objęła go mocno za szyję. Sarina kopnęła na drugi koniec pokoju pistolet chojraka, którego przed chwilą postrzeliła, i dołączyła do swojej rodziny.

- Tak strasznie się bałam - szepnęła roztrzęsiona, tuląc do siebie córkę.

- To był niezły strzał - pochwalił ją Colby.

- Gdyby nie ty, pewnie by mnie ten skurwiel podziurawił.

- Boże, tak niewiele brakowało...

Nie puszczając Bernardette, Colby pocałował w usta jej matkę.

- Bernardette i ja dokładnie wiedzieliśmy, co mamy zrobić. Prawda, aniołku? Po prostu nie mogliśmy cię o tym poinformować. - Uśmiechnął się do córki. - Jestem z ciebie taki dumny! Byłaś bardzo odważna.

- Ty też, tatusiu. Słyszałam twój głos. Kazałeś mi nie podnosić głowy. - Na moment zamilkła. - Zanim wpadliście tu z mamusią, ktoś postrzelił tych dwóch panów i jedną panią...

W tym momencie do środka bezszelestnie wszedł Cash.

- Psiakrew, wychodzę z wprawy - mruknął, spoglądając na dwóch zbirów, którzy byli jedynie ranni.

Ci wybaluszyli ze strachu oczy.

- Moim zdaniem, spisałeś się znakomicie - stwierdził Colby, wyciągając rękę. - Dzięki.

- Naprawdę znakomicie. - Sarina uśmiechnęła się przez łzy. - Nie wiem, jak ci dziękować.

Cash Grier wrzucił skromnie ramionami.

- E tam, zrobiłem, co do mnie należy. - Uścisnął dłoń Colby'ego i mrugnął porozumiewawczo do Bernardette. - Ale jeśli chcesz się odwdziżyć... - zwrócił się do Sariny - to przydałby mi się tu ktoś z twoim doświadczeniem. Ta sprawa bynajmniej nie jest zakończona. Handlarze narkotyków działają tu od lat, a ja nie mogę ich wytepić. Podejrzewam, że miejsce Cary Dominguez zajmie teraz kobieta, której również od dawna poszukujemy, i interes będzie się dalej kręcił.

Sarina popatrzyła z namysłem na Casha.

- Jeszcze dziś złożę Cobbowi rezygnację - obiecała, po czym utkwiała spojrzenie w Colbym i Bernardette. - To gdzie zamieszkamy?

- Na razie coś wynajmiemy. - Wzruszony, jeszcze mocniej przytulił córkę. - Powiedz, aniolku, chciałabyś mieszkać na ranchu w Jacobsville i mieć własne konie?

- Och, tatusiu! - zapiszczała uradowana dziewczynka. -

**Możemy?**

**- Tak, kochanie. Możemy. - Gdyby na podłodze leżały suche liście, to pewnie zapaliłyby się od żaru w jego oczach.**

**- Ożenisz się z mamusią? Uśmiechnął się radośnie.**

**- Porozmawiamy o tym później. Na razie musimy zająć się...**

**Zadzwoniła komórka Casha. Szef policji odebrał telefon, nie spuszczać oczu z Cary Dominguez, która przeklinała niczym szewc.**

**- Zamknij się - warknął. - Przecież tu jest dziecko.**

**- Które zna hiszpański - dodał Colby.**

**- Rozumiem, brawo - rzucił Cash do telefonu i rozłączył się. -**

**Wygląda na to, że reszta pszczelarzy została aresztowana. I dłuższy czas spędzi za kratkami.**

**- Ale jak... - zaczął Colby.**

**- Widziałem, że trafiłeś Dominguez. I że sobie tu poradzisz. Więc dałem znać Cobbowi, że mogą przystąpić do akcji. I przystąpili. Bardzo skutecznie.**

**- Okazaliśmy się niepotrzebni - rzekła Sarina i westchnęła głośno.**

**- Tego bym nie powiedział. - Cash popatrzył na podłogę zaslaną rannymi bandytami. - Macie się czym pochwalić.**

**- Nie bardzo - mruknął Colby. - Chciałem ją zabić, a nie zranić.**

**Cara Dominguez przestała przeklinać; krew odpłynęła jej z twarzy.**

**- Jak będziesz chciał poćwiczyć, zawsze możesz wpaść na naszą strzelnicę - wtrącił Cash.**

**Colby uśmiechnął się ciepło do Sariny. Jeszcze jej nie powiedział, że nadal są małżeństwem. Miał nadzieję, że nie będzie rozczarowana.**



## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Usłyszawszy, w jaki sposób Colby sprawił, by Bernardette osunęła się bezwładnie w rękach porywaczki, Cash Grier zaprosił ich do siebie i przedstawił swojej pięknej, ciężarnej żonie. Tippy Grier nie zdziwiło telepatyczne porozumienie istniejące pomiędzy ojcem a córką, bo sama miała identyczny dar. Pomimo sławy - pracowała jako modelka oraz aktorka - żona Casha okazała się niezwykle uroczą osobą, podobnie zresztą jak jej młodszy brat Rory, który mieszkał razem z nimi.

Colby z Sariną zostawili Bernardette u Grierów, sami zaś wrócili do hotelu, by porozmawiać o przyszłości. Nie zdołali. Po tym wszystkim, co się stało, byli zbyt podnieceni, aby usiąść i spokojnie oddać się rozmowie. Zdzierając ubrania, rzucili się na duże małżeńskie łóżko.

To był krótki i gorący seks. Oboje jednocześnie przeżyli silny orgazm. Ona, wbijając palce w jego ramiona, wygięła się w łuk, jakby pragnąc go całego w sobie pomieścić, on wykonał jeszcze jedno pchnięcie i nagle przenieśli się w inny wymiar. Kiedy otworzyła oczy, wciąż wstrząsał nią dreszcz. Colby również. Oboje leżeli zdyszani, mokrzy od potu.

Roześmiała się cicho, po czym jęknęła, usiłując wyprostować ramię.

- Boli? - spytał przepraszająco.

- Tak, ale co tam! - Z szelmowskim błyskiem w oku objęła Colby'ego za szyję. - Nie wychodź ze mnie - szepnęła kusząco.

- Nie wiem, czy dam radę...

Dał, i to bez trudu. Przez chwilę słyszał w uchu głos Sariny, która mówiła, że go kocha, że nigdy nie przestała go kochać, a potem ogarnęło go uczucie takiej błogości, takiego szczęścia, że miał ochotę się rozplakać.

Długo leżeli na zmiętej pościeli, nie mogąc złapać tchu.

- Eksplozja.

- Fajerwerki.

- Widziałem gwiazdy.

- Ja też.

- Sarino... - Potarł brodą o jej włosy. - Pamiętasz te papiery unieważniające małżeństwo, które twój adwokat przysłał mi siedem lat temu?

- Faktycznie, było coś takiego - szepnęła. - Zupełnie mi to wyleciało z głowy.

- Wiesz, nie podpisałem ich.

Chwilę trwało, zanim przetrawiła tę informację.

- Nie?

- Nie. Napotkała jego oczy.

- Skoro nie podpisałeś, to znaczy...

- Że unieważnienie nie doszło do skutku dokończył za nią. - Że wciąż jesteśmy mężem i żoną. Że moje małżeństwo z Maureen tak naprawdę nigdy nie zostało zawarte. Usiadła zszokowana.

- Nie rozumiem. Jak...? Skąd...?

- Przed śmiercią pierwszy mąż Maureen sporządził

testament. Postawił warunek: jeśli Maureen wyjdzie ponownie za mąż, nie dostanie w spadku ani grosza. A facet miał co nieco na koncie. Więc Maureen poprosiła przyjaciela, żeby udał pastora i udzielił nam ślubu. Nie pokazała mi naszego aktu małżeństwa. Pewnie gdybym go zobaczył, z miejsca bym się zorientował, że to jakaś nędzna podróbka.

- Czyli ty i ja... nadal jesteśmy małżeństwem? - spytała oszłomiona.

- Tak. Od siedmiu lat.

- Boże! - Wybuchnęła śmiechem, po chwili rozplakała się, a potem jednocześnie śmiała się i płakała. - To niesamowite!

- Od paru dni zastanawiałem się, jak ci to powiedzieć - przyznał. - Nie byłem pewien, jak zareagujesz. Zwłaszcza że twój stosunek do Rodriga wydawał mi się...

- Uwielbiam Rodriga, ale nie mogłabym się w nim zakochać. To tylko mój partner.

- Twój były partner - rzekł stanowczym tonem Colby.

Zmartwiła się.

- Ale...

- Żadnych ale. Od czasu do czasu Rodrigo może wpadać do nas z wizytą. Bernardette przepada za nim. On za nią chyba też.

- Dziękuję, kochany jesteś.

- Wiem. - Odsłonił w uśmiechu zęby.

- Myślę, że będziemy bardzo szczęśliwi - zamruczała, przytulając się do męża.

- Na pewno, maleńka. Na pewno.

Hunterowie przyjechali z Nikki obejrzeć nową posiadłość przyjaciół.

- Strasznie mi przykro z powodu Bernie - powiedział skruszony Phillip Hunter. - Zazwyczaj bywam bardziej ostrożny.

- Nie czyn sobie wyrzutów - pocieszył go Colby. - Prędeż czy później Dominguez znalazłaby sposób, żeby ją porwać. To cwana baba. Kto by się spodziewał, że zgarnie dzieciaka w biały dzień, w dodatku w miejscu publicznym.

- To prawda. Mimo to czuję się głupio... Swoją drogą, wiesz, gdzie w naszym magazynie ukryli narkotyki?

- Znaleźliście je?

- Znaleźliśmy miejsce, nie narkotyki. Pamiętasz, jak psy obwąchiwały ścianę? Okazało się, że przemytnicy postawili przed właściwą ścianą ścianę z dykty, a następnie ją pomalowali. To była świetna robota. Jednym z ludzi, których Vance ochraniał, był stolarz.

- A niech to. - Colby pokręcił ze śmiechem głową. - A co z Vance'em?

- Został aresztowany i oskarżony o współudział. Sarina powinna się ucieszyć.

- Ucieszy się.

- Dominguez leży w szpitalu, pilnowana dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wkrótce, pod obstawą policji, ona i jej kumple opuszczą Jacobsville.

- Im prędzej, tym lepiej. Ta baba chciała zabić Bernardette. Gdyby nie Grier, nie wiem, jak by to się skończyło.

- Tak, dzięki Bogu za Griera.

- Niesamowite, że człowiek z taką przeszłością potrafi się usatkwować, zamieszkać w małym miasteczku...

- W pewnym momencie trzeba zapomnieć o tym, co się kiedyś robiło - rzekł Hunter. - I zacząć żyć normalnie.

- Niektórzy mają z tym problem - zauważyła Sarina, dołączając do nich. - Słyszałeś, Phillipie, że po rozmowie z Colbym jeden z przemytników przyleciał do szeryfa, błagając go o ratunek?

- Przecież musiałem się dowiedzieć, dokąd zabrali Bernardette. Ale od dziś obiecuję poprawę - oznajmił uroczyście Colby, przykładając rękę do serca.

Wybuchnęli śmiechem. Nagle Bernardette, która bawiła się z Nikki, poderwała się z ziemi i przybiegłszy do Colby'ego, wzięła go za rękę.

- Tatusiu, muszę ci coś powiedzieć - rzekła z poważną miną.

- Dobrze, aniolku. Co takiego? Dziewczynka odciągnęła go na koniec tarasu i pchnęła na huśtawkę. Sama usiadła obok.

- Tylko mi nie przerywaj, dobrze? - poprosiła. - Bo nauczyłam się tego na pamięć i muszę powiedzieć jednym ciągiem.

- Dobrze - przyrzekł zaintrygowany.

- Więc słuchaj.

Zaczęła mówić w języku Apaczów. Colby zbladł. Znał te

słowa. Przed wieloma laty ojciec mu je napisał. A on wyrzucił list, nie doczytawszy go do końca. Teraz słuchał Bernardette uważnie. Słowa wypowiedane przez córkę miały uzdrowicielską moc; usuwały mgłę sprzed oczu i wskazywały drogę, którą powinien podążać, drogę do ojca, jakiego znał przed wieloma laty.

Bernardette zawahała się tylko raz, przy samym końcu.

- Jesteś moim synem - kontynuowała po chwili. - Bez względu na to, co będziesz w życiu robił, zawsze będę cię kochał. Widzę cię, gdy zamykam oczy i wędruję ku ciemnościom, w których czeka na mnie twoja matka. Tak jak ojciec przebacza dziecku, tak wielki duch wybacza wszystkim swoim dzieciom, nawet mnie. Zawsze będę czuwał nad tobą, nad twoimi dziećmi i nad dziećmi twoich dzieci. I zawsze będę cię kochał.

Spostrzegłszy łzy spływające z oczu ojca, dziewczynka zamilkła. Podniosła rączkę i paluszkami otarła mu policzki.

- Spytałam dziadka, kiedy mam ci to powtórzyć. Powiedział, że wyczuję właściwy moment. To był ten właściwy moment, prawda, tatusiu?

- Tak, aniolku - szepnął, przyciskając usta do jej czoła. - To był ten właściwy moment.

- Kocham cię, tatusiu.

Zamknawszy oczy, przytulił córkę do piersi. Pamiętał samotność, jaka mu od dawna towarzyszyła, ból, jakiego doświadczał, i cierpienie, jakie zadawał. Odbył długą drogę, ale wreszcie wyszedł na prostą. Teraz czekała go jasna przyszłość, z

**córką i żoną u boku.**

**- Jesteś smutny, tatusiu?**

**Ponad główką dziecka popatrzył na Sarinę, która spoglądała na niego wilgotnymi od łez oczami.**

**- Nie, aniolku. Jestem bardzo szczęśliwy. - Pocałował córkę w policzek. - Ja też cię kocham. Z całego serca.**

**- A mamusię?**

**- Mamusię też.**

**Kiedy uradowana pokazała w uśmiechu ząbki, wyglądała jak kopia swojego ojca.**

**- Wiesz co? - Pociągnął ją za kosmyk. - Mam ochotę na ogromną pizzę.**

**- Ja też! - zawołała, zeskakując z huśtawki.**

**Wstał. Czuł się dwadzieścia kilogramów lżejszy, jakby wielki kamień spadł mu z serca. Miał nadzieję, że ojciec widzi go teraz szczęśliwego, w otoczeniu rodziny. Był prawie pewien, że tak jest. Trzymając córkę za rękę, otoczył ramieniem Sarinę. Człowiek, który kocha i jest kochany, niczego więcej nie potrzebuje.**

**Tak, niczego więcej.**

***KONIEC***